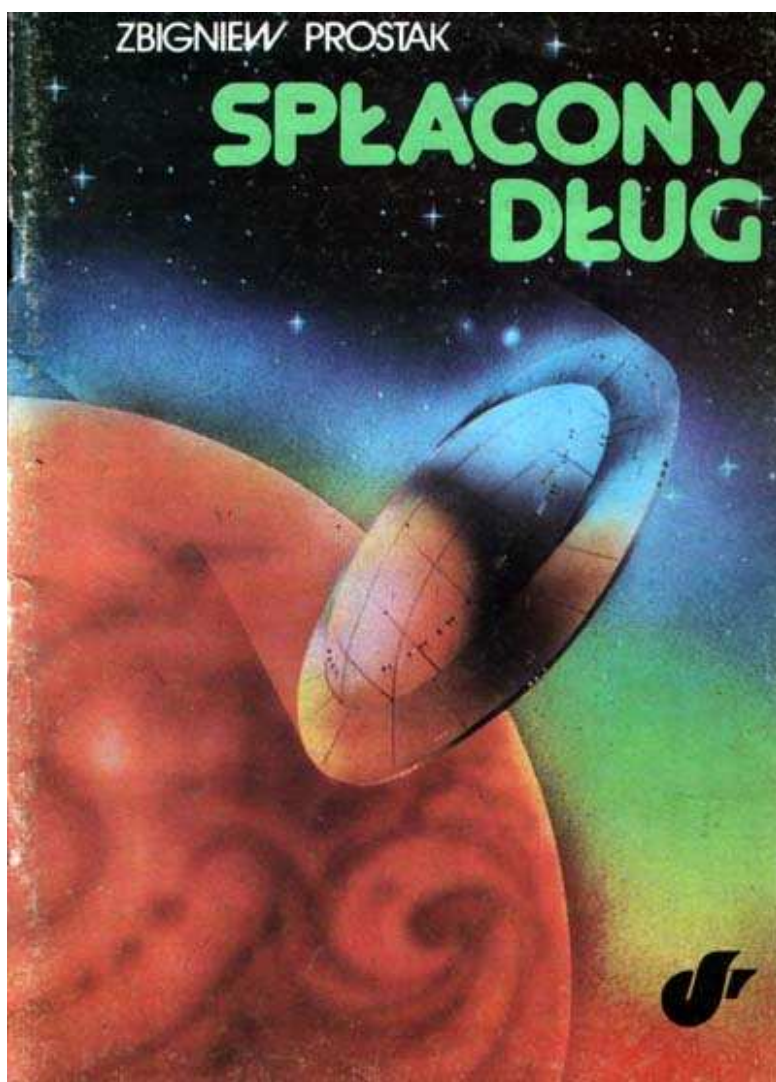


ZBIGNIEW PROSTAK

SPŁACONY DŁUG



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA RZESZÓW 1984

R o z d z i a ł I

KATASTROFA

Kiedy wypełził na piaszczysty, obmywany ciepłymi bryzgami fal brzeg, był na wpół przytomny z wyczerpania. Ponad pół mili walki ze śmiercią wyczerpało żelazny organizm. Uparcie, choć prawie bez udziału woli, okrwawione palce wczepiając w piasek, cał za całem czołgał się w głąb lądu. Byle wyżej, byle dalej od dławiącego ciężaru wody i ohydneho, słonogorzkiego smaku oceanu. Jeszcze w oczach niósł oślepiający błysk wybuchu, jeszcze w uszach kłębił się nieludzki skowyt płonących żywcem. Czołgał się, nie widząc przed sobą niczego.

Czarne loki dziecka spopielone żarem, rączki wyciągnięte w błagalnym geście i krzyk. Usta pełne skargi, której nie miał już kto wysłuchać. Wycie w łoskocie pękających grodzi, płomień trawiący żywe ciała, słodkawy, duszący swąd.

Zatrzymał się na moment, by po długiej jak wieczność chwili podjąć beznadziejną wędrówkę donikąd. Czoło orało szorstki piach. Gubił zetlałe łachmany nie czując tego, nie widząc nic. Za sobą zostawiał spokojne morze i szybko schnącą brudną rytą w złotym piasku plaży.

Dobrnął do pierwszych krzewów. Jeszcze bez świadomości wcisnął się w wilgotny chłód i znieruchomiał. Obojętne słońce wędrowało po nieboskłonie, wydłużały się cienie. Mijały wolno długie godziny. Armia krabów ożywiła plażę. Z morza wyszło życie i tylko dżungla milczała jeszcze. Wciąż w gąszczu lian, wśród kolumnady pni, czała się groza.

Człowiek uniósł głowę, a po chwili wolno, jakby z wahaniem przewrócił się na bok. Długo patrzył w ciemne sklepienie liści pocętkowane licznymi refleksami słońca i coś na kształt zrozumienia zabłysło w pustych dotąd i nieruchomych źrenicach. Z jękiem zakrył dłonią oczy. Znów gdzieś w głębi obolałej czaszki narastał dławiący lęk, znów uszy przewiercał wypełniający wszystko przeraźliwy krzyk. Szloch wstrząsnął potężnie sklepioną piersią. Tylko oczy pozostały suche. Już nie było w nich łez...

Usiadł z wysiłkiem, dotykając głową wilgotnych gałązek. Wpatrzył się niewidzącym spojrzeniem w armię krabów buszujących na plaży. Co to? Gdzie jest? Płomień! Wszędzie płomień i czarny, tłusty dym. Swąd palących się kości i ciał. Zapomnieć! Zapomnieć! Jęknął głośno i aż do bólu wpił wzrok w rozświetloną dal oceanu.

Idą! Idą Oni! Cały tłum. I Road w błękitnym mundurze z krwawymi kikutami rąk, i Burt Norton. Białe, bez kropli krwi twarze... Usta rozwarte w bezgłośnym okrzyku i Luiza. Czarnowłosa Luiza w potarganej sukni rozpaczliwie tuląca do siebie maleńkie ciało synka. Przemieszani z krabami suną ku niemu nieustępliwie, groźni, upiorni.

Porwał się na równe nogi z głuchym okrzykiem i runął jak burza przed siebie. Nie czuł ciepła krwi spływającej mu z ud i piersi. Potykał się, padał, wstawał i biegł. A upiorny tłum wciąż szedł mu naprzeciw. Tylko kraby pierzchły!

Skręcił ku górze pozostawiając za plecami ocean. Wchłonał go cień lasu. Instynktownie omijał omszałe pnie, najeżone kolcami gęste zarośla, kurtyny lian. Rzęził ciężko. Biegł, rozgarniając zarośla jak pływak oporną falę. Jeszcze... jeszcze... choć tłum już znikł... i wtedy drogę zagroziła mu pionowa ściana. Brunatny, spękany masyw z kępami traw o licznych szczelinach. Dopadł chłodnego kamienia. Blisko. Jakby chciał wtulić się w którąś ze szczelin, wtopić w martwy monolit. Wyciągnął ręce i zmartwił. Weszły w głąz jak w mgłę! Cofnął się zdumiony i to przywróciło mu przytomność. Szybkimi, gorączkowymi ruchami, jak ślepiec obmacał nagą, poranioną pierś. Dojrzał strzępy odzienia, bosc stopy i przyschnięte już brunatne zacieki krwi.

Usiadł na piargu u stóp skały, głowę oparł na rękach. Uspokajał się oddech i mijało

otępienie. Wracała pamięć, a z nią... Więc to prawda? Do świadomości zaczęło docierać zrozumienie nieodwracalności i bezmiar nieszczęścia. Zacisnął szczęki... Jakim cudem i po co ocalał? Właśnie on? Wreszcie wstał powoli, ale w ruchach jego było już zdecydowanie. Szok minął.

Spojrzał bacznie na skałę, a potem na swoje ręce. Umysł pracował już precyzyjnie. Przeżył wybuch i ocean w jakiś sposób wyrzucił go na wyspę, obok której przepływali, i którą w momencie nieszczęścia oglądał właśnie w mocnych szklach lornetki. Wyniosła, poszarpana góra, okolona pierścieniem dżungli i wąziutkim pasemkiem złotej plaży. Bezludna, oznaczona jedynie na bardzo dokładnych mapach morskich. Więc znów był sam? Zaczynał życie od nowa, znów prawie nagi, obszarpany i głodny jak niegdyś. Znał dobrze uczucie głodu. Aż za dobrze! Wiejski wyrostek zagubiony bez nadziei w slumsach Hamburga. Wyrośnięty jak dąb- czak, zdrowy, o kanciastych, niezgrabnych ruchach. Spał gdzie popadło, jadł to, co wygrzebał w śmietnikach. Błąkał się po portowych nadbrzeżach, po ciasnych zaułkach przedmieść, gdzie zza gościnnie uchylonych drzwi małych knajpek dolatywał pijacki śmiech sytych mary- narzy i drażniący powonienie, powodujący mdlące skurcze żołądka, zapach gotowanych potraw.

Odganiał go od drzwi, obojętnie wzruszając ramionami, gdy prosił. Prosił bynajmniej nie o jałmużnę, był na to za dumny. Prosił o pracę... Jakąkolwiek pracę. Był niepotrzebny, nie umiał przecież niczego, a jego siła nie była im na nic potrzebna. Tłuści właściciele barów śmiali mu się w twarz, uparcie przeganiali go starzy bezrobotni, trzymający z sobą, twardzi i bezwzględni. Błądził sam wśród tysięcy ludzi, umierał z głodu obok zawałonych wszelkim jadłem sklepowych wystaw. Którejś nocy nie wytrzymał. Wybił szybę jednej z nich i wresz- cie najadł się do syta. Przesiedział rok w hamburskim więzieniu. Przeżył. Stwardniał. Potem życie urabiało go na swój sposób. Nie w takich bywał opresjach. Da sobie radę i teraz. Musi! Czasu nie cofnie. Na razie nie myśleć o tym co było. Dość biadolenia!

Na rumowisku kamieni, otoczony pierwotną dżunglą, u stóp góry, prawie nagi i pokrwawiony stał już nie półprzytomny rozbitek, ale żelazny Dick, prawa ręka pułkownika Burtona. Kapitan Dick Rauber, oficer do specjalnych poruczeń wymagających zdecydowania i odwagi, zmodyfikowana odmiana gangsterskiego goryla bez cienia zbędnych skrupułów i bez litości. Nie miał jej zresztą nigdy. Dla nikogo!

Rozejrzał się uważnie wokoło. W odległości kilkunastu metrów z szarej skały wyływał maleńki strumyczek. Spadał ze sporego progu mieniając się nitką, tworząc w przypadkowym wgłębieniu spory basenik. Ruszył w tamtym kierunku. Długo pił czystą, zimną wodę, a potem, wzdrygając się, splukał dokładnie całe ciało. Od razu poczuł się lepiej. Nie był głodny. Jeszcze nie był.

Powoli wrócił pod skałę i obejrzał ją dokładnie. Co to było? Halucynacje? Pochylił się lekko i długą chwilę łowił słuchem odgłosy puszczy i daleki szum wszechobecnego oceanu. Gdzieś w pobliżu chrapliwie wrzasnął ptak, załopotwały skrzydła. Wyprostował się i zdecydo- wanym krokiem podszedł do kamiennej ściany. Wyciągnął rękę. Palce napotkały rozgrzany słońcem gład. Wyciągnął drugą i napał mocno. To samo. Wciąż ta sama, twarda ściana skalna. A przecież pamiętał doskonale. To musi być tu. Nagle drgnął i znieruchomiał. Przez głowę przeleciała okropna myśl. A jeżeli to jeszcze dalszy ciąg tamtego? Road... Norton... Luiza? Bzdura! Tamto ma już poza sobą. Tylko nie myśleć o tym. Na razie jeszcze nie myśleć. Na myślenie i osąd jeszcze przyjdzie czas. Czas, który łagodzi doznania.

Jeszcze trochę w lewo... jeszcze. Jest! Ręka weszła bez trudu w skałę. Śmiesznie to wyglądało. Tak jakby nie miał ręki. Muskularne, opalone ramię i kamień. Uśmiechnął się lekko. Wiedział co to jest. Przesunął się odrobinę bardziej w lewo. Wsadził drugą rękę, potem — lekko schylając głowę — powoli wszedł w skałę przymykając na moment oczy. Spojrzał. Przed sobą miał jasno oświetlony korytarz wykuty, jak się od razu zorientował, w litej opoce. Tuż, blisko, na wysokości mniej więcej piersi, wychylały się zza skały ryjki aparatów proje-

kcyjnych. Tego się właśnie spodziewał. Fantomy rzucające plastyczny, barwny obraz skały w prostokąt wejścia. Z wnętrza jednak, z miejsca gdzie stał, widać było wyraźnie dżunglę. Jakim cudem tu trafił? Wzruszył ramionami. Nie było żadnego cudu. Po prostu od wejścia biegła ku dżungli wyraźna, choć kręta ścieżyna. Najwidoczniej na wpeł przytomny, biegnąc, wybierał łatwiejszą, przetartą drogę.

Korytarz biegł w głąb, pusty, oświetlony jarzącym się żółtawo pasem wzdłuż sklepienia. Nie zastanawiał się dłużej. Nie miał przecież nic do stracenia. Ruszył przed siebie, początkowo wolnym, potem coraz szybszym krokiem. Dokąd go zaprowadzi to zagadkowe przejście? Co czeka na niego u końca tego wykutego w skale korytarza? Był przecież zupełnie bezbronny. Nie miał przy sobie nawet zwykłego kija. Tylko dwie gołe dłonie. Nie szkodzi. Z głębi pamięci wypłynęła sucha, ascetyczna twarz Akimury, trenera karate na kursie komandosów. Szorstkie, cuchnące potem ludzkim maty sali treningowej. Wrzask walczących. Nie! Nie jest znowu tak całkiem bezbronny.

Przejście łagodnym półkolem skręcało w prawo, jednocześnie pnąc się wyraźnie w górę. Po obu stronach brunatna skała. Żadnych drzwi, wnęk czy innych tuneli. Było cicho. Odgłosy dżungli ani oceanu tu nie docierały. Słyszał jedynie szmer własnych kroków na gładkiej posadzce i bicie serca. Jak w Komorze Ciszy w Instytucie Kosmicznym. Z obowiązku i na własną prośbę spędził w niej wiele godzin. Nawet lubił to. Pułkownik Burton twierdził, że Dick nie ma nerwów. Głupi. Jakby tu o nerwy chodziło. Cisza to była cisza i nic ponadto. Nigdy nie miał żadnych sensacji w rodzaju przywidzeń, stresów, wyobcowania. Mógł przynajmniej wypaść się do woli w całkowitym spokoju. Inni szaleli już po kilkunastu godzinach spędzonych w tym niesamowicie wyciszonym pomieszczeniu. Jemu nie przeszkadzała ani cisza, ani samotność.

Samotnikiem był z natury. Jak stary odyniec. I jak on niebezpiecznym. Nie znosił natrętnej obecności innych ludzi. Nienawidził cywilizacji, zgiełku miast i obłądnego pośpiechu współczesnego życia. Dopiero Luiza. Luiza i Jack. Oni to sprawili, że świat przestał być dla niego jedynie uciążliwym balastem.

Poznał ją przypadkowo i w pierwszej chwili nie przypadła mu absolutnie do gustu. Cicha, jakby wylękniona, rzucała nań spojrzenia ukradkiem, a w oczach jej błyszczał nie ukrywany podziw. Dostrzegł jej spojrzenia, zawsze dostrzegał wszystko, co go w jakiś sposób dotyczyło. Schlebowało mu to. Od tej chwili sam zaczął ją dyskretnie obserwować i niejednokrotnie oczy ich spotykały się. Cofała wzrok zapłoniona i spłoszona. Spotykali się potem często. Kiedy po prawie półrocznej znajomości oświadczył się jej, był tym zaskoczony nie mniej niż ona sama. Wzięli cichy ślub w kilka dni później.

Miał odtąd dom. Miał dokąd wracać z nie zawsze spokojnych i bezpiecznych eskapad. Mikroskopijna wilijka, jak jaskółcze gniazdo, przyczepiona do zielonego zbocza góry, stała się dla niego azylem, gdzie nie mogły go dopaść żadne niepokoje. Luiza była cicha, opiekuńcza i bynajmniej nie tak nieśmiała, jak początkowo sądził. Po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę szczęśliwy. Urodziny syna pogłębiły ten stan. Dick Rauber powoli stawał się normalnym człowiekiem. Zaklął cicho pod nosem i zacisnął pięści. Nie ma już Luizy. Nie ma już Jacka. Nic nie ma, do diabła!

Korytarz kończył się masywnymi drzwiami ze stali, opatrzonymi w koliste rygle spotykane na starego typu okrętach. Były uchylone. Pchnął je ramieniem. Otworzyły się bez szmeru na całą szerokość. Stał jak wryty. Tego się jednak nie spodziewał.

Za drzwiami wisiała położona kilkadziesiąt metrów nad leżącą w głębi dolinką niewielka półka. Prowadziły z niej w dół szerokie, wykute w skale i zabezpieczone balustradą schody. Już na pierwszy rzut oka widać było, jak bardzo są stare. Stylem przypominały inkaskie budowle, ale to, co zajmowało dno doliny, nie było bynajmniej dziełem inkaskich budowniczych. I nie było stare.

Strzeliste zabudowania ze szkła i metalu. Koronki kratownic wyrzutni i śmiałe łuki

estakad łączące poszczególne pawilony, wolno obracająca się półkula radionamiernika.

Dolina była niewielka i prawie idealnie okrągła. Około półtora kilometra średnicy z jasnobłękitnym, obramowanym szmaragdem dżungli turkusowym okiem jeziora pośrodku. Kiedyś zapewne szalał tu wulkan. Wskazywały na to rozchodzące się lejkowato ku górze nadtopione skały otaczające dolinę niebotycznymi ścianami.

Baza. Typowa baza w nietypowej scenerii. Wiele takich widział w Teksasie, Arizonie czy na Alasce. Od tamtych różniła się tylko wymiarami; była bowiem duża. Za duża jak na tego typu obiekt. Dlatego zdziwiło go to i zaskoczyło. Przecież nie mógł nie słyszeć o niej, on najbliższy współpracownik pułkownika Burtona, Dowódcy Baz Ochrony Pacyfiku.

Z tej odległości nie odróżniał szczegółów. Nie dostrzegł też żadnych ludzi. Gdyby nie powolny ruch radionamiernika, można by sądzić, że baza jest opuszczona. Poszedł schodami w dół. Były gładkie. Wyślizgane w ciągu wieków tysiącami obutych w sandały nóg. Poczul dla nich coś w rodzaju wdzięczności. Dzięki chłodnej gładzi mile kołły ból poranionych, bosych stóp.

Kończyły się dość zaskakująco nową, choć również zbudowaną z kamiennych płyt platformą, której środkiem sunął bladoniebieski pas ruchomego chodnika. Wskoczył nań coraz bardziej zdziwiony. Cóż to za dziwaczna baza? Żadnych automatów strażniczych, służ kontrolnych, nic? Czyżby mieszkańcy czuli się tu aż tak bezpieczni? Dziwne! Baza, do której każdy może wejść i wyjść bez przeszkód? Coś tu nie gra. Odezwał się w nim wieloletni instynkt człowieka z obstawy.

Trzeba zachować maksymalną ostrożność. Nigdy nic nie wiadomo. Jedno jest pewne. Nie wszystko tu jest w porządku. Sięgnął do pasa i roześmiał się głośno. Głupiec! Bezbronny głupiec. Jego niezawodny dezintegrator pozostał na „Cynthii”. Tam, gdzie zostali Luiza i Jack. Zacisnął bezsilnie pięści.

Tymczasem ruchomy chodnik, przepłynąwszy po wąskiej nitce estakady nad śmigłymi czubkami palm i ruinami jakiejś prastarej świątyni, wpadł w przestronny hol i zakończył się miniperonem. Na jego podświetlonej ścianie czerniał wyraźny napis: B.S.O.P. Sekcja V. A jednak Baza Pacyfiku. Mimo ogromnego znużenia poczuł ulgę i satysfakcję. Znał doskonale urządzenia tych baz.

Spokojnie już teraz podszedł do jednej z wnęk łączności wewnętrznej. Wcisnął przycisk i zbliżył usta do mikrofonu.

— Dyspozytornia? Melduje się kapitan Rauber, D-7.

W głośniku rozległy się niegłośne trzaski i zdziwiony głos spytał.

— Kto?

— Kapitan Dick Rauber!

— Co?... Kto?... Przecież?... Jak?... Powtórz.

— Chyba mówię po ludzku. Melduje się kapitan Dick Rauber, trzecia sekcja.

Chwila ciszy w głośniku i ten sam, spokojny już teraz, głos.

— Czekaj na peronie. Zaraz tam będziemy.

— Zgoda!

Oparł się niedbale o ścianę i wpatrzył w jasny prostokąt wejścia. W umyśle teraz dopiero zaczęło narastać podejrzenie. „Cynthia” wylatuje w powietrze na wodach okalających tajemniczą wysepkę, kryjącą w swoim wnętrzu równie tajemniczą bazę. Przypadek czy zamierzone działanie? Przeoczenie, czy świadomie zaplanowana zbrodnia?

Potrząsnął głową. Nie wierzył w tego rodzaju przypadki. Do takich miejsc nie dopuszcza się z zasady nikogo niezapowiedzianego. „Cynthia” prawdopodobnie była właśnie niezapowiedziana; a może i niepożądana. Więc „Cynthia” musiała zginąć. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Zaraz! A może właśnie była zapowiedziana? Przecież na okręcie płynął admirał Norton. No tak. Teraz wszystko jasne. Że też wcześniej nie wpadł na to. Norton! Admirał Fred Norton — wieczny antagonistą i śmiertelny wróg Burtona. Admirał, któremu podlegała

flota, nie miał nic do szukania w Bazie Obrony Pacyfiku. Baza to podwórko pułkownika Burtona. Więc dlatego Dick Rauber jest rozbitkiem? Dlatego z jego życia musieli odejść na zawsze Luiza i Jack?

Dobrze jednak, że wyszedł cało z tej katastrofy. Z niepotrzebnej masakry, w której zginęli jego najbliżsi. Nie wątpił już teraz, że miała ona ścisły związek z tajemnicą otaczającą tę zagubioną w bezmiarze Pacyfiku bazę. Jeżeli jego domysły się potwierdzą, a tego był prawie pewien, będzie miał więc jeszcze coś niecoś do zrobienia na tym najlepszym ze światów. Będzie miał dług, a Dick Rauber, zwany „Żelaznym”, zawsze spłaca swoje długi. Zawsze i w terminie!

Teraz dopiero zrozumiał wiele rzeczy. Był już zupełnie pewien, że zna przyczyny tej potwornej zbrodni. Wie już, dlaczego zginęli ludzie i okręt. Drwiący uśmiech nie schodził mu z warg. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jest przez cały czas bacznie obserwowany. Mógł nawet wskazać dokładnie miejsce ukrycia śledzących go kamer. Ciekaw był mocno tego, jakie wrażenie wywarł na obserwatorach jego strój i stan, w jakim się znajduje.

Oczekiwanie przedłużało się nieco i był już solidnie zniecierpliwiony, kiedy obok niego szczęknęły drzwi i z klatki windy wyszło dwóch barczystych drabów w błękitnych uniformach Obrony Pacyfiku. Sylwetka trzeciego majaczyła ciemną plamą w prostokącie drzwi. „Niezła eskorta” — pomyślał z humorem. Nie ufają mu. Nic zresztą w tym fakcie dziwnego. Na ich miejscu też nie rzucaliby się w ramiona obszarpanemu przybyszowi. W ich oczach ten pokrwawiony intruz w niczym nie przypominał sławnego, zawsze eleganckiego oficera, jakim był Żelazny Dick. Ręce oparli nonszalancko na kaburach elektronowych pistoletów, oczy szukały ukrytej w łachmanach broni.

Wyższy z nich lekko skinął głową w niedbałym powitaniu, gestem wskazując wejście do windy.

— Proszę z nami, kapitanie Rauber.

Po wyjściu z windy skierowali się długim korytarzem z licznymi, zamkniętymi na głucho, drzwiami w głąb bazy. Rauber szedł ze spuszczoną głową, nie rozglądając się na boki. Pozornie nic go nie interesowało, ale umysł pracował intensywnie. Znał siebie i wiedział, że raz przebytej drogi nie zapomni nigdy. Pomocna mu tu zresztą była dokładna znajomość innych baz tego typu. Wszystkie one były w gruncie rzeczy podobne do siebie, budowane według tego samego schematu. Różniły się między sobą jedynie nieistotnymi szczegółami.

Weszli do przestronnej hali, przegrodzonej w połowie długości niewysoką barierą dzielącą ją na dwie mniej więcej równe części. Ta, w której stali, była pusta, jeżeli nie liczyć trzech czy czterech automatów stojących nieruchomo pod ścianą w równych, kilkumetrowych odstępach. Po drugiej stronie barierki podłoga gwałtownie opadała tworząc basen. Poprzez gładkie lustro czystej wody prześwitywały kontury nieznanymi, dziwnymi urządzeniami czy maszynami. To było coś nowego. Tego nie widział w żadnej z baz. Ciekawe do czego to służy?

Przeięli ukośnie halę i zatrzymali się przed drzwiami opatrzonymi charakterystycznymi dla pneumatycznych wagoników uchwytami. Wyższy wskazał ręką bez słowa. Rauber szarpnął uchwyty i wszedł do wnętrza wagonika. Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie. W tym samym momencie wagonik ruszył.

Rozejrzał się nieco zdziwiony. Był sam. Eskortą pozostała w hali z basenem. Wzruszył ramionami. Ostatecznie co za różnica i tak nie mógł stąd uciec, a na końcowym przystanku z całą pewnością czekają inni. Stał bez ruchu wciąż s tym samym, przyklejonym do warg, sennym uśmiechem. Coraz lepiej. Brakuje jedynie jeszcze transparentu ze wzniostym hasłem i uścisku dłoni. Zagubiona owieczka powraca do stada. Jakże to wzruszające. Wprawdzie poturbowana nieco, to prawda, ale już przychodząca do siebie z powoli krystalizującym się planem działania.

Podróż pneumatykiem nie trwała długo. Wagonik zatrzymał się łagodnie i drzwi odskoczyły samoczynnie. Do wnętrza wtargnęło słońce. Oślepiony, w pierwszej chwili nie zauwa-

żył cyfrona, toteż drgnął na dźwięk jego zgrzytliwego głosu. Srebrzyste monstrum stało na ścieżce obok wejścia.

— Witaj... w Centrum... Pułkownik... czeka. Proszę za mną.

— Pułkownik? Jaki pułkownik?

— Dowódca bazy.

— Hmm...

Wyszedł na zalaną słońcem przestrzeń i spojrzał na robota. Nic szczególnego. Zwykły wieloczynnościowy cyfron, jakich wiele pętało się po każdej bazie. Uśmiechnął się szerzej.

— A jeżeli nie pójde?

— Mam... takie... polecenie... Jesteś... człowiekiem... możesz... zmienić... polecenie...

Czy zmienisz... polecenie?

— Nie. Prowadź!

Pękaty automat potoczył się po starannie utrzymanej ścieżce w kierunku stojącego w głębi tego mini-parku budynek. Niewielki, utrzymany w stylu indiańskich budowli, z mnóstwem skłębionych węży i maszkar nad wejściem i okiennymi otworami. Ocieniony smukłymi palmami i gąszczem tropikalnych roślin, był tu bardziej na miejscu niż stalowe konstrukcje bazy.

Tuż przy wejściu cyfron przystanął i wysunął czułki anten. Chwilę tkwił bez ruchu i Dick stanął również. Wiedział, że automat anonsował właśnie przybysza i odbierał polecenia. Zwrócił się do cyfrona.

— I co dalej?

Ten jednak nie zdążył odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich Pułkownik.

— Oczom nie wierzę! Dick? Ty tutaj?

— Pułkownik Burton? Pan?

— A kogo spodziewałeś się tu zastać? Świętego Piotra? Ja, chłopie! Ale ty skąd tutaj? Jak trafiłeś do tej bazy? Co znaczą te łachmany, krew?

— To pan powinien wiedzieć, Pułkowniku.

— Ja?

— Tak. Pan! Przecież posterunki meldowały na pewno zbliżanie się okrętu?

— Owszem. Rzeczywiście. Coś mi świta.

Pułkownik jakby nieco się zmieszał.

— Był taki meldunek. Więc ty stamtąd. Nie... Dobrze że żyjesz. Wszystko sobie w swoim czasie wyjaśnimy. Wpierw jednak musisz się trochę ogarnąć. Jak ty wyglądasz? Głodny też pewnie jesteś? Co ja wygaduję? To jasne, że jesteś głodny i zmęczony. Zrobimy wobec tego tak. Cyfron zaprowadzi cię do domku, który na razie zajmiesz i pomoże ci w ubraniu się i zaopatrzeniu. Wypocznij nieco Dick, a o jedenastej czekam u siebie. Masz może jakieś specjalne życzenie?

Pułkownik jak zwykle pozował na człowieka, którego nic nie jest w stanie zadziwić, ani zaskoczyć.

— Nie, Pułkowniku.

— Wobec tego tak, jak powiedziałem. Czekam — skinął mu lekko głową i zniknął w półmroku pomieszczenia. Dick klepnął cyfrona po pękatym kadłubie.

— Idziemy, beczu!ko!

Po kilkunastu metrach wyrósł przed nimi stary, ceglany mur i stojące wzdłuż niego niewielkie domki. Wszystkie były jednakowe, różniące się jedynie kolorem ścian. Cyfron zaprowadził Dicka do niebieskiego, oznaczonego numerem trzy, i cofnął się do wnęki specjalnie dla niego przeznaczonej.

— Jesteś... na... miejscu... Ubranie... i wszystko... masz... przygotowane... Jedzenie... i napoje... w chłodziarce... Czy... jestem... ci... jeszcze... potrzebny?

— Nie!

Robot schował czułki i światełko aktywności na jego piersi przygasło. Rauber odetchnął z ulgą. Pierwszy etap miał już poza sobą. Ze wstrętem zrzucił z siebie potargane, pokrwawione resztki odzienia. Chłodny prysznic był jak balsam.

Po chwili wykąpany i w czystym uniformie służby Obrony Pacyfiku, choć jeszcze bez dystynkcji, poczuł się znów sobą. Otworzył lodówkę. Tak jak się tego spodziewał — była obficie zaopatrzona. Teraz poczuł głód. Na kromkę chleba nałożył kilka plasterów różowego łososia, wyjął dwie puszkę bezalkoholowego piwa. Opadł na wygodny, głęboki fotel. Spojrzał na stojący w rogu staroświecki zegar ze śmiesznymi wskazówkami w kształcie rakietek.

Do jedenastej brakowało ponad godzinę, mógł więc wiele jeszcze rzeczy przemyśleć. Czasu miał sporo. Wiedział, że Pułkownik będzie odnosił się do niego z rezerwą, choć z drugiej strony nie okaże mu tego wprost. Nic dziwnego. Na jego miejscu też by nie ufał facetowi, którego skazał na śmierć, a który niespodziewanie i niepotrzebnie zmartwychwstał. W to, że katastrofa „Cynthii” była zamierzona, ba, była wynikiem wyraźnego polecenia, nie wątpił ani przez chwilę odkąd znalazł się w tej bazie. Pytanie tylko: kto miał być główną ofiarą? Kto stał się do tego stopnia niewygodny dla pułkownika Burтона, że ten nie zawahał się przed poświęceniem okrętu i tyłu ludzi? Road? Admirał Norton? A może właśnie on, kapitan Rauber? Wiedział przecież dużo, a jeszcze więcej się domyślał. Za dużo nawet. W ich zawodzie nie było to ani mile widziane, ani bezpieczne. Teraz niewiele go to obchodziło. Ważne jest jedno. Zginęli Luiza i Jack, i ktoś musi za ich niepotrzebną śmierć zapłacić. I on, właśnie on, Dick Rauber, wystawi temu komuś słony rachunek!

Na razie trzeba zadomowić się w bazie i odzyska bodaj częściowo zaufanie Burтона, Musi znów stać się tym „Żelaznym Dickiem”, bez którego nie tak dawno Pułkownik nie mógł się obejść. Nagle przyszło mu coś do głowy. Małeńki sprawdzian.

— Cyfron!

— Słucham.

Pękate dziwo wytoczyło się z wnęki i stanęło pełne gotowości do wszelkich usług.

— Gdzie broń?

— Jest... w... stojaku... Podać?

— Dawaj!

Robot wszedł do sąsiedniego pomieszczenia i po chwili wrócił niosąc w wyciągniętych, chwytnych manipulatorach dezintegrator. Od razu poczuł się lepiej. Nie jest jednak tak źle. Najwidoczniej Pułkownik nic do niego nie miał, w przeciwnym razie nie dostałby broni do ręki. Znał przecież starego doskonale. Jowialny i na pozór dobroduszny Burton był zarozumiałą i niebezpieczną bestią. Ambitny do przesady, nie przebierający w środkach i nie liczący się z nikim i z niczym. Co knuł teraz? Po co potrzebna mu była zagłada „Cynthii”? Niedługo już się tego dowie.

Dochodziła jedenasta. Wstał i poprawiwszy broń u pasa, wyszedł z domku. Za sobą usłyszał człapanie. Obejrzał się. Robot podążał w ślad za nim.

— Cyfron. Na miejsce. Pójdę sam.

— Mam... polecenie... towarzyszenia... ci... wszędzie... Czy... zmieniasz... polecenie?...

— Nie. Wykonuj!

Szedł teraz szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Słyszał kroki robota za plecami i denerwowało go to serdecznie. Po co mu ten anioł stróż? Postanowił jednak nie dziwić się niczemu.

W progu stylowego budynekczku oczekiwał go już Pułkownik we własnej osobie. Nic się stary nie zmienił.

— Nareszcie. Nie mogłem się już doczekać. Wezwałbym cię wcześniej, ale wiesz. Sprawy nie cierpiące zwłoki — rozłożył ręce w bezradnym geście. — A i ty musiałeś przecież wypocząć, przebrać się. Inaczej już wyglądasz. Wejdz — odsunął się i puścił go

przodem. Weszli do komfortowo urządzonego saloniku. Pułkownik wskazał mu fotel.

— Siadaj. Czego się napijesz? Gin? Koniak?

— Gin z tonikiem, jeżeli można.

Usiedli przy stoliku z kieliszkami w rękach. Burton podsunął mu tackę z solonymi migdałami.

— Proszę. Teraz mów dokładnie, skąd się tu wziąłeś i do tego w takim stanie? Nocą był wybuch na otwartym morzu. Czy to ma jakiś związek z twoim przybyciem? I co to było?

— Pan nie wie?

— Dick! Od zadawania pytań ja tu jestem! Więc?

— Na „Cynthii” był wybuch. Zginęli wszyscy. Ja uratowałem się przypadkiem. W momencie wybuchu stałem przy burcie. Ogień ogarnął błyskawicznie cały pokład, płonęli żywcem. Nie wiem sam kiedy skoczyłem do wody. Chyba mnie wyrzuciło. Wyniosło mnie na brzeg tu właśnie. Do bazy również trafiłem przypadkiem. Nie miałem pojęcia o jej istnieniu.

— Kto był na „Cynthii” i dokąd płynęła?

— Specgrupa z Roadem na czele. Dowodził Admirał.

— Kto? — Pułkownik zerwał się zaskoczony.

Rauber przyglądał mu się spod oka. Jeżeli udawał, to trzeba przyznać, że robił to znakomicie. Nawet przybladł nieco. Opanował się jednak szybko i usiadł.

— Do diabła! Norton nie żyje! Chwileczkę — podniósł słuchawkę stojącego na stoliku telefonu. — Gert? Tu Burton. Natychmiast łódź patrolową do kwadratu 0-4. Wyłowić wszystkie szczątki i ewentualne zwłoki. Ustalić przyczyny wybuchu. O wykonaniu natychmiast meldować... Tak. Mnie osobiście. To wszystko.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się ponownie do Dicka.

— Kto jeszcze był na pokładzie? — spytał patrząc mu w oczy.

— Luiza i Jack.

— Zginęli? — wstał i wyciągnął rękę. — Cholernie mi przykro, chłopcze. Przyjm wyrazy współczucia. Przeprowadzę dokładne śledztwo, ale już teraz mogę ci powiedzieć. To wina Nortona. Bydłę nie admirał. Karierowicz i głupi. Zawsze zresztą był głupi. Zazdrościł mi stanowiska, wpływów, judził, spiskował. Taaak. Luiza i Jack. To okropne. Co zamierzasz robić?

Dick nie odpowiedział. Stał w postawie zasadniczej pochyliwszy głowę. Przez chwilę trwało krępujące milczenie.

— No tak. — Pułkownik przyglądał mu się z namysłem. — Co się stało, to się nie odstanie, a żyć trzeba dalej — mruknął sentencjonalnie. — Jak powiedziałem, zbadam dokładnie sprawę — wstał i podszedł do okna. — Co chcesz robić?

— Pytanie, Pułkowniku! — Dick popatrzył na niego. — Jestem oficerem. Nikt mnie przecież dotychczas ze służby nie zwolnił. Sprawy osobiste, choćby tak tragiczne jak moja, to rzecz drugoplanowa. Melduję się do pana dyspozycji — powiedział spokojnie, choć wszystko w nim kipiało. Najchętniej zastrzeliłby tę bestię. Niestety. Niczego by to w tej chwili już nie zmieniło. Musi wpieryw dokładnie ustalić, kto wydał rozkaz zatopienia „Cynthii” i kto rozkaz ten wykonał. Na to potrzeba trochę czasu. Czasu i względnej swobody działania. Opanował się i nawet uśmiechnął.

— Słusznie kapitanie Rauber. Słusznie. Tego się właśnie po tobie spodziewałem. Ale nie o to w tej chwili mi chodzi. To, że zostajesz ze mną, jest samo przez się zrozumiałe. Pytam, co zamierzasz robić już teraz. Przeżyłeś przecież katastrofę i spotkało cię osobiste nieszczęście. Powinieneś z tydzień odpocząć. Jesteś roztrzęsiony. Musisz się uspokoić, nabrać sił. Dziesięć dni ci starczy?

— Aż nadto. Dziękuję!

— Jeszcze jedno. Dick. — Pułkownik w dalszym ciągu nie odwracał się od okna. — O tej bazie wie naprawdę niewiele osób. Oficjalnie wysepka jest niezamieszkała. Nie ma tu

portu, przystani. Trochę skał i las. Wydałem zakaz opuszczania krateru. Ostatnio mieliśmy tu kilka... ściślej mówiąc, trzy dziwne wypadki. Stąd trochę rozprężenia. Dlatego nie było strażnika w Starym Przejściu, którym się tu dostałeś. Winnych niedopatrzenia ukarałem. Teraz nawet mysz się nie prześliznie, ani tam, ani stamtąd. Nikt nie ma prawa opuszczania bazy bez mego osobistego zezwolenia. Ciebie to również dotyczy. Czy wszystko jasne?

— Tak jest.

— No to byłoby na razie wszystko. — Pułkownik odwrócił się wreszcie od okna i wyciągnął ku Dickowi rękę. — Odpoczywaj. Rozejrzyj się po bazie. Jeszcze jedna prośba: o godzinie dwudziestej odprawa u mnie. Tu! Chciałbym, byś był na niej. Zgoda? W takim razie jesteś wolny.

Uścisnęli sobie ręce i Dick wyprężył się salutując. Pułkownik uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne i czujne. Dick zrobił przepisowy „w tył zwrot” i wyszedł na zalany słońcem trawnik. Tuż przy wejściu warował pękaty automat. Dick nie zwracał na niego uwagi. Rozglądając się ciekawie, ruszył przed siebie w kierunku kopulastej bryły budynku Obserwatorium Astronomicznego. Całe to urządzenie, prócz nazwy, niewiele miało wspólnego z jakimikolwiek naukowymi obserwacjami nieba. Był to po prostu zespół do kierowania lotem międzykontynentalnych rakiet nuklearnych i tajnych, szpiegowskich sputników Ziemi.

Szedł, pozornie nie zwracając uwagi na człapanie robota za sobą. Ciekawe czy to Burton wydał takie polecenie automatowi by towarzyszył mu na każdym kroku, czy też takie tu panują zwyczaje? Trzeba się o tym niezwłocznie przekonać.

Odwrócił się raptownie do tyłu. Mały, pękaty stworek zatrzymał się również i zwrócił w jego kierunku czuлки antenek.

— Cyfron! Polecenie. Wracaj do domku na swoje miejsce i wyłącz się. Wykonuj!

— Przyjąłem... polecenie... Wykonuję.

Mały robot, nie odwracając się, poszedł z powrotem i po chwili zniknął za kępą obsypanych bladoróżowym kwieciami tropikalnych krzewów. Dick rozejrzał się uważnie. Był naprawdę sam. W polu widzenia nie plątały się już żadne automaty. Nie było też widać ludzi. Na dobrą sprawę nie znaczyło to jednak nic. Mogło tu być i zapewne było, mnóstwo ukrytych kamer, śledzących bacznie każdy jego ruch. Uśmiechnął się mściwie. Niech śledzą! Nie na „Żelaznego Dicka” takie sposoby. A swoją drogą, załoga bazy chyba nie jest zbyt liczna. Cicho tu i pusto. Przypomniał sobie gwar i ruch panujący w innych placówkach. Być może, w tym przypadku, właśnie teraz część załogi jest na zewnątrz krateru. Przecież Burton kazał przeszukać rejon katastrofy. Trzeba spenetrować cały krater. Ma na to dziesięć dni czasu, a to wcale niemało. Tylko spokojnie!

Postanowił zacząć od samych urządzeń i obiektów bazy. Szczególnie trzeba uwzględnić wejścia i wyjścia na zewnątrz oraz miejsca ewentualnych lądowisk. Musiały tu takie być. Poszuka ich. Burton wprawdzie wyraźnie powiedział, że na wyspie nie ma portu, ani przystani. Zaopatrzenie jednak jakoś tu dociera. Więc pozostaje droga powietrzna. Samolot tu nie wylądował, za ciasno, więc śmigłowiec. Muszą gdzieś być hangary. Gdzie?

Nagle zatrzymał się i ręka mimo woli sięgnęła do pasa. Na ścieżce, kilka kroków przed nim, leżał wąż. Ciemnobraunaty w złote cętki, czarne paciorki oczu wbił w człowieka. Z paszczy wysunął cienki, ruchliwy język rozdwojony na końcu. Zasyczał z wściekłością i sprężył się do skoku.

Dick błyskawicznie dobył broń. Nie celując prawie nacisnął spust. Cichy szcęk i nic. Wcisnął raz jeszcze i jeszcze. Niestety. Dezintegrator nie działał. Był nie naładowany, lub zepsuty, co na jedno wychodziło.

Gad tymczasem zwinął się jak sprężyna i skoczył. Dick zrobił szybki półobrót i prawie na oślep machnął trzymaną w ręku bronią. Wąż przeleciał tuż koło jego biodra i upadł dwa kroki dalej, wijąc się w agonii.

Psiakrew! Co z tym dezintegratorem? Kciukiem wcisnął przycisk ładowania i ponownie

wycelował w wijącego się wciąż na miejscu węża i nacisnął spust

Jednak nic. Broń była do niczego. Warta nie więcej, ni i żelazo i plastik, z którego ją wykonano. Ciekawe. Przypadek czy brak zaufania? Więc jest bezbronny. Do licha! Tych gadów nie ma tu chyba więcej, poza nimi nic mu więcej nie grozi. Wąż już znieruchomiał.

Postanowił wrócić do domu. Był zmęczony. Cholernie zmęczony. Dość przeżyć w jednym dniu, nawet jak na Dicka Raubera. Niedbałym ruchem wsunął broń do kabury i nie zaszczycał nawet jednym spojrzeniem znieruchomiałego gada, ruszył szybkim krokiem w kierunku swojej kwatery.

W domku tkwił w przeznaczonej dlań wnęce cyfron z wygaszonym światelkiem aktywności. Wzruszył ramionami. Nastawił zegar na budzenie o dziewiętnastej trzydzieści, po czym zwałił się, tak jak stał na tapczan. Po chwili spał jak zabity.

Na odprawie u Pułkownika było ich czterech. Kiedy stanął w drzwiach saloniku, zdziwił się nieco. Jednak sądził, że załoga bazy jest liczniejsza. Czterech oficerów to w najlepszym przypadku czterdziestu ludzi. W Bazach Obrony Pacyfiku było to żelazną regułą. Jeden oficer na ośmiu, dziesięciu ludzi: szeregowych i podoficerów. Ci bowiem, choć bez stopni, rozporządzali wiedzą. Byli to najczęściej specjaliści wysokiej klasy. Piloci kosmiczni, inżynierowie, elektronicy, astronomowie. Właśnie oficerowie reprezentowali tu zwykle niższy poziom intelektualny. Im wiedza nie była potrzebna, mieli władzę.

Pułkownik podniósł się z za biurka.

— Panowie! Przedstawiam wam mojego byłego adiutanta. Kapitan Dick Rauber.

Przywitali się trzaskając obcasami. Wysoki, chudy jak tyka kapitan Forster i trzech porucznicy: Jacobson; Letter i Smith.

— Siadajcie panowie.

Pułkownik był dziś w nie najlepszym humorze.

— Jak wiecie zapewne wszyscy, wydarzył się w nocy nieszczęśliwy i tajemniczy wypadek. Na pierwszym pasie ochrony zatonała „Cynthia”, statek badawczy Dowództwa. Wypadek nie pociągnąłby za sobą tak tragicznych skutków, gdyby admirał Norton nie nafaszerował go bombami. Po co? Na „Cynthii” płynął też oddział abordażowy i trzecia kompania komandosów pod dowództwem porucznika Roda. Jeszcze raz pytam, po co? Zresztą wyjaśnimy to w najbliższym czasie. Teraz pewne jest jedno. Wobec śmierci, a raczej na jej skutek, nastąpią przesunięcia personalne w Dowództwie Baz. W związku z tym zmuszony jestem wyjechać natychmiast na ląd. Poruczniku Jacobson! Proszę przygotować śmigłowiec na dwudziestą drugą. Dalekiego zasięgu. Pełny zapas podróży.

— Tak jest!

— Rauber. Pan ma urlop. Na razie pozostanie pan w bazie. Na czas mojej nieobecności dowództwo obejmie kapitan Forster. Jak zwykle żadnych pogawędek w eterze. Tylko nasłuch. Są pytania?

Dick Rauber uniósł głowę i spojrzał Pułkownikowi w oczy.

— Natknąłem się na węża, Pułkowniku. Jadowitego! Dezintegrator był niesprawny. Kto w bazie odpowiada za broń?

— Niesprawny? A to co znowu za historia? — Pułkownik wyglądał na poważnie zaniepokojonego. — Poruczniku Letter. Co to ma znaczyć? Proszę sprawdzić całą broń w bazie. Cyfron załatwił węża?

— Nie. Odesłałem go wcześniej. Nie lubię jak roboty włączają się za mną.

— Rauber! To jest mój rozkaz. Tego plugastwa namnożyło się mnóstwo. Człowiek nie zawsze zdąży, a automat jest niezawodny. Każdy z nas tutaj ma takiego anioła stróża. Nie chcę więcej w bazie ani trupów, ani nie wyjaśnionych śmierci. Jak dałeś sobie radę?

— Mam refleks — wzruszył obojętnie ramionami. — Będę na siebie uważał. Proszę o pozwolenie chodzenia bez opieki robota.

Pułkownik przypatrywał mu się długą chwilę spod lekko przymkniętych powiek, wreszcie uśmiechnął się szeroko.

— Masz stargane nerwy. Rozumiem. Zgoda. Zrobię raz jeden wyjątek i obym tego nie żałował. Coś jeszcze, panowie?

Potrząsnęli głowami przecząco. Pułkownik wstał i z niskiej szafki wydobyl pękatą butelkę i sześć kieliszków.

— Jeżeli tak, to wypijmy strzeziennego — ostrożnie napełnił kieliszki. — Prosit!

Z namaszczeniem brali do rąk kruche naczynia. Stuknęli się i wypili. Dick z rozbawieniem obserwował ten napuszony ceremoniał. O co tu chodzi? Znał Pułkownika. Na co dzień oschły i apodyktyczny, teraz tak by się zmienił? Pewnie przewiduje niemałe trudności w związku ze śmiercią Nortona i na wszelki wypadek kaptuje sobie sojuszników. Nic z tego, Pułkowniku! Jest jeszcze Dick Rauber i kilka spraw do wyjaśnienia. Nie, Pułkowniku! Jest świeża pamięć „Cynthii”, śmierć Luizy i Jacka. Uśmiechnął się mściwie, lecz natychmiast spoważniał. Jeszcze może ktoś dostrzec ten, nie na miejscu u człowieka dotkniętego nieszczęściem, uśmiech. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Pułkownik właśnie wstał. Był to znak, że odprawa skończona. Wychodzili pojedynczo, salutując. Dick wyszedł ostatni. Na ścieżce przed domem, oparty dłonią o cyfrona, stał Letter.

— Kapitanie Rauber. Proszę o pańską broń. Sprawdzimy w rusznikarni. Za godzinę podrzucą panu sprawny dezintegrator. Cyfron tymczasem odprowadzi pana na kwatere. Z całego serca nie radzę chodzić bez broni po tym przeklętym kraterze. W ostatnim miesiącu trzech naszych szlag trafił. Węże.

— Tyle tu tego?

— Zatrzęsienie! Nie wiadomo skąd się to diabelstwo bierze. Specjalnie zaprogramowane automaty polują na nie bez przerwy. Niestety, nie widać ubytku. Więc za godzinę.

Schował otrzymaną broń i zsalutował niedbale. Dick wzruszył ramionami i wolno poszedł ku swojemu domkowi. Za nim poczłapał cyfron. Co teraz robić? Na sen nie miał najmniejszej ochoty. Spał całe przedpołudnie. Na zwiedzanie za późno. A gdyby tak odwiedzić któregoś z kolegów oficerów? Przecież to w końcu zupełnie zrozumiałe, że jako przybysz pragnie poznać swoich towarzyszy. Tylko kogo? Kapitan Forster odpada. Wygląda na milczka i służbistę, a Dick miał zamiar przy okazji dowiedzieć się czegoś interesującego. Jacobson zajęty przygotowaniem do odlotu Pułkownika. Letter? Ten znów bawi się w sprawdzanie broni. Pozostaje więc jedynie Smith.

— Cyfron. Gdzie mieszka porucznik Smith?

— Pomarańczowa... dziewiątka... Prowadzić?

— Prowadź.

Robot posłusznie wyprzedził człowieka i skrzył w prawo. Poszedł za nim, nie zwracając uwagi na otoczenie. Wiedział z doświadczenia, że węże nocą nie są tak groźne jak w dzień. Zresztą pod tym względem ufał całkowicie cyfronowi. Ten widzi doskonale w ciemności i jest na pewno szybszy od najszybszego z tych gadów. Chyba zastanie porucznika w domu. Porucznik Smith wydał mu się typem karierowicza. Takemu wystarczy umiejętnie schlebić, a można dowiedzieć się wszystkiego. Nie szkodzi, że jeszcze jest trochę nie w formie. Da sobie radę. Kiedyś uchodził za mistrza w wyciąganiu wiadomości od żółtodziobów w oficerskich mundurach. Jeżeli chce, potrafi być ujmujący, koleżeński, bezpośredni. Smith będzie z pewnością zaskoczony jego wizytą. To nic.

Znów skrzył w prawo i po kilkunastu metrach zatrzymali się przed domkiem oznaczonym numerem dziewięć. Okna domku były jasno oświetlone, co wskazywało na obecność właściciela.

— Jesteśmy... na... miejscu... Pomarańczowa... dziewiątka... porucznik... Smith.

Cyfron zrobił półobrót i zastygł w bezruchu.

— Masz... dla... mnie... jakieś... polecenie?

— Nie. Wyłącz się.

Dick jednym skokiem przebył dzielące go od drzwi schodki i energicznie zastukał.

— Wejść! Otwarte.

Pchnął drzwi i wszedł. Porucznik Smith siedział wygodnie rozparty w fotelu, ze sporą szklanicą w ręce, pełną jakiegoś płynu.

— Aaa! Kapitan Rauber we własnej osobie. Stało się coś kapitanie? Przysięgnę, że dopiero co widzieliśmy się na odprawie.

— Fakt.

— Więc? Jakiś pilny interes do mnie?

— Nie. Skądże. Po prostu poruczniku, spać mi się nie chce. Mam ochotę poznać kolegów. Wpadłem do pana...

— Bardzo mi miło kapitanie. Tylko dlaczego właśnie do mnie?

— A dlaczego właściwie nie do pana? Ktoś musi być pierwszy.

— Też racja. Zresztą co mi tam. Podoba mi się pan, kapitanie Rauber. Wiele o panu słyszałem. To dla mnie zaszczyt nie lada. Niech pan usiądzie. Czego się pan napije?

— Dziękuję — roześmiał się Dick. — Wolnego, Smith. W tym tempie zaleję się najdalej w ciągu godziny. Wypiłem u siebie, potem kielich u Pułkownika, a teraz znowu pan...

Smith wzruszył ramionami i uśmiechnął się pogardliwie.

— A co tu więcej można robić w tej przeklętej dziurze? Kobiet nie ma, żadnego towarzystwa. Nawet w karty nie ma z kim pograć. A może pan? — spytał z nadzieją w głosie.

— Nie, poruczniku. Niestety, ja też nie gram w karty, ale przy kielichu mogę panu od czasu do czasu, po służbie, dotrzymać towarzystwa.

— Dobre i to — ucieszył się Smith. — Cyfron! Butelkę whisky i lód. A— i szklanek dla kapitana. Szybciej!

Robot, widocznie przyzwyczajony do tego rodzaju poleceń, uwinął się błyskawicznie. Smith nalał i uniósł kieliszek do góry.

— W pańskie ręce kapitanie. Równy z pana facet.

Dick z namysłem patrzył na bezbarwny płyn w szklance.

— Co to za baza, poruczniku? Dlaczego nigdy o niej nie słyszałem? Co tu jest grane?

Smith wybuchnął śmiechem głośniejszym niż to było potrzebne i odchylił się w fotelu, kładąc głowę na poręcz. Ukrywa coś, albo alkohol zaczyna działać, pomyślał Dick i uśmiechnął się w duchu.

— Kapitanie Rauber — Smith uniósł głowę! spojrzął na niego nieco zamglonym wzrokiem. Uśmiech zniknął z jego warg, a w oczach zamigotało wahanie. Jakby nieco wytrzeźwiał.

— Baza, w której mamy zaszczyt, wątpliwy zresztą, przebywać, jest najważniejszą z Baz Pacyfiku.

— Najważniejszą?

— A tak. Najważniejszą. Dlatego raczy dowodzić nią osobiście Jego Wysokość Pułkownik Burton. Personel starannie, acz w trochę niezwykły sposób dobrany, zapewnia pełną tajność prowadzonych tu badań. Czy wie pan, że mamy tu profesora Ready?

— Johna Ready? Tego egzobiologa?

— Jego samego.

— Przecież profesor Ready zniknął w tajemniczych okolicznościach ponad rok temu. Policja stawiała na głowie, by znaleźć choćby najmniejszy ślad. Prezydent wyznaczył wysoką nagrodę. I nic. Kamień w wodę.

— Ready jest tu. Cały i zdrow, choć niezupełnie zadowolony. Pozna go pan osobiście. Zresztą nie tylko jego. Jest tu też Kleist i Stawinsky, Girn i Mrówczenko. Mówią panu coś te nazwiska?

— Na boga, poruczniku. Sami naukowcy światowej sławy.

— I wszyscy zniknęli w tajemniczych, niewyjaśnionych okolicznościach. Tak..., tak, kapitanie. Teraz dołączył do nich nie mniej słynny kapitan Rauber. Też zginął w tajemniczych okolicznościach. Hi... hi... hi. Doborowe towarzystwo, nieprawdaż?

— Jestem zdumiony. Co to wszystko znaczy poruczniku?

Smith wzruszył ramionami i popatrzył na niego spod oka.

— Pułkownik zapewne wszystko panu wytłumaczy. Wydaje mi się, że i tak za dużo powiedziałem. Odwykłem od picia w towarzystwie i plotę głupstwa. Pijmy.

Stuknęli się kielichami i wypili. Przez dłuższą chwilę panowało niezręczne milczenie. Przerwał je Smith.

— No cóż. Takie jest właśnie życie — mruknął sentencjonalnie. — Na wozie i pod wozem. Jak komu wypadnie. Dziś pijemy, a jutro... Ba! Kto może na pewno powiedzieć, co przyniesie mu jutro. Co go czeka za dzień, za godzinę... Pijmy.

Dick napełnił powtórnie kieliszki.

— Filozof z pana, poruczniku. Baza to baza. Pracować trzeba i można wszędzie. Sądzę, że się tu przydam. Jest wprawdzie parę rzeczy, które mnie zastanawiają i mam zamiar przyjrzeć im się z bliska, z bardzo bliska, ale ogólnie można wytrzymać.

— Oho. Bez obrazy, kapitanie — Smith sięgnął po napełniony kieliszek. — Wyłazi z pana „Żelazny Dick”. No cóż. Życzę powodzenia.

Wychylił kielich jednym haustem i wstał.

— Przyjemnie nam się gawędziło, kapitanie, ale na mnie już pora. Muszę zajrzeć do stajni. Służba.

— Do stajni? Macie tu konie?

Smith roześmiał się i lekko zmieszał.

— Konie? Nie, kapitanie. Idę zajrzeć do naukowców. A stajnia? No cóż. Byłem w cywilu bookmacherem i menażerem. Przyzwyczajenie.

— Rozumiem. Ale swoją drogą powinien pan traktować ich z szacunkiem. To przecież jednak uczeni światowej sławy. — Dick również się podniósł.

— Do zobaczenia, poruczniku Smith.

— Ależ skaczę koło nich na dwóch łapkach, z szacunkiem. Niech mi pan wierzy, Dick — Smith chwiał się lekko na nogach. Pokażna porcja alkoholu zrobiła swoje, albo porucznik miał, jak na oficera, wyjątkowo słabą głowę. Dick czuł wprawdzie lekki szum w głowie, ale był zupełnie trzeźwy. Umysł jego pracował jasno i precyzyjnie. Niewiele wyciągnął z tego pijaka, ale i tego, co się dowiedział, było sporo. Dawało wiele do myślenia.

Wyszedł na ganek i stanął niezdecydowany. Co teraz? Na spacer już za późno i za ciemno. Spojrzał wokoło.

— Cyfron.

— Jestem... Słucham.

Automat wychynął z mroku i zatrzymał się jak zwykle w gotowości do odebrania poleceń, o dwa kroki od oficera.

— Prowadź do domu i uważaj. Kobra może atakować i w ciemności.

— Wiem... Jestem... przygotowany... Idziemy.

Potoczył się przed nim, zabawnie podrygując na nierównościach ścieżki. Piersiowym reflektorem oświetlał drogę przed sobą.

W domu Dick, nie zdejmując munduru, rzucił się na tapczan i założył ręce pod głowę. Na sen nie miał najmniejszej ochoty. Zasnął jednak nie wiedząc kiedy.

R o z d z i a ł II

ŚWIĄTYNIA MAJÓW

Świt ozłocił turnie wokół krateru, ale w dolinie panował jeszcze niepodzielnie mrok i snuły się lekkie mgiełki. Było chłodno. Na trawie przed domkiem perliła się srebrem rosa i sunął po niej spory żółw, znacząc ciemną ścieżkę.

Niebo nad kraterem wisało wysokie bez jednej chmurki, a na jego tle obracała się wolno ażurowa półkula radiolokatora. Z lasku otaczającego jezioro dolatywał wrzask papug i jakieś odgłosy, których w żaden sposób nie mógł zidentyfikować. Coś jakby pohukiwanie zakończone niskimi, chrapliwymi trelami. W miarę jak wstawał dzień, chłód ustępował miejsca rześkiemu, choć znacznie cieplejszemu powietrzu poranka.

Dick przeciągnął się aż chrupnęło w stawach i przesunął ręką po włosach. Do diabła! Przespał całą noc bez rozbierania. Nadmiar wrażeń i zmęczenie zrobiły jednak swoje. Rozejrzał się po uśpionej bazie. Pusto. Nigdzie nie było widać ludzi. Albo jest ich naprawdę niewiele, albo takie tu panowały zwyczaje.

Nic go to nie obchodziło. Miał urlop i mógł robić co chce, a jako przybysz miał prawo nie znać tutejszych zwyczajów. Pułkownik najprawdopodobniej nie wrócił jeszcze. Nie mógł wrócić. W takim razie urządzi sobie przed śniadaniem małą przechadzkę. Musi tylko zachować ostrożność. Wężę wprowadzie o tej porze nie przejawiają aktywności, ale kto wie. Strzeżonego, itd.

Cyfrona nie chciał wlec z sobą. Znał ten typ robotów doskonale i wiedział, że każda czynność zarówno samego automatu, jak i człowieka, któremu cyfron towarzyszy, jest skrupulatnie zarejestrowana w jego zespołach pamięci i w każdej chwili może być odtworzona. W swojej bogatej karierze człowieka z obstawy wiele razy już korzystał z zapisów automatów inwigilujących interesujące go osoby. Kilka lat temu w Los Angeles Stary Jerry wmontował mu mały ładunek wybuchowy pod maskę jego wozu. Zapomniał głupiec; że automaty doskonale widzą w ciemnościach. Zawsze sprawdzał zapis strażnika. Stary Jerry już nigdy nikomu nie włożył małego ładunku wybuchowego pod maskę samochodu.

— Cyfron.

— Jestem... słucham.

— Czy jest jeszcze jakaś broń w tym domu?

— Jest... dezintegrator... Odnieśli... późnym... wieczorem.

— Doskonale. Dawaj.

Pękate dziwo uwinęło się błyskawicznie i po chwili Dick był uzbrojony. Od razu poczuł się lepiej. Chwilę zastanawiał się, ważąc w rękę broń, wreszcie wycelował w leżący nieopodal kamień i nacisnął spust. Krótki błysk i kamień wyparował. Po prostu zniknął jakby go nigdy w tym miejscu nie było. W porządku. Broń była sprawna. Nie przypuszczał, by zaszła konieczność jej użycia, ale taką już miał naturę. Lubił mieć pod ręką coś do strzelania. Czuł się wtedy dużo swobodniej. Uspokojony już teraz zupełnie zwrócił się do cyfrona.

— Idę na przechadzkę. Wrócę około jedenastej. Pozostań na miejscu.

— Mam... polecenie... towarzyszyć ci... wszędzie... i... w... razie...

— Zmieniam polecenie.

— Przyjąłem.

Nie oglądając się na zastygły w bezruchu i jakby zakłopotany automat, ruszył rażnie w kierunku ciemnej ściany drzew, okalających szmaragdowe jezioro pośrodku dolinki. Nie miał wcale zamiaru dotarcia doń. Po prostu chciał zniknąć z pola widzenia robota. Szedł lekkim, beztróskim krokiem człowieka, który się nigdzie nie spieszy. Jeżeli komukolwiek przyszłaby ochota przejrzeć zapis pamięci robota, powinien być święcie przekonany, że widzi osobnika myślącego jedynie o beztróskim zwiedzaniu krateru. Nie miał ani cienia wątpliwości, że argu-

sowe kamery cyfrona śledzą bacznie każdy jego ruch.

Kiedy doszedł do skraju lasu z zadowoleniem stwierdził, że drzewa rosły tu dość rzadko i zagajnik prawie zupełnie pozbawiony jest poszycia. Jedyne tuż przy skraju, niby pas żywopłotu, rosły gęste, zbite, obsypane masą bladoróżowych kwiatów krzewy.

Lepiej być nie mogło. Zniknął z oczu, a raczej z obiektywu cyfronowi i mógł poruszać się względnie wygodnie, bez obawy natknięcia na węża. Teraz skręcił w prawo, w kierunku, gdzie, jak pamiętał z wczorajszej jazdy ruchomym chodnikiem, leżały ruiny i porośnięte zwaliska jakiejś starej osady czy budowli. Chwilami w prześwitach dostrzegał ciekawą nitkę estakady i skalny masyw z bocza z wykutymi w nim schodami. Przyśpieszył kroku.

Dolinka nie była duża, toteż po kilkunastu minutach dotarł do skraju lasu i zatrzymał się zaskoczony. Doszedł do ruin. Wczoraj, z wysokości podniebnej trasy, wydawały mu się o wiele mniejsze i skromniejsze. Teraz wyrastały przed nim kamienne stopnie piramidy, na wpół powalone, a jednak imponujące ogromem kolumn i łuków sklepień.

Nad czarnymi kwadratami otworów okiennych kłębiły się przerażające maskary, odęte, wykrzywione twarze, powtarzający się natrętnie motyw stylizowanego, zastygłego w dynamicznym skoku jaguara i węże. Dziesiątki, setki splecionych ze sobą, pełnych ekspresji i pozornego ruchu węży.

Rysunek, choć przypominający azteckie ryty, był jednak bardziej prymitywny. Wiele tu było zamierzonych uproszczeń, ledwie zaznaczonych konturów. Najwidoczniej ruiny te liczyły sobie dużo więcej lat niż początkowo przypuszczał.

Olbrzymie, skalne bloki przemieszane z wszechobecną, tropikalną roślinnością tworzyły chaos, jaki może przyśnić się jedynie w koszmarnym śnie. To były ruiny świątyni jakiegoś potężnego bóstwa. Wybudowanie czegoś takiego nawet dzisiaj byłoby przedsięwzięciem niezwykle trudnym, jeżeli nie niemożliwym technicznie. A przecież budowali ten ogrom Indianie nie znający maszyn, dźwigów, ba, nie znający nawet pomocnej roli koła. Skąd wzięli na tej pustyni robotników? Przecież tę świątynię musiały budować tysiące ludzi przez całe lata. Jakże mocna była wiara, pozwalająca na realizację tak gigantycznego przedsięwzięcia. Wiara, zresztą najprawdopodobniej wzmocniona mieczem i batem.

Otrząsnął się z zaskoczenia i wzruszył ramionami. Co go to wszystko obchodzi! Przyszedł tu przecież w ściśle określonym celu, a jak ostatni dureń zapatrzył się na kupę gruzów, zapomniawszy o wszystkim. Musi dokładnie poznać te ruiny. Stwierdzić czy nie są odwiedzane przez obecnych mieszkańców krateru, no i czy nadają się do jego celu. Przynajmniej tu czuł się swobodnie, ukryty przed wścibskimi ryjkami kamer telewizyjnych. Nie było ich tu z pewnością, bo i po co. Na co komu potrzebna byłaby stała obserwacja prehistorycznych ruin?

Chociaż, kto wie? Takiej ewentualności jednak wykluczyć zupełnie nie można. Za krótko tu był i nie wszystko wiedział. Trzeba dokładnie to sprawdzić. Możliwość ukrycia się od czasu do czasu była podstawowym warunkiem powodzenia planu, jaki powoli krystalizował się w jego umyśle. Rozejrzał się uważnie wokoło. Pustka zupełna. Można było przypuszczać, że w promieniu setek mil nie ma ludzi, ani ich brudnych spraw, że jedynym świadectwem ich istnienia na tym najlepszym ze światów są wyłącznie te potężne zwaliska. Zielona ściana dżungli zakrywała przed jego oczyma zabudowania bazy i tylko kreska estakady przypominała bezlitośnie rzeczywistość. Uśmiechnął się smutno.

Słońce tymczasem pokonało już barierę szczytów i potoki jasnego światła zalały dolinę, wydobywając z półmroku każdy szczegół rzeźb. Zrobiło się wyraźnie cieplej. Uważnie spoglądając pod stopy, z ręką na uchwycie kolby dezintegratora, ruszył w labirynt potrzaskanych bloków. Lada chwila na ciepłe kamienie i ścieżki wypełnione to jadowite plugastwo, a nie chciałyby używać broni. Anihilacja mogła być i zapewne była rejestrowana przez czujniki promieniowania bazy, a to od razu zdradziłoby jego miejsce pobytu i całą konspirację diabli brali.

Ostrożnie wszedł między potrzaskane kolumny wypatrując wejść do niższych kondygnacji świątyni. Wiedział, że muszą tu być i podziemia, liczył na to, ale w tej chwili nie one go najbardziej interesowały. Nie zabrał ze sobą reflektora, nie miał więc żadnych możliwości bodaj pobieżnego ich przebadania. Nie martwił się tym wcale. Jutro powróci tu lepiej wyekwipowany i obejrzy je sobie w miarę dokładnie. Choćby miał przewrócić każdy kamień, musi znaleźć to, czego szukał. Od tego zależy wszystko. Bez odpowiedniej, zapewniającej mu schronienie, niedostępnej kryjówki nie zrobi nic. Z podstępny półśmiechem patrzył na porośnięte wszechobecny, zielonym kobiercem złomy.

Luki sklepień, na skraju ruin potrzaskane i zwalone, w głębi świątynnego kompleksu zachowały się w dużo lepszym stanie. Tu i ówdzie widniały ciemne wejścia do komnat, zarosłe girlandami lian i dziko pniącej się roślinności. Stado niewielkich małych przebiegło krawędzią zwalisk, urągając przybyszowi. Pogroził im pięścią.

Ściana obłudnie splecionych roślin wydawała mu się nie do przebycia. Żałował, że nie zaopatrzył się w coś w rodzaju maczety. Wprawdzie wątpił, czy te szerokie noże wchodziły w skład wyposażenia pracowników Bazy Ochrony Pacyfiku, ale przy odrobinie trudu mógłby ostatecznie coś podobnego sobie zrobić. Na razie szedł wzdłuż gęstej ściany, aż natknął się na niby wydeptaną ścieżkę. Zastanowiło go to i zaniepokoiło. Czyżby ruiny były odwiedzane przez ludzi? Chyba nie. To wyglądało raczej na naturalną wyrwę w gęstwinie. Zagłębił się w zielony wąwóz z ręką na dezintegratorze. Nie uszedł jednak daleko. Nagle względnie wygodną ścieżkę, przegrodziła mu dziwaczna przeszkoda. Pochylony na bok, oparty o skalny blok, tarasując sobą bez reszty przejście, stał posąg

Pomimo że do lekliwych nie należał, wzdrygnął się. Z wysokości kilku metrów patrzyły nań wylupiające oczy bóstwa. Podkurczone jak gdyby w półprzysiadzie olbrzymie, obute w sandały nogi i wydęty, obwisły brzuch. Szyję postaci otaczał wieniec rzeźbionych w kamieniu ludzkich czaszek, a ręce rozrzucone na boki (jedna z nich pokruszona leżała u jego stóp), dzierżyły pęki wijących się węży. Dojrzał jakiś ruch koło lewej stopy posągu. Błyskawicznie dobył broń i zamarł w bezruchu z palcem na spuście.

Ze szczeliny pomiędzy szarym głazem a stopą bóstwa wypełził spory wąż. Złociste w czarne cętki ciało gada leniwie przepływało przez olbrzymie paluchy nogi kamiennego bałwana, by wreszcie okręciwszy się wokół jakiegoś korzenia, znieruchomieć między jego nogami.

Teraz uniosła się, nagłym rzutem, mała, trójkątna głowa i na Dicka popatrzyły zimne, paciorkowate oczy. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Człowiek i wąż. Gad sprężył się jak do skoku, wysunął długi, ruchliwy język i zasyczał ostrzegawczo.

Rauber stał bez ruchu z wycelowanym w węża dezintegratorem i jak urzeczony wpatrywał się w złowrogie sploty. Gad po chwili jakby usatysfakcjonowany demonstracją własnej siły, opuścił łeb i nie zwracając już uwagi na człowieka, wpełzł do szczeliny, z której dopiero co ukazał się.

Dick odetchnął a ulgą i schował broń. Tym razem obeszło się bez jej użycia. Ostrożnie wycofał się z wąskiego przejścia i spojrzał na zegarek. Minęły już prawie dwie godziny jego spaceru i chociaż do jedenastej pozostało jeszcze wiele czasu, postanowił wracać. Odwiedzi ruiny ponownie dziś po południu lub jutro. Ten przekłety gad był jak strażnik. Pokazał się intruzowi, zagroził mu i zniknął. Ciekawe, czy w każdym przejściu czuwa taki świątynny stróż. Uśmiechnął się mściwie. Da sobie z nimi radę, a nawet wykorzysta ich obecność. Nie będzie tępił tych węży. To nawet dobrze dla niego, że tak czujnie strzegą tajemnic zburzonej świątyni. Będą strzegły i jego kryjówki. Nie wątpił ani przez chwilę, że znajdzie coś odpowiedniego.

Na skraju lasku skręcił w lewo i po kilkudziesięciu metrach wyszedł z gąszczy naprzeciw swojej siedziby. Srebrzysta beczułka automatu tkwiła na swoim zwykłym miejscu. Na odgłos jego kroków cyfron zapalił światelko aktywności i wysunął się.

- Masz coś dla mnie? — spytał Dick bez przekonania.
- Pytał... o pana... porucznik... Smith.
- Czego chciał?
- Nie... powiedział.
- Dobrze. Wyłącz się.

Wszedł do pokoiku i z ulgą opadł na fotel. Zdaje się, że wszystko jest na dobrej drodze. Ruiny, tak jak się tego spodziewał, zapewnią mu bezpieczną kryjówkę, a strach tutejszej załogi przed wężami będzie ją chronił skuteczniej niż automaty strażnicze. Przypomniał sobie zimne spojrzenie gada przy posągu i zaśmiał się cicho. Spostrzegł, że ostatnio śmieje się często, choć nie był to, niestety, wesoły śmiech. Czego znów chce od niego ten pijaczyna Smith? Stęsknił się za jego towarzystwem przy kielichu? A może niepokoi go fakt lekkomyślnej paplaniny wczoraj przy wódce? Chociaż co on takiego powiedział? O uczonych? Przecież tego faktu i tak na dłuższą metę nie sposób było ukryć przed nim, jeżeli miał tu pozostać. Prędzej czy później musiałyby się z nimi zetknąć. Postara się, by to było raczej wcześniej niż później. Ta cała sprawa wygląda tak, że chyba warto przyjrzeć się jej dokładniej.

Sniadanie po przechadzce smakowało jak nigdy, toteż wkraczając w obręb zabudowań bazy miał wyśmienity humor. Niedbałym gestem skwitował regulaminowe pozdrowienie jakiegoś draba w mundurze, szeregowca służby satelitarnej i wszedł na ocieniony matowym stropem dziedziniec, okolony czołowymi ścianami gwiazdźście rozstawionych pawilonów roboczych.

Znał doskonale ten rozkład, tak budowano większość Baz Ochrony Pacyfiku, dlatego bez wahania skierował się w lewo, do pawilonu naukowo-badawczego. W wąskim korytarzyku, wyciągając nogi na całą jego szerokość, siedział rosły żołnierz z naszywkami starszego sierżanta.

Na widok Dicka podniósł się leniwie z fotela i spojrzał niepewnie.

- Tu Pawilon Naukowy, kapitanie.
- Wiem. I co z tego?
- Mam rozkaz nie wpuszczać tu nikogo.
- Mnie to też dotyczy? Znacie mnie?
- Tak jest, kapitanie Rauber!
- Więc? — podniósł głos wyczekująco.

Podoficer zawahał się i odstąpił pod ścianę, robiąc przejście. Dick minął go obojętnie, a otwierając drzwi do pomieszczenia laboratorium dostrzegł kątem oka, że sierżant sięga do wnęki kryjącej aparat łączności wewnętrznej.

W obszernym pokoju, zastawionym różnego rodzaju aparaturą naukową, siedziało dwóch ludzi w białych, roboczych kitlach. Spojrzeli bez entuzjazmu na wchodzącego, a starszy z nich, niski, szpakowaty mężczyzna wstał i wyciągnął rękę do Dicka.

— Dzień dobry. Prosiłem, aby nam nie przeszkadzano, panie...? Przepraszam. Nowa twarz. Nie znam pana, choć chyba już gdzieś pana widziałem.

- Profesor Kleist, prawda?
- Nie myli się pan. Z kim mam przyjemność?
- Kapitan Rauber.

— Rauber... Rauber. Nie przypominam sobie, chociaż mógłbym przysiąc, że znam pana twarz. Zresztą wszystko jedno. Proszę przypilnować, kapitanie Rauber, żeby nam nie przeszkadzano. To zbyt poważna sprawa. Rozpracowujemy ostatnio odebraną serię. Dzisiaj się nie odezwali. Jak tylko będą nowe sygnały dam znać. Jeszcze coś kapitanie?

Dick nie zdążył odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich wyprężony jak struna starszy sierżant.

- Panie kapitanie. Proszę do telefonu.

Rauber zasalutował profesorowi i uśmiechnął się przepraszająco.

— Widzi pan, profesorze Kleist, nawet porozmawiać spokojnie nie dadzą. Postaram się, aby nikt wam nie przeszkadzał. Zegnam!

W słuchawce trzeszczał podniesiony głos Forstera:

— Kapitanie Rauber! Proszę łaskawie opuścić Pawilon Naukowy. Bez osobistego zezwolenia Pułkownika wszelki kontakt z naukowcami jest surowo zabroniony. Będę zmuszony o pana samowoli zameldować pułkownikowi Burtonowi.

— Kapitanie Forster — w Rauberze obudził się dawny zabijaka, „Żelazny Dick”. — Ten ton proszę łaskawie zarezerwować dla swojej, powiedzmy, teściowej. Zdaje mi się, że na razie nie podlegam panu.

— Zastępuję dowódcę bazy!

— Więc co z tego?

— Przepraszam, ale to rozkaz Pułkownika.

— Powtarzam! Więc co z tego? Wystarczyło przekazać mi ten rozkaz, a podniesiony ton potrenować na cyfronie. To bardzo cierpliwa maszynka. Coś jeszcze?

— Nie. Na razie tyle.

— Świetnie — odłożył z trzaskiem słuchawkę i spojrzął na stropionego sierżanta.

— To wszystko, sierżancie. Proszę tu nie wpuszczać nikogo.

Wyszedł zamyślony. Coś tu jest nie tak. Niby dlaczego uczeni są tak ściśle odizolowani od reszty załogi? Prawda! Uderzył się dłonią o czoło. Przecież oni wszyscy zniknęli w tajemniczych okolicznościach. Najprawdopodobniej uprowadzono ich siłą. Ale po co? I Kleist mówi! o jakichś sygnałach? O co tu chodzi? Kto się jeszcze nie odezwał dzisiaj? Więźniowie. Więźniowie światowej sławy i jakieś tajemnicze sygnały. Sprawa zaczynała być coraz ciekawsza.

Przed jego domkiem siedział na schodkach porucznik Smith.

— Gdzie to pan się podziewa, kapitanie Rauber? Pytałem o pana to monstrum, ale tuman nic nie wie.

— Coś ważnego, Smith?

— Nie. Nic szczególnego. Mała rewizyta. Trochę za dużo wczoraj wypilem, wie pan? Plotłem, co mi ślina na język przyniosła. Chyba nie stało się nic złego? Prawda, kapitanie?

— Skądże, w porządku Smith. Wstąpi pan na jednego?

— Dziękuję, ale tylko jeden. Pułkownik wraca...

— Tak? To świetnie! Mam do niego pilną sprawę. Ściąłem się trochę z Forsterem i dlatego muszę x Pułkownikiem omówić sprawę kompetencji.

— Pokłócił się pan z kapitanem Forsterem? Przy jakiej okazji?

— Normalnie. Wałęsałem się trochę po Bazie i zaszedłem do naukowców. Forsterowi się to nie podobało.

— Do naukowców? O! Do diabła! Jasne, że mu się nie spodobało. Jest ściśle przestrzegany zakaz jakichkolwiek kontaktów z nimi. I co? Rozmawiał pan z którymś?

— Naturalnie. Po to tam poszedłem.

— Z kim?

— Z Kleistem.

Dickowi wydawało się, iż porucznik odetchnął z ulgą.

— Zresztą co mnie to wszystko obchodzi? Wie pan, kapitanie? Przypomniałem sobie... Niestety, nie mogę wstąpić do pana. Może innym razem. Przepraszam. Muszę już iść.

Pożegnał się skinieniem głowy i oddalił szybkim krokiem w kierunku kopuły Astro.

Dick patrzył za nim z kpiącym uśmiechem. Pułkownik Burton trzyma ich twardą ręką. Smith jest śmiertelnie zastraszony i przekonany, że wizytę Dicka u naukowców spowodowała jego lekkomyślna gadanina. Nie myli się zresztą. Teraz biedak woli trzymać się z daleka od tej sprawy i od kapitana Raubera. A swoją drogą, cała ta sprawa zaczyna śmierdzieć coraz gorzej. Co się, do cholery, za tym wszystkim kryje? Zresztą cokolwiek by to było, nie mają

zbyt wiele czasu. On, Dick Rauber zwany „Żelaznym”, już się o to postara. Za Luizę... Za Jacka... Za załogę „Cynthii”. Szkoda że nie zapytał Smitha, kiedy dokładnie wraca Burton. Chociaż to wszystko jedno. Może przecież robić, co mu się podoba. Ma odpoczywać. To polecenie Pułkownika.

Przeliczy się jednak Jego Wysokość. Wolne dni wykorzysta na cele o wiele ważniejsze niż wypoczynek. Zresztą czuje się już znakomicie, zwłaszcza fizycznie. A psychicznie? Na zalecenie tych ran przyjdzie jeszcze poczekać. Tu muszą minąć lata, a nie dni. Coś się jednak w nim załamało. Coś odeszło i nie powróci już nigdy. Nie sądzone mu widocznie było spokojne życie rodzinne. Planowali podróż dookoła świata... mały domek gdzieś z dala od wielkomijskiego gwaru... konie... Luiza lubiła konie i psy. Po urodzeniu się Jacka podarował Luizie małego, śmiesznego szpica. Szczeniak przyzwyczyił się do spania pod łóżeczkiem niemowlaka i warczał, kiedy próbowano mu to wyperswadować. Teraz to już dorosły pies. Nie było go na „Cynthii”. Zostawili go u znajomych. Ocalał.

W podręcznym składziku, gdzie obok skafandra do swobodnego nurkowania, butli i kuszy, stojaka na broń, ustawiono szafkę z najprzeróżniejszymi drobiazgami, wyszukał niewielką, poręczną latarkę i zwój cienkiej, lecz niezwykle mocnej linki nylonowej. Z apteczki wydobyl automatyczną strzykawkę ciśnieniową z surowicą przeciwjadową. Długą chwilę zastanawiał się nad czymś, wodząc wzrokiem po sprzętach i pokręci! głową. To chyba byłoby wszystko. Wpierw kryjówka w świątyni, a potem powoli zgromadzi tam niezbędne mu przedmioty. To, co wybrał teraz, owinał w papier, tworząc małą paczkę. Wolał, by cyfron nie zarejestrował jej zawartości.

Spokojnie zjadł obfity posiłek, bo chociaż nie był specjalnie głodny, wiedział, że musi nabrać sił przed oczekującą go powtórna wyprawą do ruin. Przy wyjściu zaświtała mu złośliwa myśl.

— Cyfron — zwrócił się do sterczącego w niszy automatu — wychodzę połączyć po kraterze. Może wstąpię do Pawilonu Naukowców, albo do zespołu Astro. A teraz... w tył zwrot! Wyłącz się.

Przypuszczał, że śledzą go nie tylko obiektywy cyfrona, ale w niczym nie mogło mu to teraz przeszkodzić. Szybkim krokiem ruszył w kierunku zarośli.

W ruinach nic się nie zmieniło, tylko słońce, stojąc teraz w zenicie, zalewało jasnymi potokami światła rumowisko. Stada małą po dawnemu harcowały po wierzchołkach prastarej budowli. Nie zapuszczał się już w wyłom prowadzący do posągu bóstwa, ale wybrał prawie niewidoczna ścieżkę, prowadzącą ostro w dół i zakończoną zarośniętym lianami otworem. Nie była to zresztą ścieżka w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie wydeptały jej niczyje stopy. Po prostu zwalona kolumna, porośła z obu stron gęstą roślinnością, tworzyła wyrwę, którą z trudem dało się przejść. Kolumnę pokrywały ryte w jasnoburym kamieniu pióra i stanowiła ona, jak przypuszczał, część cielska pierzastego węża, o czym świadczyły resztki potrzaskanej gadziej głowy. Widywał podobne w Mayapan i Uxmal na Jukatanie. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Świątynię, której resztki miał przed sobą, budowali nie Aztekowie czy Inkowie, ale starożytne plemię Majów, czciciele białego boga, którego ziemskim wizerunkiem był właśnie Pierzasty Wąż.

Dla jego planów było to zupełnie obojętne. Ciemny otwór, nad którym stanął, wydawał się być wejściem do podziemi bo po odsunięciu kurtyny lian, ukazały się zasłane gruzem stopnie prowadzące w głąb. Ciągnął stamtąd wilgotny chłód.

Rozwinął przyniesione ze sobą zawiniątko. W kieszeni na piersiach umieścił napełnioną surowicą strzykawkę, przewiesił przez plecy zwój linki. Niepotrzebny już papier wcisnął starannie w szczelinę skały. Wolał nie zostawiać za sobą zbędnych śladów. Na wszelki wypadek sprawdził, czy broń wychodzi lekko z kabury i, świecąc latarką, powoli zaczął schodzić w dół.

Zasłona z lian zamknęła się szczelnie za nim, pogłębiając i tak panującą tu ciemność.

Naliczył czterdzieści trzy stopnie, kiedy stanął w wąziutkim, niskim korytarzu. Tak niskim, że musiał pochylić się, by nie uderzyć głową o kamienny strop.

Światło latarki wydobywało z ciemności gładkie ściany, pozbawione jakichkolwiek ozdób, wykute w jednolitej skale. Nigdzie nie zauważył spojeń czy rys, które świadczyłyby o tym, że korytarz stanowi część naziemną budowli. Nie był długi. Po kilkunastu krokach kończył się obszernym pomieszczeniem, którego podłoga miała kształt wklęsłej misy z ziejącym pośrodku otworem, o średnicy około metra.

Podszedł doń blisko i zaświecił w głąb. Daleko w dole błysnęła maleńka tafla wody. Więc po prostu studnia. Ściany jej, jak i ściany korytarza, wykute były w litej skale. Przejechał w krąg światłem. Co za bogactwo rzeźb. I znów ten sam motyw sprężonego w skoku jaguara. Na wprost niego ostrołukiem majaczyło wejście do dalszych pomieszczeń.

Następna sala o równie bogato zdobionych płaskorzeźbami ścianach miała dwoje bocznych otworów drzwiowych. Niestety. Z obu wysypywała się lawina gruzu i odłamków kamieni. Ta droga nie prowadziła nigdzie.

Był rozczarowany. Zbyt widoczna ścieżka i widoczny otwór wejściowy czyniły zbadany fragment podziemia bezużytecznym dla jego celów. Każdy mógł tu trafić bez trudu, a przecież tego nie chciał. Jego kryjówki nie powinien wysledzić ani człowiek, ani automat. To sprawa życia i śmierci. Nie wolno mu postępować lekkomyślnie. Burton czy Forster, choć łajdaki, nie są bynajmniej głupcami. Wystarczy cień podejrzenia i żegnajcie piękne plany.

Wycofał się tą samą drogą, którą przybył. Trzeba zrezygnować z łatwych przejść i nie bacząc na niebezpieczeństwo natknąć się na węże, zacząć szukać w gąszczach i wśród rumowiska głazów. Dotąd nie napotkał żadnego gada, ale nie znaczyło to wcale, że ich tu nie ma. Strażnik koło posągu był tego najlepszym dowodem.

Z trudem wspiął się na omszały głąz i przeskakując przez szczeliny, to znów opuszczając się w zapadliska, uparcie posuwał się w głąb kompleksu zrujnowanej świątyni.

Dobrnął wreszcie do nieźle zachowanego fragmentu budynku i przez otwór okienny wszedł do środka. W obszernej, nisko sklepionej sali panował mrok. Podłogę zalegały jakieś kamienne szczątki, a w jednym kącie dostrzegł wyraźnie ciemniejszy prostokąt zejścia do niższych kondygnacji. Skierował latarkę w tamtym kierunku. Tak. Nie mylił się. Schylając głowę w niskim przejściu, zaczął schodzić w dół.

Czterdzieści trzy stopnie. Co u licha przyczepili się tak do tej cyfry? Może ma to jakieś znaczenie? Kiedy stanął u wejścia do sporego, okrągłego pomieszczenia, od razu wiedział, że znalazł wreszcie to, czego szukał:

Miejsce wybornie nadawało się na kryjówkę. Skomplikowana droga do wnętrza ruin, dobrze zamaskowane wejście, na które trafił przypadkowo, gwarantowały odpowiedni stopień trudności w odnalezieniu go.

Okrągła, pozbawiona okien sala, o czystej, jakby wymiecionej podłodze, zaopatrzona była ponadto w szerokie, kamienne ławy, biegnące wokół ścian, w których wykute były co dwa trzy metry płytkie wnęki, wystarczające jednak wybornie na złożenie w nich przedmiotów, które zamierzał tu powoli zgromadzić...

Mimo skrupulatnego przeszukania pomieszczenia, nie natrafił na najmniejszy ślad węży. Wystarczyło jedynie odpowiednio zabezpieczyć otwór drzwiowy i mógł sobie kpić z gadów.

Powietrze było tu niezwykle czyste i, o dziwo, słyszał wrzaski małp i papug, jakby dziełił go od nich tylko gąszcz, a nie grube, solidne mury i dwa piętra. Widocznie istniał tu system kanalików doprowadzających do podziemi powietrze i jednocześnie zapewniający doskonałą słyszalność. Budowniczości Majów byli jednak mistrzami w swoim fachu. Stanowiło to dodatkową zaletę tej i tak świetnej kryjówki.

Wracając, oznaczył dokładnie drogę, by móc trafić tu bez trudu.

Cyfron stał w swojej wnęcie w normalnej pozycji. Był to znak, że ktoś go odwiedził i

kazał robotowi odwrócić się. Dick zatrzymał się zaciekawiony.

— Cyfron! Kto tu był?

— Kapitan... Forster — wydukał automat.

— Czego chciał?

— Pytał... o... kapitana... Raubera. Co... robił... do... południa... i... gdzie... jest... obecnie.

— Co mu odpowiedziałeś?

— Na... pierwsze... pytanie... Nie wiem... Na... drugie... pytanie... Nie wiem.

— Doskonale. Przekazał coś?

— Powiedział... „Do... diabła... to... się... jeszcze... okaże”... Żadnych... poleceń... nie... przekazał.

— Pułkownik wrócił?

— Nie... wiem... Brak... informacji.

Machnął ręką i wszedł do domu. Forster najwidoczniej mu nie ufa. a może po prostu widzi w nim konkurenta do łask Pułkownika. Przecież jeszcze nie tak dawno, o czym wszyscy wiedzieli, właśnie on, Dick Rauber, był prawą ręką pułkownika Burtona.

A skąd się wziął ten cały Forster? Dick znał, przynajmniej ze słyszenia, cały sztab Baz Ochrony Pacyfiku i wszystkich znaczących coś oficerów. O Forsterze nie słyszał nigdy. Przecież gdyby to był wybitny oficer. Dick podczas tylu lat służby nie mógłby nie zetknąć się z tym nazwiskiem. Forster... Forster. Nie! Nie słyszał o nim nigdy. No tak. O tej bazie też nie słyszał nigdy, a jednak istnieje. Trzeba strzec się tego typu. Może narobić kłopotów.

Co innego Smith. Ten jest raczej ograniczony i chyba nie przepada za Forsterem. Można go będzie wykorzystać, nie wtajemniczając go naturalnie w swoje plany. Nikogo nie może wtajemniczać. Nikogo. Musi działać sam. Przez moment wydawało mu się, że jego plany są szalone i absolutnie nierealne. Sam przeciw wszystkim?

A może jednak poszukać sprzymierzeńców wśród oficerów lub szeregowych? Wzruszył ramionami. Bzdura! Ludzie tu są starannie dobrani. Może liczyć na głupotę, nigdy na zrozumienie i przychylność. Da sobie radę sam. Musi! Teraz, kiedy Luiza i Jack odeszli z jego życia na zawsze, nie zależy mu już na niczym, a najmniej właśnie na życiu. Rozmyślenia przerwał mu cyfron.

— Pułkownik... Burton... prosi... do... siebie.

Mimo woli spojrzął na stojący na stoliku telefon.

— Pułkownik? Kiedy? Gdzie jest?

— Pułkownik... Burton... jest... u siebie.

— Jak to u siebie? To skąd wiesz, że mnie wzywa?

Od razu zdał sobie sprawę z głupoty własnego pytania.

— Mam... łączność... bezpośrednio... zawsze.

— Rozumiem — że też nie uprzytomnił sobie tego od razu. Widocznie nie przyszedł jeszcze do siebie po katastrofie. Stary jak zwykle nie dowierza nikomu. Poprzez tych pękających dozorców jest doskonale poinformowany o każdym kroku swoich podwładnych. To właśnie, a nie węże, jest przyczyną, dla której te srebrne monstra depczą po piętach każdemu i o każdej porze. Zdziwiająca, że tak szybko ustąpił właśnie jemu i pozbawił go towarzystwa tego szpiega. Dobre i to.

— Zamelduj Pułkownikowi, że idę.

— Wykonuję... polecenie.

Rauber obciągnął fałdy uniformu i poprawił broń. Nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku kwatery Burtona. Za nim człapał cyfron.

Dzień miał się już ku końcowi i od lasu niosła się falami przejmująca woń tropikalnej dżungli. Grały świerszcze. Duże nietoperze bezgłośnym lotem przemykały nad konarami drzew i dachami domków.

Pułkownik nie był sam. W głębi pokoju, ze szklanką w ręce, siedział kapitan Forster we własnej osobie. Popatrzył na wchodzącego z ukosa. Milczał. Burton skinął Dickowi głową.

— Siadaj. Czego się napijesz? Gin?

— Dziękuję. Za gorąco na alkohol. Oranżady, jeśli można.

Sączył powoli chłodny płyn, obserwując przechadzającego się nerwowo Pułkownika. Forster milczał w dalszym ciągu, wypatrując czegoś pilnie za oknem.

— Byłeś u naukowców. — Pułkownik stanął na wprost niego. — Byłeś. Po co?

Rauber spojrział na zwierzchnika, robiąc zdziwioną minę.

— Dlaczego? Owszem, byłem.

— Z kim rozmawiałeś?

— Nie rozumiem. Z doktorem Kleistem. Co to znaczy, Pułkowniku? Nie wolno? Nie wiedziałem o tym.

— Sierżant Grim cię przepuścił?

Dick roześmiał się szczerze.

— Pułkowniku. Pan mnie przecież zna. Czy ja należę do ludzi, których można gdzieś nie wpuścić, jeżeli oni tego chcą?

— No tak — teraz z kolei uśmiechnął się Pułkownik, ale uśmiechały się tylko usta. Oczy pozostały zimne i czujne. — To prawda, Rauber. Ale to mój rozkaz.

— Nie wiedziałem nic o takim rozkazie. Nie znalazł się, niestety nikt, kto raczyłby mnie o nim powiadomić. Nie jestem duchem świętym, Pułkowniku. Co tu jest grane? Nie ufa mi pan?

Burton skrzywił się i znów zaczął przechadzać się po pokoju.

— To nie to, Dick. To nie kwestia zaufania. Po prostu o tym, co tu się dzieje, wie bardzo niewiele osób. To sprawa państwowej wagi.

— Zgoda. Ale przecież zawsze byłem z panem. Pułkowniku. Więc dlaczego?

— Byłeś blisko z Nortonem.

— Nieprawda. Ale gdyby nawet, to co z tego?

— Norton nie wiedział nic o tej bazie. Dlatego i ty nie mogłeś wiedzieć. Jedno nieostrożne słowo...

— Więc jednak brak zaufania.

— Zaufania... zaufania. Ufam ci, bo jednak żyjesz. Gdyby nie to, nie dostałbyś się tu nigdy żywy. Znasz mnie. Wiesz że nie lubię niespodzianek, chyba że sam jestem ich autorem. Zaskoczyło mnie twoje zjawienie się, przyznaję. Mimo to żyjesz.

— Dziękuję.

— Nie ma za co — Pułkownik roześmiał się głośno i usiadł za biurkiem stojącym w rogu. — Nic się nie zmieniłeś, Rauber. Trzeba będzie go jednak wtajemniczyć w nasze sprawy. Przyda się chyba, co Forster?

Kapitan powoli odwrócił głowę od okna.

— Jak pan Pułkownik uważa. Ja osobiście poczekałbym z tym jeszcze. Może kapitan Rauber wyjaśni nam, skąd właściwie wziął się na „Cynthii” — odezwał się z niechęcią, nie patrząc na Dicka,

— Właśnie. — Pułkownik był wyraźnie zaciekawiony. — W sztabie powiedzieli mi, że wzięłeś urlop. Więc?

„Kontrolował mnie, sprawdzał w sztabie” — przebiegło przez myśl Dickowi. I co z tego? Co może mi zarzucić?

— Prawda... Wziąłem urlop. „Cynthia” miała iść do Singapuru. Chciałem pokazać Luizie i Jackowi Wschód. Admirał Norton nie wiedział, że płynę z nimi. Był zwyczajnie wściekły, gdy mnie zobaczył, ale nie mógł już nic zrobić. Byliśmy na morzu.

— Jak dostałeś się na pokład?

— Pułkowniku. Powtarzam. Czy mnie można zatrzymać?

— Słusznie. Dajmy temu spokój. Czy Norton nie mówił dokąd płyniecie?

— Nie. Nie pytałem o to. Byłem pewien, iż do Singapuru.

— A nie zastanawiałeś się czasem, po co mu w Singapurze oddział abordażowy i komandosi? Rauber... Rauber. Straciłeś nosa, stary wyżle. Norton płynął właśnie tu. Płynął po moją głowę. Jakimś sposobem dowiedział się, co my tu robimy, choć, rzecz jasna, nie mógł znać szczegółów. Chciał zająć moje miejsce. Zawsze był głupi. Zazdrościł mi wszystkiego. Władzy, popularności. Teraz uknuł piekielny plan. Niestety, nie przewidział w swej głupocie jednego — Pułkownik podniósł głos. — Nie przewidział, że nie natrafi na takiego idiotę, jakim sam był. Do tej wyspy, bez mojej wiedzy i zgody, nie dobieje żaden okręt. Nie doleci żaden samolot, ani śmigłowiec. Tu ja jestem panem.

Dick kiwał potakująco głową, patrząc w oczy Burtonowi.

— Jasne, Pułkowniku. Cieszę, że tu jestem. Przydam się.

— O tym jeszcze pomówimy w swoim czasie. A teraz do rzeczy. Masz dziesięć dni odpoczynku, więc odpoczywaj. Nie pchaj się tam gdzie nie masz nic do szukania. Do Pawilonu Naukowego wstęp mam tylko ja, kapitan Forster i porucznik Smith. Możesz łązić wszędzie, choćby po tych ruinach, ale nie radzę. Węże. Tego diabelstwa tu mnóstwo. Uprawiaj wspinaczkę, kąp się w jeziorze, zresztą, co ci będę podpowiadał. Rób co chcesz, ale od Pawilonu Naukowego wara... A teraz, Forster. Daj Rauberowi identyfikator.

Forster leniwym ruchem sięgnął do kieszeni i wydobyl niewielki przedmiot. Podał go Dickowi. Ten wziął w dwa palce kanciasty aparacik i obejrzał uważnie.

— Identyfikator? A co to takiego? Co mam, z tym robić? — spytał patrząc na pułkownika.

— Wpiąć w klapę i nie rozstawać się z tym, nawet idąc do ustępu. Jasne?

— Ale...

— Dość, Rauber — przerwał mu ostro. — Tu nie pensjonat dla dorastających panienek. Proszę to wpiąć bez gadania. Wszyscy mamy podobne — pokazał palcem na identyczny przedmiocik na piersiach Forstera. — To jednocześnie lokalizator. Muszę zawsze wiedzieć, gdzie kto jest. Tyle, Rauber. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę zwracać się do kapitana Forstera. Od dziś podlega pan mu bezpośrednio.

— Rozkaz! — Dick wyprężył się wstając z fotela i zaszutował. — Mogę odejść? — spytał spokojnie.

— Proszę. Jeszcze jedno Dick, Jest pan oficerem. Proszę przypiąć dystynkcje.

— Tak jest

W drzwiach domku prawie zderzył się z wchodzącym Smithem. Uśmiechnął się doń porozumiewawczo, Ten rzucił mu jakby spłoszone spojrzenie i nie odwzajemniwszy uśmiechu, wyminął go bez słowa.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Słońce zaszło za granie i dolina krateru wypełniła się niezbyt gęstą mgłą, w której blado przeświecały prostokąty okien i dalekie światła kopuły Astro. Szedł zamyślony, a cyfron deptał mu po piętach. Kontury drzew rozmyte mgłą wyglądały nierealnie jak teatralna dekoracja lub oprawa sennych majaków.

Po upalnym dniu zrobiło się prawie chłodno i chłód ten mile pieścił rozgrzane ciało. Miał ochotę maszerować tak bez końca. Skrzywił się ironicznie. Zachcianki. Można i bez końca, tyle tylko, że w koło krateru. Do domku, w którym mieszkał, miał zaledwie kilkanaście kroków. Dlatego wyraźnie dostrzegał kulę lampy płonącej przed wejściem, kiedy nagle zgasło światło. Raptownie zrobiło się zupełnie ciemno. Wszędzie. W oknach domków i zabudowaniach Bazy.

— Cyfron. Co się dzieje?

— Alarm... p... lot — beznamietnym głosem odparł pękaty stwór.

— Jaki alarm? Po co?

— Brak... danych... Alarm... przeciw... lotniczy.

Rzeczywiście! Teraz, gdy przystanął i ucichł szelest jego kroków na zwirowej ścieżce, z góry dobiegło go wyraźne mruczenie silników samolotu. światła najwidoczniej wygaszono, by pilot przelatującej maszyny nie wykrył bazy. W dzień okryta szczelnie maskującą, tropikalną roślinnością, z pomalowanymi na zielono dachami, była najzupełniej niedostrzegalna z powietrza. Co innego nocą. Światła zdradziłyby ją natychmiast. Cholernie skrupulatnie strzeżli tajemnicy. Co oni tu knują?

A że knują, tego był absolutnie pewny. Więzienie porwanych naukowców... Stop. Skąd pewność, że na pewno porwanych. Może to kamuflaż? Może właśnie przyjechali z własnej woli, a Burton jedynie zainscenizował tajemnicze zniknięcia, chcąc uniknąć ciekawskich dochodzeń? W takim razie co oni tu robią? Nad czym pracują? Co to za seria sygnałów, o których wspominał Kleist? Czuł, że natknął się na jakąś tajemniczą sprawę, która być może ma zasadnicze znaczenie dla powodzenia jego planów. Musi to wyjaśnić.

Buczenie samolotu oddaliło się i w bazie znów rozbłyły światła. Z głową pełną ponurych myśli dotarł do swojej kwatery. Położył się, zdejmując tym razem ubranie. Zasnął szybko i spał o niczym nie śniąc.

R o z d z i a ł III NOMINACJA

Pawilony bazy. Pięć długich, jednopiętrowych budynków rozłożonych gwiaźdzście i stykających się czołowymi ścianami. Miejsce zetknięcia pokryte przezroczystą, plastikową kopułą, tworzyło ogromną, pięciokątną salę. Nazywano ją popularnie okrągłakiem. Wchodziło się stąd do wszystkich pawilonów.

Znał to wszystko doskonale i dlatego nie miał tu nic do szukania, a bezcelowe wałęsanie się mogło komuś wpaść w oko i wywołać niepotrzebne komentarze. Przebywał już w tej tajemniczej bazie prawie dziesięć dni i wiele zdążył zaobserwować.

Zgromadzono tu kilkadziesiąt osób z pewnością starannie dobranych, wybranych z tysięcy potencjalnych kandydatów. Dlaczego jednak panowała nieprzyjemna atmosfera wzajemnej nieufności? Tego nie zauważył w żadnej z Baz Pacyfiku. Owszem. I tam obiekty strzeżono starannie, ale to przecież zupełnie normalne. Po prostu strefa wojskowa chroniona jest wszędzie na całym świecie.

Tu jest inaczej. Ludzie nie prowadzą prawie zupełnie życia towarzyskiego. Obserwują się wzajemnie, prześcigając w rywalizacji o względy zwierzchników. Spotkania ze sobą ograniczają do niezbędnego minimum kontaktów służbowych.

Wszystko to sprawiało przykre wrażenie i dlatego dłuższy pobyt tutaj był nie do pozazdroszczenia. A przecież miejsce tu piękne. Stromo opadające skały, zbocza dawnego krateru, soczysta zieleń roślin, lazurowy błękit nieba i cudowny, podzwrotnikowy klimat, złagodzony bliskością wszechobecnego oceanu. I tylko jakby dla przeciwwagi plaga węży. Tych pełzających i tych dwunożnych.

Uczeni, chronieni czujnymi strażnikami, w ogóle nie opuszczali swojego pawilonu, a nieliczna obsługa bazy i strażnicy starali się usilnie nie wchodzić sobie w drogę. Stąd to wrażenie pustki i cisza.

Rauberowi raczej to odpowiadało. Chodził własnymi drogami, chociaż zdawał sobie sprawę z faktu, że jest bacznie obserwowany, tak zresztą jak i pozostali mieszkańcy krateru. Jeszcze do tego ten idiotyczny identyfikator. Spojrzał z pretensją na niewielki przyrządek wpięty w klapę uniformu. Utrudniał mu trochę swobodne poruszanie się po kraterze, a jeszcze bardziej złościł. Przechytrzył ich jednak i nauczył się doskonale dawać sobie radę z tym

elektronicznym szpiegiem. Sposób był wprawdzie daleki od ideału, ale jak na razie zdawał egzamin, a to się przede wszystkim liczyło. Nie miał zbyt wiele czasu. Wiedział, że ten pracuje na korzyść jego przeciwników. Jeżeli chce udaremnić ich zamiary, musi się cholernie spieszyć. Wprawdzie całe swoje życie kierował się raczej hasłem „spiesz się powoli”, ale w tym wypadku... Zresztą wiele rzeczy nie zależało od niego. Rozpoznanie, oto co było w tej chwili najważniejsze. Zorientowanie się i to jak najdokładniejsze, w zamiarach Pułkownika. I to w zamiarach dotyczących nie jego, Dicka Raubera, ale uczonych i tego, nad czym pracują... Nie pomylił się chyba mówiąc, że to jest najdziwniejsze. Straże... Tajemnicze uprowadzenia, nie wszyscy najprawdopodobniej przybyli tu dobrowolnie. Nic to.

Czas na przechadzkę. Jak urlop to urlop. Przewącha, co tu jest do przewąchania. Jak zwykle nie brał cyfrona ze sobą. Kiedy automat ruszył z gotowością, osadził go krótkim:

— Zostań.

Okrzyknął zabudowania wolnym krokiem, pozornie bez reszty zajęty beztróskim spacerem. Tak jak przypuszczał, bezpośrednio za Pawilonem Astro umieszczono miniaturowe lądowisko dla stacjonujących tu śmigłowców, w jakie zresztą wyposażona była każda, bez wyjątku, baza. W tej chwili stały tu dwie pomalowane na kolor ochronny maszyny bez żadnych znaków rozpoznawczych, niezgodnie z Regulaminem Floty Powietrznej. Świadczyło to o tym, jak starannie zakonspirowana jest ta, na żadnych mapach nie oznaczona, baza. To też warto zapamiętać. Ciekawe, ile osób w Sztapie Baz Ochrony Pacyfiku wie o tej placówce. Niewiele, sądząc z tego, że i on o niej nigdy nie słyszał. Atut w rozgrywce pomiędzy Pułkownikiem a Admiralem? Możliwe. Chociaż... Rozgrywki personalne rozgrywkami, a tu naprawdę dzieje się coś dziwnego. „Kapitanie Rauber... Głowa do góry. I tak poradzisz sobie z tym wszystkim, bo musisz. Luiza i Jack czekają...”

Koło maszyn kręciło się trzech mechaników. Spojrzeli na przechodzącego oficera bez specjalnego zainteresowania i zajęli się ponownie swoją pracą. Niski hangar o rozsuniętych szeroko drzwiach, ukazywał puste wnętrze, słabo oświetlone kilkoma żarówkami. Więc mieli tu tylko dwa śmigłowce. Niewiele. W innych bazach było tego więcej.

Minął lądowisko i wszedł w zagajnik. Słońce, przefiltrowane przez strzępiaste kity palm, docierało tu złotoszarym półmrokiem. Spodem ciągnął lekki powiew, sprawiając iż pomimo cieplarnianego otoczenia, nie panowała tu duchota.

Teren wznosił się łagodnie ku górze i iść było coraz trudniej. Drogę co krok przegradzały powalone staroście, zbutwiałe pnie, które omijał starannie, wiedząc, że są zazwyczaj kryjówką przeróżnego robactwa. Węży nie napotkał dotąd i zaczął sądzić, że wieści o tej pladze były, delikatnie mówiąc, mocno przesadzone. Chociaż kto wie? A kobra spotkana na ścieżce w pierwszym dniu? A strażnik koło posągu bóstwa?

Gąszcz skończył się jak ucięty nożem, a przed oficerem wyrosła niebotyczna ściana skalna, oddzielona od zielonych zagajników wąskim pasem piargów. W zamierzchłej przeszłości musiało tu szaleć piekło ognia, bo kamień był stopiony, szklisty.

Fantastycznym, znieruchomiałym chaosem pięły się w górę skały, tworząc przeszkodę nie do zdobycia nawet dla najwytrawniejszego alpinisty.

Ruszył skrajem gąszczy, omijając ogromne głazy i spore szczeliny, na dnie których leżała głęboka czerń i biła stamtąd ledwie wyczuwalna woń siarki. Widocznie wulkan spał tylko, lecz tam w głębi wciąż jeszcze kłębił się ocean lawy, zagrażający ludziom i ich tworom. Oby tylko nie obudził się za wcześnie. Dick Rauber nie miał jeszcze zamiaru umierać.

Minęła prawie godzina forsownego, choć naturalnie wolnego marszu, kiedy teren zmienił się raptownie. Gąszcz odskoczył od zboczy krateru, a piargi przeszły w stosunkowo gładką płytę bazaltu, tworząc obszerny plac. Środek jego przecinała dobrze utrzymana droga, prowadząca do otwierającej się w skale półokrągłej gardzieli grotu.

Zaintrygowany zapuścił się w jej głąb. Tworzyła obszerny, oświetlony jarzącymi się lampami, zaskakująco przestronny tunel. Głucho dudniły kroki odbijając się głośnym echem

od sklepienia. Powietrze było tu chłodne i zupełnie zrozumiale wilgotne, a po ścianach spływały strumyczki wody, tworząc w zagłębieniach płytkie kałuże. Przyspieszył kroku.

Po kilkudziesięciu metrach ściany tunelu rozeszły się na boki. Kapitan zdumiony stanął na wygodnie urządzonej nadbrzeżu, o którego wykute w skale stopnie łagodnie pluskała fala podziemnego jeziora. Nieco na prawo od Dicka, przycumowany do stalowych polerów, majaczył wrzecionowaty kształt okrętu podwodnego o niskim, obłym kiosku. I na nim nie było żadnych cyfr ani znaków. Pomalowany na kolor ochronny, niczym nie zdradzał swojej przynależności państwowej.

W przeciwieństwie do lądowiska śmigłowców, tu nie było nikogo. Właz kiosku wydawał się szczelnie zamknięty, a wyrzutnie torped tkwiły otulone w kokony osłon. Rauber stał długo bez ruchu, przyglądając się okrętowi. Więc to tu kryło się rozwiązanie zagadki nagłego wybuchu na „Cynthii”. Torpedy! Pułkownik Burton pilnie strzeże tajemnicy. Mógł z czystym sumieniem przysiąc, że to z tego właśnie okrętu wystrzelono torpedy, które przerwały rejs statku. Kto stał w tym kiosku, kiedy na „Cynthii” rozszała się piekło? To też musi wiedzieć. Z oficerów, których poznał na odprawie u Pułkownika, nie było żadnego, kogo mógłby o to podejrzewać. Byli to lądowcy, nie marynarze...

Więc przybył jeszcze jeden przeciwnik. W to, że akcją zatopienia statku kierował stary marynarz, nie wątpił ani przez chwilę. Gdzie on jest teraz? Dlaczego nie widział go na odprawie? Jeszcze jedna zagadka do rozwiązania.

Rozejrzał się uważnie wokoło. No tak. Z dwu stron spoglądały nań tępe ryjki kamer. W tej bazie nie można zrobić ani kroku bez czujnej obserwacji. Wzruszył ramionami. Niech patrzą. Nie ma na razie nic do ukrycia, a zwiedzania krateru nikt mu przecież nie zabronił.

Swobodnym krokiem poszedł ku wyjściu pogwizdując sobie nawet beztrąsko pod nosem. Wiedział, że nie tylko go widzą, ale i słyszą. Chciał, a nawet musiał, sprawiać wrażenie człowieka zadowolonego z siebie i sytuacji... Człowieka, który już otrząsnął się, przynajmniej częściowo, z przygnębienia wywołanego katastrofą okrętu, na którym płynął oraz śmiercią najbliższych. Chociaż minęło niewiele dni od tej chwili, sądzi! że pułkownik Burton uwierzy, kładąc to na karb jego znanego twardego charakteru, któremu zawdzięczał przydomek „Żelaznego”.

Nie zamierzał już kontynuować wędrówki. Czuł w kościach dzisiejszy szlak, a i głód zaczął mu po trosze dokuczać. Wygodną drogą dotarł w pobliże zabudowań i skierował się ku swojej kwaterze. Miał zamiar zjeść, odpocząć, a potem zameldować się u Pułkownika.

Mijał już jego urlop, poprosi więc o przydział. Da mu to większą swobodę w łażeniu po bazie i pozwoli szybciej zrozumieć co tu się właściwie dzieje. Co się za tym wszystkim kryje? A że coś się kryje, i to jakaś niewyraźna sprawa, tego był pewien. Ci więzieni uczeni, brak emblematów na środkach transportu, tajemnicze sygnały, o których wspominał Kleist. To wszystko coś znaczy i on, Dick Rauber, musi to odkryć, jeżeli jego plany mają się udać. Weźmie w tym udział jak inni, ale jego cele będą nieco różne od celów pułkownika Burтона.

Cyfron na jego widok wysunął się do przodu.

— Był... kapitan... Forster... Szukał... pana.

— Po co?

— Nie wiem... Proszę... zameldować... się... u kapitana... Forstera... O... godzinie... czternastej... zero... zero.

„A ten czego znowu chce? Nie podobają mu się może moje wycieczki” — pomyślał ze złością. Znalazł się przełożony. Iść jednak musiał. Dobrze jeszcze, że dopiero o czternastej. Ma dosyć czasu, by zjeść i wypocząć.

Równo z wybiciem godziny czternastej na dużym, antycznym zegarze w gabinecie Forstera, zameldował się, zwracając szczególną uwagę, by nie wypadło to zbyt służbowo. Nie lubił tego typu od pierwszej chwili i przeczuwał, że będzie miał z nim spore kłopoty.

Tymczasem Forster na jego widok uśmiechnął się uprzejmie i wyszedł zza biurka z

wyciągniętą dłonią.

— Czołem, kapitanie. Coś ostatnio rzadko pana widuję.

— Nie moja wina — mruknął Dick, odwzajemniając uścisk.

— Wiem, wiem. Odpoczywa pan, spaceruje, a my? Niestety. Ktoś musi pracować. Niech pan siada — wskazał uprzejmym gestem fotel przed biurkiem i sam usiadł.

— A teraz, kapitanie Rauber, do rzeczy. Pułkownik pyta jak pan wypoczął?

— Dziękuję. Znakomicie, tylko...

— Tylko?

— Tylko, kapitanie Forster, już mi się to znudziło. Nie znoszę beczynności.

— Rozumiem. A jak zdrowie?

— W porządku, Nic mi nie było i nic mi nie jest. Zostawmy ten Wersal. Po co mnie pan wezwał?

Forster wstał i zaczął przechadzać się po gabinecie.

— Widzi pan, kapitanie Rauber — zaczął, patrząc z boku na Dicka. — Rozmawiałem o panu z Pułkownikiem. Prosił, bym się zorientował w pana zdrowiu, ogólnym samopoczuciu i ewentualnie zaproponował panu objęcie pewnej funkcji.

— Funkcji? Jakiej? — Dick podniósł głowę z zaciekawiony.

— Pułkownik chce powierzyć panu dowództwo Straży.

— Dowództwo Straży? Mnie?

— Cóż w tym dziwnego? Jest pan przecież doświadczonym oficerem. Wiem, że to niższa funkcja od pełnionej ostatnio przez pana, ale to na razie jedyny wakujący etat oficerski w bazie. Nie odpowiada to panu?

— Nie. To nie to. Zgoda! Jest mi naprawdę wszystko jedno co będę robił, byleby to było z pożytkiem. Nie mam wygórowanych ambicji. Zdziwiło mnie natomiast zupełnie coś innego. Czy to znaczy, że dotychczas nie było dowódcy Straży?

— Był. Naturalnie, że był. Pełnił tę funkcję dodatkowo porucznik Smith. Drobny bookmacher, absolutnie nieodpowiedzialny. Przekonał się pan o tym na własnej osobie. Brak strażnika w Starym Przejściu i wiele innych zaniedbań. Prowadzimy tutaj kapitanie, zbyt poważne badania, by można było dłużej tolerować taki stan rzeczy. Dlatego właśnie Pułkownik zdecydował się powierzyć tę funkcję panu.

— Czuję się zaszczycony — Rauber wstał. — Proszę powiadomić Pułkownika, że z radością obejmę to stanowisko.

Forster uśmiechnął się jakoś dziwnie i wyciągnął dłoń.

— To świetnie, kapitanie. Smith wprowadzi pana w jego nowe obowiązki. To tyle.

Wyszedł od Forstera szczerze zaniepokojony. Ca to wszystko znaczy? Przecież na pewno nie ufają mu na tyle, by naprawdę powierzyć mu tak odpowiedzialną funkcję. Co się za tym wszystkim naprawdę kryje? Bo w szczerą Pułkownika absolutnie nie wierzył. Znał go aż nazbyt dobrze. A ten cały Forster też nie lepszy. Dobrali się ze swoim dowódcą jak w korcu maku. Na pewno knują coś niedobrego, ale miesza im trochę szyki. Ufają mu, czy nie i tak zrobi swoje.

Smith był u siebie i jak zwykle nieco podchmielony. Powitał Raubera bez zdziwienia.

— Niech pan siada, proszę — podsunął mu fotel. — Gratuluję nowej funkcji. Zgodził się pan?

— A miałem wybór?

— No tak. Napije się pan czegoś?

— Nie. Dziękuję. Nie pijam znów tak często, Smith. Niech mnie pan wprowadzi w obowiązki. Chcę przejąć ten cały kram już od jutra.

— Gównu nie obowiązki, kapitanie — porucznik nalał sobie pełną szklanekę i z upodobaniem patrzył pod światło na przeźroczysty płyn. — Gównu, nie życie. Przekona się pan. Tylko to nam pozostało. Skool!

Wychylił duszkiem zawartość szklanki i wstrząsnął się. Dick obserwował go z leniwym uśmiechem kryjącym politowanie.

— Rozkleił się pan, Smith — skonstatował spokojnie.

— Tak, tak. Rozkleiłem się, zezmaciłem i co tam pan jeszcze chce. Widocznie nie nadaję się do panowania.

— Do jakiego panowania? Co pan plecie?

Porucznik Smith zeszywniał i jakby wytrzeźwiał.

— Bzdura, kapitanie. Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Plotę głupstwa. To nerwy i zmęczenie. Więc chce pan przejąć obowiązki. Służę.

Wstał i zatoczywszy się lekko, podszedł do stojącej w kącie pancерnej szafy. Wyjął cienką teczkę w plastikowej oprawie i rzucił na stół.

— Proszę, kapitanie Rauber. To są plany rozmieszczenia posterunków wewnętrznych.

— To są i zewnętrzne? — przerwał mu Dick.

— Są, ale z tamtymi nie będzie pan miał do czynienia. Zawiaduje nimi osobiście jego ekscelencja kapitan Forster.

— Nie lubi go pan.

— Kogo? Forstera? Wprost przeciwnie! Kocham go. Dusza nie człowiek. Wyć się chce ze szczęścia, cholera. Pożyje pan tu między nami, to się pan sam przekona. Bokiem panu wyjdzie to szczęście.

— Dobra, Smith. Do rzeczy. Ile jest posterunków?

— Sześć. Dwa przy starym przejściu... o tu — rozwinął wyjętą z teczki mapkę i pokazał palcem. — Dwa przy Przystani i dwa przy lądowisku śmigłowców.

— A Pawilon Naukowy?

Smith rzucił nań ukośne spojrzenie i pokręcił głową.

— Też w gestii kapitana Forstera.

— Więc co, do diabła, ja mam robić?

— Niech pan spyta Forstera.

— A spytam, spytam. — Rauber czuł, że lada chwila straci panowanie nad sobą i wybuchnie głupio tu przed tym małym pijaczyną. Opanował się z trudem. Więc ma być dowódcą osiemnastu ludzi, na sześciu w zasadzie niezbyt potrzebnych posterunkach. Kpiny? Spojrzał na Smitha. Ten siedział rozparty w fotelu i z uwagą obserwował coś na suficie. Rauber uderzył otwartą dłonią w blat stołu, aż podskoczyły puste szklanki.

— Co tu jest grane, Smith? — spytał zaskakująco spokojnym głosem, choć wszystko w nim kipiało.

Smith wzruszył ramionami. Milczał, nie spuszczać oka ze sufitu.

— Smith!

— Nie warto, kapitanie. Szkoda gardła. Nic panu nie powiem. O wszystko proszę łaskawie pytać kapitana Forstera. Albo lepiej samego Pułkownika.

— Dobra. — Rauber już się zdecydował. — Źle pan robi, Smith. Pana rzecz. Ja chcę wiedzieć, co tu się dzieje i wolałbym to wiedzieć od pana, jasne? Niech pan to sobie spokojnie przemyśli i jeżeli zdecyduje się pan, proszę przyjść do mnie. Może będę mógł panu pomóc w czymś.

— Gównu, kapitanie. Mnie nic nie pomoże!

Wyszedł wściekły. Zastraszyli tego człowieczka śmiertelnie. No, z nim, kapitanem Rauberem, ta sztuczka się nie uda. Jeszcze się taki nie urodził, kto mógłby przestraszyć „Żelaznego Dicka”. Pomówi z Pułkownikiem. Pomówi na pewno, tylko że jeszcze nie zaraz. Miał rację zakładając, że na nikogo tu nie może liczyć. Musi wszystko przeprowadzić sam, tak jak to postanowił. A teraz sprawdzi sobie te sławetne posterunki. Zobaczy, czego pilnują i jak.

Wiedział już z kilkudniowych obserwacji, że poszczególni strażnicy zmieniają się we-

dług grafiku, o określonych porach. Nie ma tu czegoś w rodzaju wartowni. Każdy ze strażników udaje się na posterunek wprost ze swojej kwatery i tam wraca po służbie. Jedyńm miejscem ich spotkań, od czasu do czasu, była kantyna.

Urzędował w niej cyfron, nie mając, jak się zdawało, zbyt wielu obowiązków, czynności swoje ograniczając do wydawania butelek z wódką i kartonów papierosów. Podczas dziesięciu dni spędzonych tu, zaglądał do kantyny ze trzy razy i tylko raz spotkał jakiegoś szeregowca. Żołnierz obejrzał go sobie ze zdziwieniem i zaraz wyszedł, zapominając o oddaniu honorów. Pod pachą unosił kilka starannie opakowanych butelek. Z pewnością nie coca coli.

Obsługujący cyfron nie zwrócił uwagi na oficera. Dopiero później Dick dowiedział się, że ten robot jest wyłącznie na usługi szeregowców i podoficerów. Panom oficerom dostarczano wszystko na zamówienie wprost do kwatery.

Teraz postanowił powtórnie zajrzeć do kantyny. W tym celu trzeba było obejść dwa wysunięte pawilony głównych zabudowań bazy, jako że kwatery szeregowców i samą kantynę umieszczono po przeciwnej stronie niż domki oficerskie. Mógł sobie wprawdzie skrócić drogę przez Okraglak, ale chciał się trochę przejść, by uspokoić nerwy.

W kantynie, o dziwo, przy kontuarze stało aż trzech ludzi. Niespotykany tu tłum. W jednym z nich bez trudu rozpoznał sierżanta, który zagroził mu drogę podczas pamiętnej wizyty u naukowców.

Na widok oficera sierżant jakby spochmurniał. Jednym łykiem dopił stojącą przed nim szklaneczkę i wyszedł salutując z przesadną służbistością. Pewnie biedak nie może darować mu tego bezceremonialnego wtargnięcia do profesorów. Musiał wysłuchać zapewne parę ostrych słów reprimendy od srogiego kapitana Forstera. Pozostali dwaj popatrzyli ciekawie na Dicka, sącząc obojętnie swoje piwo. Sącząc po uniformach, byli to jego nowi podwładni. Podszedł do baru.

— Cyfron! Piwo — zadecydował głośno.

Ten jakby się zawahał, lecz podał mu butelkę oraz szklankę, choć z wyraźnym ociąganiem. Dick nalał sobie i ze szklanką w ręku podszedł do szeregowców.

— Jakie posterunki? — spytał.

Wyprężyli się, chociaż widać było, że nie przykładają specjalnej wagi do tych zewnętrznych oznak przejawu dyscypliny.

— Czwarto. Stare Przejście, panie kapitanie.

— Pierwszy. Lądowisko.

— Znacie mnie?

— Tak jest — zgodny dwugłos w odpowiedzi.

— Kto jest najstarszy stopniem wśród strażników?

— Sierżant Wilson. Trzeci Posterunek: Przyszań.

— Gdzie Jest teraz?

Jeden z nich, niższy, spojrział na zegarek i potrząsnął głową.

— Jeżeli chce pan z nim mówić, kapitanie, to dopiero za godzinę. W tej chwili jest na posterunku.

— Dobrze. Jak się nazywacie?

— Szeregowiec Krobs.

— Szeregowiec Grey, kapitanie.

Dick przypatrywał się im z namysłem.

— Chyba będziemy żyć w zgodzie — rzekł wreszcie. — A teraz szeregowy Grey. Jak tylko sierżant Wilson zejdzie z posterunku, niech łaskawie zamelduje się u mnie.

— Rozkaz!

Dopił swoje piwo i nie zaszczyciwszy ich już ani jednym spojrzeniem, wyszedł nie odpowiadając na ukłon. Podobali mu się obaj. Greyowi dobrze z oczu patrzyło. Nie chciał się

jednak spoufalać wiedząc, że cyfron dokładnie rejestruje całe zdarzenie.

Miał już dość kontaktów z tymi ludźmi. Omówi z sierżantem Wilsonem sprawy służbowe i postara się jak najmniej ingerować w sprawy pełnienia przez nich służby. Wystarczy mu w zupełności sam fakt dowodzenia nimi, co z kolei da mu prawo swobodnego poruszania się po Kraterze, bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. Może teraz bez ograniczeń przebywać w okolicy Starego Przejścia, Ładowiska czy Przystani. Nigdy nie wiadomo czy się to w końcu nie przyda. Nie miał zamiaru przeciągać tej zabawy w nieskończoność. Gdyby nie tajemnica otaczająca uczonych, już zaczęłby działać po swojemu.

Tu działo się coś dziwnego i niepokojącego. Coś, co musi poznać bezwzględnie, zanim przystąpi do zaplanowanej akcji. Co robią całymi dniami pozostali oficerowie? Jacobsona i Lettera widział zaledwie dwa czy trzy razy i to jedynie z okazji służbowych odpraw u Pułkownika. Jeżeli siedzą w Pawilonie u naukowców, to dlaczego właśnie jemu, kapitanowi Rauberowi wstęp tam jest wzbroniony? Nawet ten pijaczyna Smith może tam chodzić kiedy chce. Co się za tym wszystkim kryje?

Sierżant Wilson był niskim, krępy m brunetem, z wyraźnie zaznaczającą się łysiną i żywymi, wesołymi oczami. Wszedł do domku Dicka swobodni« i zasalutował niedbale.

— Sierżant Wilson melduje się na rozkaz, panie kapitanie.

— A... Wilson. Posterunek Przystań.

— Zgadza się, panie kapitanie.

— Niech pan siada, sierżancie.

Dick wskazał mu fotelik przy stole.

— Chciałem omówić z panem parę spraw, związanych z pełnieniem przez was służby.

— Jestem do pańskiej dyspozycji.

Rauber zaczął spacerować po pokoju, jakby namyślając się od czego by tu zacząć.

— Sierżancie Wilson — stanął przed podoficerem, patrząc mu prosto w oczy. — Jestem dowódcą Posterunków Wewnętrznych.

— Wiem — uśmiechnął się sierżant.

— Doskonale — Rauber wznowił spacer i mówił teraz, nie patrząc na Wilsona. — Nie chcę zmieniać nic w sposobie pełnienia przez was służby. Będę wymagał tylko jednego, i to z całą stanowczością. Na posterunkach musi wszystko grać, jak w zegarku. Jasne?

— Pan o sprawie Starego Przejścia? Dawne dzieje. Po co ta mowa? Jestem w Armii bez mała trzydzieści lat. Z tego jedenaście w Bazach Pacyfiku. Znam doskonale swoje obowiązki — podoficer najwyraźniej czuł się dotknięty i uśmiech znikł z jego warg.

— Nie mówię o was! Jest pan najstarszy stopniem w grupie i od dziś moim zastępcą. Ustawcie tak posterunki, byście sami nie musieli pełnić służby. Do waszych obowiązków będzie należała kontrola i codzienne meldowanie mi o wszystkim co zaszło. Poza tym, ale tak szczerze: koledzy piją?

Sierżant spojrzął z ukosa i potrząsnął głową.

— Nie więcej niż wszyscy i nigdy na posterunku. Przynajmniej ja się na takiego nigdy nie natknąłem — odparł z wahaniem w głosie. — Tu wszyscy piją, panie kapitanie. Jak tu inaczej żyć?

— To mnie nie interesuje, Wilson. Na posterunkach chcę mieć ludzi trzeźwych. W przeciwnym wypadku przedstawię do raportu do kapitana Forstera.

Na dźwięk tego nazwiska, twarz sierżanta skurczyła się w złości. W oczach mignęła — przysiągłbym — nienawiść.

— Do Forstera? Nie będzie takiej potrzeby, kapitanie.

— Zobaczmy — Rauber uśmiechnął się w duchu. Niezbyt popularny wśród podwładnych jest zastępca Pułkownika. To, po Smithcie, już drugi nie darzący sympatią kapitan Forstera. Nie. Trzeci! Nie liczył przecież siebie. Jeżeli znajdzie się jeszcze kilku takich, nie będzie tak źle. Wykorzysta to na pewno w odpowiednim czasie.

— To tyle, sierzancie — zwrócił się do podoficera. — Codziennie o... powiedzmy dwudziestą zero zero, meldujecie się u mnie z raportem. To wszystko.

Wilson wstał i zsalutował. Już dał krok w kierunku drzwi i zatrzymał się jakby wahając.

— Kapitanie Rauber...

— Coś jeszcze sierzancie?

— Nie. Nic szczególnego... Tylko...

— Tylko?...

Sierzant poczerwieniał i zmieszał się.

— Niech pan uważa na siebie, kapitanie — wykrztusił wreszcie z determinacją. — Ten krater to cholernie niebezpieczna dziura.

— Stop, sierzancie! Co pan ma na myśli? — Dick był mocno zaintrygowany. — Węże?

— Węże też, kapitanie Rauber. Proszę darować. Obserwujemy pana. Nie mogę... I tak za dużo powiedziałem. Odmeldowuję się!

Trzasnął obcasami i prawie wybiegł z pokoju.

Dick usiadł za stołem i podparł głowę ręką. Co ten znów miał na myśli ostrzegając go? Kto go obserwuje? I kiedy? Czyżby jego wycieczki do ruin świątyni rzucały się komuś w oczy? Trzeba jednak uważać na siebie. Dobre sobie. Na siebie zaczął uważać już dawno. Jeszcze jako mały chłopiec rozwalił sobie kolano i oberwał za to od ojca. Od tego czasu bardzo uważał. A później? Setki razy Dick Rauber nie żyłby już, gdyby nie to, że zawsze, w każdej sekundzie uważa na siebie.

Przed czym lub przed kim usiłował go ostrzec Wilson? Jeszcze jedna zagadka. Tak jakby bez niej nie było ich za wiele. Potrząsnął głową. Nic tu na razie nie wymyśli. Po prostu trzeba przyspieszyć całą sprawę i ubiec tych, którzy mu ewentualnie zagrażają.

A swoją drogą ten sierżant i grupa trzymających się, jak zauważył, ze sobą ludzi. Dano im zupełnie błahe, pozbawione znaczenia posterunki. Musi się temu przyjrzeć z bliska.

Na dworze zapadał już zmrok kiedy Dick ruszył w obchód. Postanowił zacząć od Ładowiska, i przy okazji rzucić okiem na Pawilon Naukowców. Czuł, że tu właśnie kryje się wyjaśnienie tej pasjonującej historii z zapomnianą, a raczej utajoną bazą.

W oknach Pawilonu świeciło się i poprzez matowe szyby i czarne kreski krat migały od czasu do czasu sylwetki ludzi. Cicho szumiały wentylatory i nawietrzniki. Budynek był w pełni klimatyzowany i dlatego nie zachodziła potrzeba otwierania okien. A szkoda. Niejedno dałoby się podsłuchać. W rosnących obok ścieżki krzewach coś zaszeleściło. Oparł rękę na kaburze. Wąż, czy?... Trwał w bezruchu nadśluchując, ale szelest nie powtórzył się już. Wzruszył ramionami. Robi się nerwowy jak stara panna.

Zdecydowanym krokiem ruszył dalej, nie zdejmując jednak na wszelki wypadek ręki z kabury.

Wnętrze Okrągłaka było jasne i puste. Jak zwykle zresztą. Tylko z korytarza prowadzącego właśnie do pomieszczeń i pracowni naukowców, dolatywały dźwięki mowy. Podszedł bliżej i schylił się udając, że poprawia coś przy bucie. Wyteżył słuch. Jednym z rozmawiających był niewątpliwie porucznik Smith. Drugiego głosu nie znał.

— Nic mnie to nie obchodzi, Smith! Niech pan powie swojemu Pułkownikowi, że nie zgadzam się na to. Mam dość tej całej historii. To bzdura. Żądam zwolnienia mnie i kolegów.

— Ależ profesorze. Proszę mnie...

— Dość, Smith! Jaki pan, taki i sługa. Nie będę więcej pomagał wam i przykładał ręki do tej podłości. Dość!

Trzaśnięcie drzwiami i trzeci głos, jakby znajomy.

— Widzi pan, poruczniku? Od trzech dni tak. Wściekł się.

Dick wyprostował się i podszedł do wylotu korytarza. Porucznik Smith i znajomy sierżant popatrzyli nań zdziwieni.

— Halo, kapitanie. Co pan tu robi o tej porze? — spytał Smith, patrząc porozumiewawczo na podoficera. — Spacer?

Dick machnął ręką.

— Jaki tam spacer. Służba. Sprawdzam posterunki, Smith. — odrzekł spokojnie.

— Posterunki? Ten chyba do pana nie należy? — porucznik wskazał gestem milczącego podoficera.

— Ten nie, ale Ładowisko tak. Tędy bliżej, prawda? Coś nie w porządku, Smith?

— Nie. Skądże! Więc Ładowisko, powiada pan. Słusznie — Smith nie wydawał się przekonany. — Słusznie. Trzeba ich sprawdzać, i to często. To ważne posterunki — skrzywił się. Sierżant ironicznie rozdziawił gębę. Rauber odwrócił się bez słowa i, umyślnie głośno odbijając krok, wyszedł z Okrągłaka.

Na Ładowisku, tuż przy zamkniętych teraz wrotach hangaru, siedział wygodnie rozparty żołnierz. Na widok oficera wstał z ociąganiem i zaszalutował.

— Kapral Rox — zameldował sennym Gosem. — Dopiero co był tutaj sierżant Wilson. Melduję. Śmigłowiec na patrolu.

— Siadajcie. Dziękuję. Dawno w wojsku?

Kapral usiadł z westchnieniem ulgi i spojrzał na oficera pytająco.

— Czwarty rok, kapitanie. Dlaczego pan pyta?

— Nic specjalnego, Rox. Muszę znać ludzi, nie?

— Tak jest — szeregowiec źle się czuł siedząc wobec stojącego oficera i wstał również.

— No widzisz. Ile śmigłowców ma Baza na stanie?

— Dwa. Jeden patrolowy i jeden dalekiego zasięgu do wyłącznej dyspozycji Pułkownika.

— Aha. Pilotów też dwóch?

— Nie. Czterech. Ale lata tylko dwóch.

— Rozumiem. A pozostali? Kto to jest?

— Pełnią służbę wartowniczą. Ja właśnie jestem pilotem.

— Tak? A kto Jeszcze?

— Szeregowiec Grey, panie kapitanie.

— W porządku. Dziękuję.

Skinął mu ręką i zawrócił tą samą drogą, którą tu przyszedł. Tym razem w Okrągłaku nie spotkał nikogo, a siedzący tyłem sierżant udawał, że go nie widzi. Z pomieszczeń zajmowanych przez naukowców również nie dochodziły żadne odgłosy. Najwidoczniej udali się już na spoczynek. Ciekawe, który z nich był tak bardzo niezadowolony z czulej opieki Pułkownika, że pozwolił sobie na taki protest. Od Smitha na pewno nie dowie się jego nazwiska. A może? W każdym razie spróbować warto. To nic nie kosztuje.

Skręcił w dróżkę prowadzącą do pomarańczowej dziewiątki. Ostatecznie nic się nie stanie, jeżeli wypije kilka kieliszków wódki przed snem i pogada z jedynym człowiekiem w tej przeklętej bazie, z którym jeszcze można pogadać. Zbliżał się do domku, w którym mieszkał porucznik, gdy dobiegły go wyraźne głosy. Przystanął. U licha. Ma dzisiaj wyjątkowe szczęście do podsłuchiwania. Teraz trzeba tylko, by go spostrzegli, a za godzinę Pułkownik będzie miał na biurku raport, o tym, jak to kapitan Rauber szpieguje kolegów oficerów. Do tego nie mógł dopuścić w żadnym wypadku.

Przed wejściem srebrzyła się na zwykłym miejscu sylwetka cyfronu. Dick podszedł Jeszcze dwa kroki do przodu.

— Cyfron — krzyknął specjalnie głośno. — Zastałem porucznika Smitha?

Nim beczułkowaty automat zdążył zareagować, drzwi otworzyły się t trzaskiem i stanął w nich porucznik Letter. Obrzucił przybyłego zdziwionym spojrzeniem i skinął ręką.

— Proszę, kapitanie. Porucznik Smith jest u siebie.

— Dziękuję. Nie przeszkadzam chyba?

— Skądże! Właśnie wychodzę.

Letter zbiegł ze schodów i wyciągnął do Dicka rękę.

— Witam i żegnam zarazem. Szkoda, ale naprawdę nie mam czasu. Bardzo żałuję. Proszę kiedyś do mnie z przyjacielską wizytą. Będę niesłychanie rad. Nieczęsto pana widuję.

— W ogóle nieczęsto się tu wszyscy widujemy — roześmiał się Rauber. — Myślałby ktoś, że tacy jesteśmy zapracowani.

— Jak to? — odparł chłodno Letter. — Ja na nadmiar wolnego czasu nie narzekam. Pan wybacz, kapitanie. Naprawdę mi spieszno.

Skinął Dickowi głową bez uśmiechu i odszedł szybkim krokiem. A tego co znów ugryzło? Dick był zły na siebie. Jednak powinien był, jeżeli już nadarzyła się okazja, podsłuchać, o czym to ci dwaj rozmawiali. W jego sytuacji każda wiadomość może się przydać.

Smith, tak jak się tego spodziewał, tkwił za stołem z nieodłączną szklaneczką w ręce.

— A jednak myli się pan, kapitanie Rauber — odezwał się patrząc na wchodzącego. — Może nie wszyscy, ale my dwaj widujemy się chyba wystarczająco często.

— Wystarczająco do czego?

— W tej dziurze, kapitanie, wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

— To źle?

— No nie. Ale po co dawać powód do plotkowania.

— Plotki? — Dick udał zdziwionego. Przysunął sobie nogą fotel i usiadł nie proszony. — Do jakich plotek? Co pan wygaduje, Smith? Czy spotkanie dwóch oficerów przy kielichu jest tutaj czymś kompromitującym?

— Niech pan nie udaje, kapitanie. Jest pan starym wygą, za starym, by nie wyczuć pisma nosem. Więcej pan wie niżby tego sobie życzył, dajmy na to, kapitan Forster.

— Przesada, Smith — roześmiał się Dick. — Odpowiem panu w jego własnym stylu. Gównno, to prawda. Nie wiem nic i niech pan sobie wyobrazi, że wszystko to razem wzięte mało mnie obchodzi. Nie chcę wiedzieć nic więcej niż mi powiedzą moi przełożeni. Jestem lojalnym oficerem, Smith.

— Nie wątpię. Jednak nie wszyscy są tak zadowoleni jak pan — mruknął Smith, napełniając sobie ponownie szklanekę. — Pijemy?

— Po to tu przyszedłem. Mam ochotę na kieliszek czegoś mocniejszego, do lustra pić nie lubię i nie umiem. Sympatyczny ten Letter.

— Nadęta małpa. Jeszcze go pan pozna, kapitanie.

— Wydawało mi się...

— Wydawało... wydawało... Mnie też się z początku wydawało, że tu jest kawałek raj, a ludzie to aniołki. E, tam. Pijmy!

Napełnił dwie szklaneczki i nie czekając na Dicka, wychylił swoją. Sięgnął po leżące na stole solone migdały.

— Tak to jest — mruknął sentencjonalnie. — Mam już wszystkiego definitywnie dość. Definitywnie.

— Nie pan jeden.

— Ma pan na myśli Mrówczenkę? — Smith uśmiechnął się złośliwie. — Słyszał pan jednak. Tak też sądziłem. No cóż. Buntuje się trzoda, ale Kleist trzyma ich krótko. Muszą robić swoje.

— Co mianowicie?

Smith spojrzał na Dicka kpiąco i pokręcił głową.

— Po bliższe informacje do Forstera lub Pułkownika, kapitanie. Mnie jeszcze życie miłe.

— Aż tak?

— A tak.

Dick przypatrywał mu się spod oka. To już nie był oficer. To była ruina. Ziemista cera,

podkrążone oczy i trzęsące się ręce. Nie wiadomo czy ze strachu, czy od wódki. Jednak tylko alkohol go trzyma. Nic więcej dziś nie da się z niego wydusić. Skąd Pułkownik wytrzasnął tego typa? Ze slumsów.

— Za dużo pan pije, Smith. Skończy pan u czubków.

— Nie jest tak źle. To już długo nie potrwa. Miesiąc z górą. Tyle jeszcze wytrzymam.

— A potem?

— Co potem? — Smith jakby nieco wytrzeźwiał. — Pan, zdaje się, ciągnie mnie za język, kapitanie Rauber. Szkoda fatygi. Stary Smith wie co robi i mówi. Ciekawie się z panem rozmawiało, ale jestem potwornie zmęczony. Chyba czas spać.

Rauber wstał i obciągnął mundur.

— Niech pan się kładzie, Smith. Nie chcę panu przeszkadzać. Spokojnej nocy.

— Dobranoc, kapitanie Rauber. Niech się pan nie gniewa. To tylko przemęczenie. Miałem ciężki dzień.

Dick pokiwał głową i wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą. Jednak opłacała mu się ta wizyta. Stary pijak dał się podejść i strzelił nazwiskiem. Więc to Mrówczenko się buntował. Kto jeszcze? Okazuje się, że można tu znaleźć sprzymierzeńców, a w każdym razie sympatyków. Trzeba tylko jakimś sposobem dotrzeć do naukowców, i to tak, by o tym nie dowiedział się ani Forster, ani Pułkownik. Kleist nie lepszy. Dobrana para, psiakrew.

Nie wątpił ani przez chwilę, że po rozmowie z Mrówczenką będzie wreszcie wiedział o co idzie gra. Wypity alkohol szumiał mu trochę w głowie, a w mięśniach czuł przyjemną ociężałość. Czas już na odpoczynek. Ruchliwe prowadzi życie w tej dziurze. Na jutro zaplanował sobie wyjaśnienie niektórych zagadek ruin. Intrygowała go zwłaszcza studnia w świątynnej komnacie i jej związek z jeziorkiem. Smith mówił o miesiącu. Trzeba się spieszyć!

R o z d z i a ł IV

TAJEMNICA STUDNI

Jezioro pośrodku doliny było słodkowodne. Porośnięte szuwarem brzegi, pełne krzątaniny i gwaru ptactwa, osłonięte wokoło od wiatru pierścieniem tropikalnej roślinności. Głębokie jak wszystkie jeziora w kraterach dawnych wulkanów i ciemne. Wody jego przesycone były solami mineralnymi i miały lekki posmak siarki.

Od jego południowej strony odchodził poprzetykany systemem skomplikowanych zastawek, kanał doprowadzający wodę do świątynnych kompleksów. Ukryty całkowicie w splątanej gąszczu, majstersztyk indiańskich budowniczych, zupełnie niewidoczny nawet z bliska. Jego porośnięte brzegi i omszałe zastawki niczym nie odbijały się od tła roślinnego.

Widocznie od czasu, kiedy świątynia pełna była życia, poziom wody w jeziorku obniżył się znacznie, bo w tej chwili dnem kanału płynęła zaledwie kilkudziesięciocentymetrowa struga wody. Prąd był słaby, lecz wyczuwalny i oznaczał, że gdzieś wśród ruin istnieć musiało jakieś ujście. Ale gdzie? Trzeba to sprawdzić koniecznie.

Odkrył kanał zupełnie przypadkowo i od razu zrozumiał, jakie to ma dla niego znaczenie. Nie porośnięte dno, od góry szczelnie pokryte baldachimem lian i krzewów, prowadziło wygodnie w samo centrum ruin. Mógł teraz bez specjalnego wysiłku, i zupełnie niezauważenie, w ciągu kilkunastu minut przemknąć się do swojej kryjówki w podziemiach świątyni.

Wiedzieli wszyscy, że lubił popływać w jeziorce i długie godziny przesiadywać w cieniu palm na jego brzegu. Budował to przekonanie cierpliwie, przez wiele dni. Dzięki temu mógł teraz, przewiesiwszy bluzę uniformu wraz z identyfikatorem na gałęzi drzewa, zaszyć się w swojej kryjówce bez obawy zapisania jego ruchów przez rejestratory. Dobrze że noszo-

ne tu z obawy przed ukąszeniami węży wysokie buty, pozwalały brodzić w wodzie nie mocząc nóg. To wprawdzie, ze względu na tropikalny klimat, nie groziło jakimś przeziębieniem czy katarem, ale niezliczone roje ameb, nicieni i innych tego rodzaju przyjemności, zmuszały do zachowania szczególnej ostrożności. Nie mógł w sytuacji, w której się znajdował, pozwolić sobie na jakąkolwiek niedyspozycję. To bowiem od razu wyeliminowałoby go z rozgrywki. Chociaż wierzył w swój żelazny organizm.

Tym razem musiał się trochę natrudzić. Niósł spory pakunek, zawierający akwalung i dwie ciężkie butle z tlenem. Miał już w miarę dokładne rozeznanie w terenie i wiedział, że znaleziona kryjówka stanowi idealne centrum dolinki, skąd blisko ma do każdego punktu w obrębie Krateru.

Tak to chyba zresztą zaplanowali sobie mistrzowscy budowniczości świątynnego zespołu. Ci Majowie byli jednak mądrymi ludźmi. Dzięki ich wiedzy z zakresu budownictwa, łatwiej teraz będzie mu policzyć się z Pułkownikiem i udaremnić jego zamiary...

Jako dowódca Straży poruszał się po terenie zupełnie swobodnie, nie kryjąc się przed wszechobecnymi obiektami kamer, a nawet starając się, by jak najczęściej rejestrowały jego obecność. Starał się być wszędzie, starannie omijając jedynie Pawilon Naukowy. Przekonał też Forstera o konieczności zainstalowania kontrolnej centrali Straży i teraz mógł w każdej chwili obserwować przejścia do dolinki i ich strażników. Ci przyjęli nowego dowódcę obojętnie, ani na jotę nie zmieniając swoich przyzwyczajzeń. Nadal pełnili służbę niedbale, a fakt, że ani Pułkownik, ani Forster nie wtrącali się do tego, świadczył wyraźnie o braku znaczenia tych posterunków. W tej sytuacji jego funkcja była jedynie pretekstem, a może właśnie sprawdzianem lojalności.

Kanał, stanowiący tak wygodną drogę, w pewnym miejscu przywalony był złomami kamiennych murów, między którymi znikła woda. Na szczęście stąd do kryjówki było zaledwie kilkanaście kroków. Ciekawiło go dokąd uchodzi ta woda. Nie miał, niestety, dotychczas kiedy tego sprawdzić. Przypuszczał jedynie, że studnia pośrodku służącej mu za kryjówkę komnaty, ma jakiś związek z kanałem.

Zwalił pakunek na jedną z kamiennych ław i przejechał snopem światła latarki po ścianach. Były suche, a liczne, stłoczone płaskorzeźby, nie naruszone zębem czasu, patrzyły nań wybałuszonymi ślepiami. Przeniósł światło na otwór w posadzce. Wiedział z poprzednich oględzin, że studnia nie jest zbyt głęboka, ale i tak lustro jej wody leżało dużo niżej od poziomu jeziora. Jak to się dzieje? A może nie ma ona żadnego związku z kanałem ani z jeziorkiem? Jednak powinien to sprawdzić dokładnie. Akurat ma trochę wolnego czasu i nic nie stoi na przeszkodzie. Sprawdził już dzisiaj posterunki i wiedział, że do wieczora, a nawet do jutrzejszego ranka, nikt nie będzie się nim interesował. Pułkownik z Forsterem siedzą kamieniem u naukowców. Mają chyba jakieś kłopoty, bo podwojono strażę w Pawilonie i nawet Smith nie ma tam na razie wstępu. W najbliższej przyszłości zajmie się tą sprawą. Na razie musi zakończyć przygotowania do akcji, jaką sobie zaplanował i która była, jak dotąd, jedynym celem jego pobytu tutaj.

Z zagłębienia w ścianie wyjął przyniesioną tu poprzednio cienką linkę i umocował do jej końca plastikową butelkę. Chciał sprawdzić czy woda w studni nadaje się do picia. Podeszedł do otworu w posadzce i zaświecił w głąb. A to co? Kiedy po raz pierwszy, i jedyny zresztą, zaglądał do studni, poziom wody był dużo wyższy. Teraz daleko w dole majaczył ledwie niewielki krąg. Nie mylił się. Na pewno. Zresztą na ścianach studni wyraźnie rozpoznawał mokry, zapleśniały ślad.

Opuszczał butelkę, powoli odwijając linkę. Po długiej chwili niegłośny plusk oznajmił, że naczynie zetknęło się z wodą. Popatrzył na trzymaną w rękę resztę zwoju. Pozostało jakieś cztery, pięć metrów. Ponieważ cały zwój liczył dokładnie dwadzieścia, zatem głębokość studni wynosiła obecnie piętnaście metrów.

Butelka była zimna, a woda w niej, o ile mógł przy świetle latarki rozpoznać, lekko

mętnawa. Ulał nieco cieczy na dłoń i skosztował. Wypluł czym prędzej. To była słona, oceaniczna woda. Studnia miała połączenie z oceanem. Wyjaśniła się więc sprawa niskiego poziomu. Otóż przy wybrzeżach wyspy trwał odpływ i, na zasadzie naczyń połączonych, obniżył się poziom wody w studni.

Przyklęknął przy otworze i powoli, metr po metrze, zaczął obmacywać światłem ściany studni. Nie była cembrowana. Po prostu wykuto ją w skale, jak i komnatę, w której się znajdował. Nagle drgnął i zatrzymał świetlny krążek. Przekręcił regulator na pełny blask. Tak! Nie mylił się. Dużo poniżej górnego śladu wody widniał otwór, jakby wejście do bocznego tunelu. Za daleko by w tym niepewnym świetle odróżnić jakieś szczegóły. Wydawało się jedynie, że przy dolnej krawędzi otworu dostrzega jakby dwa niewielkie występy, ale mogła to równie dobrze być tylko gra cieni. Jednego był całkowicie pewien. Tunel, czy nie tunel, jest jednak dość obszerny, by mógł się weń wcisnąć. Już się zdecydował. Spojrzał na zegarek. Odpływ osiągnął właśnie punkt kulminacyjny. Teraz woda zacznie przybierać i za jakieś trzy godziny zakryje otwór. Powinien zdążyć. Zresztą, klepnął się w czoło, ma przecież akwalung. W razie czego będzie mógł wrócić płynąc pod wodą. Trochę to wprawdzie niewygodne, ale bezpieczeństwo liczy się przede wszystkim. Był znany z odwagi, ale zawsze twierdził, że zbędne ryzykanctwo a odwaga, to dwie różne rzeczy.

Szybko przebierał się w strój nurka i zawiesił butle na plecach. Ustnik umocował do ramienia. Nie był mu teraz potrzebny. Trzymając w rękach linę rozejrzał się za jakimś występem, do którego dałoby się ją umocować. Niestety. Nic takiego tu nie było. Chwilę wahał się niezdecydowany, wreszcie odłożył linę i tak jak stał, ruszył ku wyjściu. Dobry kwadrans przeszukiwał gąszcze, zanim udało mu się wyciąć kawał konara o odpowiedniej grubości i długości. Wrócił do komnaty.

Przywiązanie w środku konara linki i umieszczenie go w poprzek otworu, było dziełem jednej chwili. Spuszczał się powoli w głąb. Średnica studni nie była zbyt duża, toteż opierając się plecami o jedną ściankę, a odpychając nogami od przeciwległej, schodził szybko i wygodnie. Jednak upłynęło z piętnaście minut, zanim osiągnął otwór bocznego chodnika.

Widziany z góry, w perspektywicznym skrócie, wydawał się on znacznie mniejszy. Teraz, wisząc tuż przed nim na linie, dopiero zdziwił się naprawdę. Był to rzeczywiście chodnik w całym tego słowa znaczeniu. Wąski wprawdzie, ale wysoki. U dolnej jego krawędzi, to nie było złudzenie ani gra cieni, widniały wykute w skale kamienne stopnie, ułatwiające wejście.

Wcisnął się bokiem w otwór i po chwili stanął w wąskim, oślizłym korytarzu, o prowadzących w górę stopniach. Poprawił butle na plecach i przesunawszy nieco do przodu kaburę dezintegratora, ruszył przed siebie, świecąc latarką pod nogi. Ostrożność okazała się w pełni uzasadniona. Po przejściu nie więcej jak dziesięciu kroków, w dnie korytarza ukazała się wyrwa szerokości około metra, łatwa do przekroczenia, pod warunkiem, że idący zauważy ją w porę. Zwisająca ukosem kamienna kłapa zdradzała tajemnicę. To była zapadnia. Zaświecił w głąb. Szczelina była spora, a na jej dnie, pełnym ostrych występów, bieleły się ludzkie kości i szczyrzyła zęby czaszka.

Pokiwał głową i przeskoczył zapadnię. Teraz szedł już ostrożnie, obmacując nogą podszkłę, zanim wykonał krok. Takich pułapek było tu zapewne więcej. Dawno już przekroczył najwyższy poziom przyływu, a korytarz ciągnął się dalej, suchy teraz i biegnący poziomo. Jak dotąd nie natrafił na dalsze pułapki. Albo ich tu więcej nie było, albo, co pewniejsze, czas popsuł ich mechanizmy. Mimo to nie zaniedbywał ostrożności.

Zastanawiało go jedno. Powietrze było suche i świeże. Widocznie korytarz łączył się w jakiś sposób z powierzchnią i posiadał dobrą wentylację. Dokąd też prowadzi? Przyspieszył kroku. Szedł dobre dwadzieścia minut. Co u licha? Przecież tam na powierzchni powinna skończyć się już dolinka. Czyżby był pod zboczem krateru? Ale to znaczyłoby, że korytarz

prowadzi na zewnątrz. Więc odkrył nie znane nikomu przejście. To byłoby kapitalne.

Nagle przystanął. Korytarz skończył się. Drogę przegrodził mu teraz chropowaty kamień z dwoma wąskimi szparami u góry, skąd ciągnął wyraźny powiew. Podeszedł bliżej i uważnie obejrzał głąz. Z namysłem potarł czoło. Koniec wędrówki? A może?...

Wspiął się na palce i świecąc, próbował zajrzeć do otworów. No tak. Przegroda nie była gruba. Szparę przepoławiał jakby walec czy sworzeń. Całość nie przekraczała trzydziestu centymetrów grubości.

Naparł ramieniem tuż przy ścianie, z boku. Nic. Przeszedł na drugą stronę i znów spróbował. O dziwo! Potężny głąz okręcił się wokół własnej osi otwierając dalsze przejście. Wszedł bez wahania i aż zagwizdał cicho. To ci dopiero!

Znalazł się w olbrzymiej grocie, chyba naturalnej, bo strop wisiał nad nim dziesiątkiem nieforemnych, skalnych zacieków, a całość groty podpierały liczne kolumny, niewątpliwie uformowane setkami lat przepływu wody. Teraz był pewien, że znajduje się w masywie zbocza krateru. Chwilę zawahał się. Iść dalej, czy zawrócić. Grota wyglądała na bardzo dużą i obawiał się, że nie znajdzie powrotnej drogi, ściślej mówiąc wejścia do prowadzącego w kierunku studni chodnika.

Światło jego latarki było mocne, ale wybitnie kierunkowe i w żaden sposób nie mogło oświetlić dostatecznie tak dużej przestrzeni. Dostrzegł pod ścianą spory głąz i przytoczywszy go z trudem, podparł nim obrotowe wrota. Przynajmniej z tej strony nic mu nie grozi. Dobrze. Zapamięta sobie i trafi tu, choćby miał obejść całą grootę wokoło.

Teraz śmiało już ruszył przed siebie, omiatając światłem dno groty, sklepienie i kolumny. Uszedł jeszcze kilkanaście kroków i zauważył, że grota zwęża się i obniża, przechodząc znów w tunel. Nagle zatrzymał się jak wryty. Przed nim jasno oświetlone promieniem reflektora widniały dwie skulone postacie ludzkie. Wyszarpnął z kabury broń i zreflektował się natychmiast. To przecież w żadnym przypadku nie mogli być żywi ludzie, a martwych nie bał się zupełnie. Powoli podeszedł trochę bliżej, zaintrygowany niezwykle widokiem.

Na wykutych w skale stolcach, podtrzymywane wąskimi oparciami, siedziały zmumifikowane zwłoki Indian. Tkwiły po obu bokach szerokiego przejścia, niby strzegący go nieustępliwie strażnicy. Zasnęta na pergamin skóra, puste oczodoły i proste, srebrne obręcze na czołach podtrzymujące falę opadających na ramiona siwych włosów. Nagie torsy oplatała taśma przytwierdzająca zwłoki do oparc i wykonana chyba ze złota. Na kolanach obu spoczywały krótkie, masywne oszczepy o grotach z obsydianu. Nogi obute w sandały oplatała ta sama co i torsy taśma.

Obejrzał ich dokładnie, nie dotykając. Musieli tu tkwić od stuleci, tak starzy jak ruiny świątyni. Pewnie jej słudzy — kapłani. Wszedł w obszerny tunel między nimi. Po kilku metrach znów grota. Jeszcze większa i wyższa niż poprzednia. Tym razem aż zaklął ze zdumienia.

Pośrodku okrągłej, niewątpliwie sztucznej jaskini, wznosiła się potężna konstrukcja. Ogromny krąg jakiegoś lekko fosforyzującego tworzywa i wyrastający zeń błyszczący ostrosłup. Wokoło kręgu dziesiątki takich samych jak u wejścia skulonych, ludzkich postaci.

Zgaślił zbyteczną teraz latarkę. Poświata idąca od kręgu oświetlała dostatecznie całe pomieszczenie. Chciał podejść bliżej, ale dno jaskini dosłownie zasypane było jakimiś przedmiotami. Podniósł jeden z nich, niewielki, lecz nadspodziewanie ciężki i zagwizdał cicho.

Trzymał w ręku posążek jakiegoś bóstwa, lśniący ciepłym blaskiem złota. Cholera! Ale skarb. Nie wątpił, że i inne są z tego samego metalu. Majątek, tyle tylko, że niepotrzebny mu zupełnie. Ciekawe czy kanciasty obelisk jest też złoty?

Dał dwa kroki do przodu, potykając się na leżących figurkach, kiedy umocowany u lewego rękawa licznik promieniowania zaterkotał cicho. U licha! A to co znowu? Promieniowanie? Cofnął się nieco. Licznik zamilkł. Dwa kroki do przodu... Znów terkot. No tak. To promieniuje ta zagadkowa konstrukcja. Teraz dopiero spostrzegł, że od szczytu ostrosłupa ku

stropowi jaskini, biegną cztery cienkie pręty i skupiając się w wiązkę, znikają w kamieniu. Dokąd prowadzą?

Nie zwracając uwagi na coraz wyraźniejsze terkotanie licznika, podszedł do obelisku, przewracając po drodze jedną z siedzących u jego stóp mumii. Dotknął ostrosłupa dłonią. Nie ulegało wątpliwości. Dziwaczna konstrukcja była metalowa. Gładko wypolerowana ścianka wyglądała na wykonaną z wysoko gatunkowej stali. Stal u Majów? Przecież Indianie nie znali żelaza.

Choć było dość jasno, zapalił swój reflektor i wolno przejechał światłem wzdłuż boku obelisku. Na gładkiej ścianie wyraźnie znaczyły się cienkie jak włos ryty, nie tworzące jednak niczego. Skłębione jak splątane przez bawiącego się kota nici, chaotyczne, bez sensu. Nie były z pewnością dziełem indiańskich artystów. Zresztą cała ta konstrukcja, mimo że nosząca cechy wybitnie kultowe, nie wydawała się być do tego celu budowaną, a już w żadnym przypadku przez Indian.

Nie rozwiąże tej zagadki teraz. Ominął fosforyzujący krąg i stąpając ostrożnie, ruszył ku widniejącemu w ścianie otworowi, prowadzącemu, jak sądził, do dalszych pomieszczeń tej tajemniczej i pełnej złota świątyni.

Tym razem w tunelu teren opadał dość stromo w dół, by po kilkudziesięciu krokach zakończyć się znajomą płytą z dwoma szparami u góry. Uśmiechnął się. Teraz już wiedział jak postępować z tymi wrotami. Naparł ramieniem z boku i ciężki gład uchylił się. Do tunelu wtargnęło jasne słoneczne światło i szum fal przytłuwu.

Daleko w dole rozciągała się ciemnozielona gęstwa dżungli i bezmiar oceanu. Był z drugiej strony zboczy krateru. Po zewnętrznej stronie. Odkrył jeszcze jedno, tym razem na pewno nikomu nie znane przejście. Docenił od razu wagę tego odkrycia. Dawało mu to możliwość penetracji całej wyspy, a nie tylko samego krateru, a w razie konieczności stwarzało szansę wymknięcia się z rąk Pułkownika i jego siepaczy.

Znalezione złoto też może przyczynić się do ułatwienia gry, jaką prowadzi. Ludzie są tylko ludźmi. Postanowił kilka złotych posążków przetransportować do kryjówki w podziemiach. W razie jej odkrycia będzie mógł całą sprawę tłumaczyć chęcią zdobycia bogactwa.

Wracał tą samą drogą, szybciej już teraz i pewniej. Przy wyjściu z sali, w której stał obelisk, schylił się i podniósł dwie spore figurki. Przyjrzał im się z namysłem i po chwili odłożył je z powrotem na miejsce. Nie da przecież teraz rady przenieść ich przez studnię. Zmitrzążył sporo czasu i przytłuw na pewno zalał już wejście. Będzie musiał płynąć, a ciężkie, złote figurki tylko by mu w tym przeszkadzały. Zresztą wróci tu, jak tylko będzie potrzebował. Złoto czekało przez wieki na swego znalazcę, poczeka więc jeszcze kilka dni.

Miał rację. Kawalek za zapadnią chodnik zalany był wodą. Umocował ustnik na swoim miejscu i, odkręciwszy zawór butli, zanurzył się w chłodną toń. Z głośnym pluskiem wynurzył się w studni i po kilku minutach siedział już na kamiennej ławie w komnacie. Zdjął akwalung i starannie umieścił go na półce.

Jeziro tonęło w słońcu. Było późne popołudnie i teraz już żałował, że tak się spieszył. Mógł jednak trochę dokładniej przeszukać jaskinię i bodaj pobieżnie zorientować się do czego służy zagadkowy obelisk i dokąd prowadzą wychodzące z jego wierzchołka pręty. Nie wątpił, że sprawa jest poważna, wręcz sensacyjna i w normalnych okolicznościach, po ogłoszeniu tego, zaroiliby się tu od naukowców i żadnych nowości reporterów.

Właściwie powinien zrobić wszystko, by udostępnić to uczyonym. Nie wątpił, że jego odkrycie ma kolosalną wartość naukową, równą co najmniej odkryciu nienaruszonego grobowca Tutankhamona. Ilość złotego kruszcu przewyższa go z pewnością. To zresztą druga strona medalu. Złoto gromadzone w jaskini może walnie przyczynić się do szybszej realizacji jego planów. Znał doskonale ułomności natury ludzkiej i wierzył, że w zasadzie można kupić każdego. To tylko kwestia ceny. Kto wie, czy Pułkownik i jego zgraja nie zrezygnowaliby ze

swoich tajemniczych spraw, gdyby wiedzieli, jakie ilości złota mają dosłownie pod ręką. Zresztą czy to już wszystko? Takich jaskiń może być więcej. Prawdopodobnie nikt nigdy nie prowadził tu poszukiwań archeologicznych. Jego w tym głowa, by wieść o tym znalezisku, o świątyni Majów, dotarła do odpowiednich uszu. Ale to sprawa przeszłości. Na razie są sprawy pilniejsze i ważniejsze.

W domku cicho mruzczały klimatyzatory. Cyfron, nie wiadomo na czyje polecenie, buszował po okolicznych krzakach w poszukiwaniu węży. Otworzył szafkę bezpośredniej łączności z posterunkami i wcisnął przełącznik zasilacza. Ekran monitora nagrzewał się błyskawicznie, przy wtórze niegłośnych trzasków. Rzucił okiem na grafik służb i porównał z zegarem. Nie mylił się. Sierżant Wilson właśnie powinien kończyć wartę. Spojrzał na telewizor. Mroczna nawa i ołowiana tafla wody. Nacisnął brzęczyk i widok jaskini przesłoniła twarz sierżanta.

— Melduję się na posterunku — zameldował podoficer sucho.

— Sierżancie. Po zejściu z posterunku proszę do mnie.

— Rozkaz.

Uparty jednak ten Wilson — pomyślał z uznaniem. Przecież proponował mu uniknięcie pełnienia służby wartowniczej. Pociągało to jednak zwiększenie ilości godzin służby dla pozostałych. Ambitny, a może koleżeński sierżant, zrezygnował z ułatwienia sobie życia. Zaraz na drugi dzień, po otrzymaniu polecenia, poprosił o pozostawienie wszystkiego po staremu. Zgodził się na to. Było mu ostatecznie wszystko jedno, a Wilson podobał mu się już od pierwszej z nim rozmowy. Nie wrócili potem do tego tematu ani do dziwnego ostrzeżenia, ale Dick nie zapomniał o nim. Dziś czas już poruszyć tę sprawę ponownie. Chce konkretnie wiedzieć czy może liczyć na niego, Greya i jeszcze kogoś. Grupa, którą dowodził, wydawała się zgrana i chyba nie przypadkiem powierzono im tak mało znaczące posterunki. Przynajmniej mało znaczące w mniemaniu pułkownika Burtona. On, Dick Rauber, miał nieco odmienne zdanie na ten temat. Może w jakiś sposób uda mu się wykorzystać ten fakt. Nie wierzył ani przez chwilę w możliwość zbuntowania żołnierzy lub nakłonienia ich do czynów niezgodnych z regulaminem. Jeżeli jednak w jakimś konkretnym przypadku przymkną oczy nie dostrzegając czegoś lub przemilczą, to i tak będzie dużo. Do tego dochodzi jeszcze złoto Majów. Nie jest tak źle.

Sierżant Wilson zameldował się przepisowo i widać było, że jest ogromnie zaintrygowany tym niespodziewanym bądź co bądź wezwaniem. Nie poczuwał się do żadnej winy, więc stał spokojnie patrząc wyczekująco w oczy przełożonemu. Rauber bez słowa wskazał mu krzesło. Sierżant usiadł. Dick wydobyl butelkę koniaku i napełnił kieliszki. Wskazał je gestem podoficerowi.

— Chcę z panem porozmawiać szczerze, sierżancie Wilson, a przy kielichu idzie to jednak łatwiej, prawda?

— Słusznie — uśmiechnął się sierżant. Skinął głową i ujął kieliszek. — Wobec tego słucham, kapitanie.

— Dlaczego tak oficjalnie? Nie jesteśmy na służbie. Nie wezwałem was po to, by wydać wam jakieś polecenie, bo równie dobrze mógłbym to zrobić telefonicznie. Chcę po prostu porozmawiać prywatnie i, jak powiedziałem, szczerze. Macie coś przeciwko temu?

— Nie, kapitanie. Tylko...

— Tylko co?

— Widzi pan. Lepiej, żeby niektórzy nie wiedzieli, że przestajemy zbyt wiele ze sobą. To nie jest tu mile widziane. Już i tak pana częste kontakty z porucznikiem Smithem są rozmaicie komentowane.

— Przez kogo? Ludzie! Czy wyście tu wszyscy kompletnie powariowali? Co to jest? Baza wojskowa czy szpital wariatów?

— To nie tak, kapitanie. Trzeba bliżej przyjrzeć się temu. Nie ma co się denerwować.

Prowadzą tu badania nad jakimiś sygnałami z kosmosu.

— Z kosmosu? Żarty!

— Nie żarty, kapitanie Rauber, nie żarty. Podobno nawiązali kontakt ze statkiem kosmicznym spoza naszego Układu. To wszystko jest ściśle tajne. Nie mówiłbym tego panu, gdyby nie fakt, że właśnie pana nie raczyli wtajemniczyć w ten cały interes. To może oznaczać i oznacza tylko jedno. Nie ufają panu, a u nas w bazie ludzie, którym oni nie ufają, giną.

— Jak to giną?

— A tak. Zwyczajnie. Przypadkowo. Najczęściej ukąszeni przez jadowite węże. Bestie wyjątkowo uwzięły się na ludzi, którym nie ufa kapitan Forster.

— A co tu ma do gadania kapitan Forster? Przecież dowódcą bazy jest pułkownik Burton. On tu rządzi.

— Ma pan zupełną rację. Oficjalnie rządzi Pułkownik, ale cały pomysł pochodzi od Forstera.

— Jaki pomysł? Na Boga, Wilson. Niechże pan mówi jaśniej.

— Dobrze, kapitanie. Ale musi mi pan obiecać jedno...

— Słucham.

— Wyciągnie nas pan z tej historii.

— Zgoda. O ile sam z tego wylezę cało, co wcale nie jest takie pewne. Więc?

Sierżant Wilson z namysłem pociągnął spory łyk z kieliszka.

— Zaczęło się to bodaj dwa lata temu. Była to wówczas mało znacząca baza prowincjonalna, a dowodził nią nie znany nikomu kapitan Forster...

— Forster?

— Tak. Forster. Pewnego dnia nasłuchowcy odebrali dziwne sygnały z przestrzeni kosmicznej. Naturalnie nie roztrzęsali tej sprawy, tylko po prostu drogą służbową zameldowali o fakcie do Sztabu Baz, przesyłając kopie odebranych znaków. Wydział szyfrów wziął to na warsztat bez entuzjazmu i... nic nie wskórał. Wtedy zwrócili się do profesora Kleista. Odczytał to ponoć. Ni mniej ni więcej, tylko tamci chcą rozmawiać z ludźmi...

— Jacy tamci?

— No, ci z kosmosu. Z kosmolotu. Podają jakieś informacje, nowe wynalazki.

— A Pułkownik?

— Pułkownik wdepnął w to przypadkiem i od razu zapalił się. Marzy mu się prezydentura, władza nad światem...

— Powariowali? .

— Może. Ale jednak w tym coś jest.

— No dobrze — Dick nie był przekonany. — Jak to się jednak dzieje, że sygnały odebrała tylko ta jedna baza?

— Właśnie w tym sęk. Sygnał podobno skierowany jest wiązką wprost na ten krater. Fantastyczne skupienie. Prawie punktowo.

— To niemożliwe.

— A jednak. Pułkownik Burton poprosił Dowództwo o skierowanie do tej bazy, motywując to troską o zdrowie. Rzeczywiście, klimat tu znakomity, kapitanie. Bez przesady — uzdrowia. Nie wszystkich wprawdzie — dokończył ponuro.

— No tak — zamyślił się Dick. — A to ostrzeżenie?

— Jakie ostrzeżenie — szczerze zdziwił się sierżant.

— Żeby uważał na siebie.

— Ach, to. No cóż? Nie są tu łaskawi dla pana, kapitanie. Forster wprost doradza, by się pana jak najprędzej pozbyć.

— Mnie? Pozbyć? W jaki sposób, chciałbym to wiedzieć...

— A w jaki sposób pozbyli się admirała Nortona, Rooda, „Cynthii”?

— Słusznie. W każdym razie dziękuję panu, Wilson. Wrócimy jeszcze do tego tematu

w najbliższym czasie. No i chcę, by pan wiedział jedno. Mnie nie tak łatwo się pozbyć. Zwłaszcza teraz, kiedy zostałem ostrzeżony. Niejeden już tego próbował...

— Tak też sądziliśmy.

— Sądzieliśmy? Kto?

— Powoli, kapitanie. Nie chcę umrzeć ukąszony przez węże. Na wszystko przyjdzie czas. To tyle. Coś jeszcze kapitanie?

— Nie. Na razie dziękuję. Muszę to sobie przemyśleć.

— Ma pan tu przyjaciół, kapitanie Rauber. Odmeldowuję się!

Trzasnął obcasami i wyszedł, zamykając delikatnie drzwi za sobą. Dick podszedł do okna. W zapadającym zmroku, na tle jaśniejszego nieba, ostro odbijała się ażurowa konstrukcja radaru. Cyfron nadal hałasował w krzakach. Do diabła! Jednak mieli szczęście. Gdyby ten cybernetyczny bałwan nie polował akurat na węże, miałby całą rozmowę ślicznie nagraną na taśmę. Starzeję się — pomyślał. Kiedyś by mi się to nie przydarzyło. Takie przeoczenie. A swoją drogą cały ten Wilson nie grzeszy rozsądkiem...

Zaraz. Co on mówił? Że mam tu przyjaciół? Kto? Pewnie któryś z szeregowców z Grupy Strażniczej. Dobre i to. Mogą się przydać, ale swoich planów im nie zdradzi. Dick Rauber swoje, długi płaci sam. Niewygodni giną ukąszeni przez węże. Ciekawe. Kto też tu z tego towarzystwa tak gorliwie zastępuje gady? Trzeba mu wyrwać kły. Sam ma zamiar dopomóc trochę węzom, a nie znosi konkurencji. Sygnały z kosmolotu. Co za bzdura! Przed podoficerami i szeregowymi nie zdradzają się ze swoich zamierzeń i ci niewiele wiedzą. Plotki, które docierają do ich uszu, jakieś strzępy rozmów zasłyszane przypadkowo, nie stanowią z pewnością całości sprawy. Tę zna tylko wąskie grono wybranych. Kilku uczonych i niektórzy oficerowie. Nie ma innej rady, jak dotrzeć do któregoś z więzionych profesorów. Mrówczenko się buntuje, więc byłby najodpowiedniejszy. Ba! Jego strzegą na pewno wyjątkowo pilnie. Kleist odpada. Taki sam jak i ta banda w mundurach. Pawilon ma okratowane i zamknięte na głucho okna, tamtędy się więc nie dostanie. Pozostaje jedynie normalne wejście korytarzem, w którym dzień i noc czuwa wartownik. Raz zabluffował i nie wątpi, że ostrzeżono wszystkich wartowników i drugi raz na taki kawał nie pójda. Siła. Musi ogłuszyć lub uspić wartownika przy drzwiach Pawilonu. No tak. A ten później podniesie alarm na całą bazę i bez trudu dojdą kto był sprawcą. Ostatecznie nie ma tu tak wielu ludzi. To na nic. Chociaż? A gdyby tak wartownik usnął z własnej winy, przepity dajmy na to. Można by mu w tym trochę dopomóc. Nie przyznałby się do tego w obawie o własną skórę. Niezły pomysł, tylko jak to zorganizować?

Nic teraz nie wymyśli. Trzeba wpieryw dokładnie poznać zwyczaje strażników, ich słabostki, a potem działać. Musi dopiero pochodzić koło tego.

Jaka cisza w tym kraterze. Aż w uszach dzwoni. Nikt się nie kręci, tylko strażę czuwają. Pustka. A gdyby tak zacząć już? Ostatecznie co za różnica? Może przecież o każdej porze sprawdzać podległe mu posterunki. Sprawdzi więc sobie teraz posterunek Ładowisko. Przy okazji rzuci okiem w korytarzyk i popatrzy na siedzącego tam cerbera.

Sprawdził broń na wszelki wypadek i wyszedł na schodki. Cyfron skończył już polowanie na gady, bo tkwił w swojej wnęce bez ruchu. Nie zareagował na widok człowieka. Dopiero kiedy Dick zrobił krok w jego kierunku, rozjarzył usłużnie światelko aktywności.

— Cyfron... C-I... gotowy.

— Do czego? — Dick był w świetnym humorze.

— Wychodzisz... Czy... mam... ci... towarzyszyć?

— Nie trzeba. Wyłącz się.

Automat jakby zawiedziony, wolno wygasił świetlny punkcik.

Rauber zbiegł ze schodów i ruszył w kierunku Pawilonów, Jarzyły się pełnymi światłami okien, ale nie widać było żadnego ruchu. W pewnej chwili dobiegł go stamtąd przytłumiony gwar. Przystanął nasłuchując. Dobiegał wyraźnie z Pawilonu Naukowców Rauber przy-

spieszył kroku. Dobrze że wybrał się w tę stronę. Dzieje się tu coś ciekawego.

W pomieszczeniach, gdzie mieszkali i pracowali porwani profesorowie, najwyraźniej działo się coś niezwykłego. Prawie wbiegł do Okrągłaka. Przy wejściu wpadł na kapitana Forstera. Ten miał zaciśnięte usta i ściągniętą gniewem twarz. Spojrzał na Raubera ostro.

— Dlaczego bez cyfrona? — spytał ze złością.

— Mam zezwolenie Pułkownika. Zresztą nie potrzebuję niańki — odparł Dick, starając się, by wypadło to spokojnie, choć krew w nim zawrzała. Nie znosił tego tonu i tego typu.

— Co pan tu robi o tej porze? — nie ustępował Forster.

— To co i pan. Stoję.

— Kapitanie Rauber!

— Kapitanie Forster!

Przez chwilę patrzyli na siebie wrogo, wreszcie Forster uśmiechnął się kwaśno.

— Przepraszam, kapitanie Rauber. To nerwy. Znów te przekłete węże. To już piąty wypadek.

— Kto?

— Profesor Mrówczenko. Dotkliwa strata.

— Jak to? Nie żyje?

— Z pewnością. Zmarł piętnaście minut temu.

Z korytarza wyszli dwaj żołnierze i noszami, na których leżał, przykryty białym prześcieradłem, kształt człowieka.

— Jak to się stało? — Dick popatrzył badawczo na Forstera.

— Czort wie. Pełno tu tego plugastwa. Znaleziono go w łóżku. 2yl jeszcze. Na ratunek, niestety, już było za późno. Węża zresztą znaleźli i ubili...

— Mała pociecha. Taaak — przeciągnął Dick. — To piąty, powiada pan. A tamci?

— Co za tamci?

— Pytam, kim byli tamci. Pierwsze ofiary.

— Ach, tak. Pierwszy był naszym lekarzem. Potem trzech szeregowców I teraz profesor, psiakrew. Dlatego tak się zdenerwowałem, że pan chodzi bez opieki cyfrona.

— Nie szkodzi. Najwyżej będę szósty.

— Niech pan nie plecie głupstw. Na szczęście nie zginął dotąd żaden z oficerów. Niech pan nie łązi bez potrzeby po tych ruinach. Tam tego najwięcej.

— Był pan tam?

— Po jaką cholere? — Forster był wyraźnie zdziwiony. — Nie byłem, nie będę i panu nie radzę.

Dick pokiwał głową z ironicznym uśmiechem.

— Lubię ryzyko, a węży się nie boję, kapitanie Forster. Żadnych węży...

Zasalutował niedbale i odwrócił się tyłem.

— Mam broń i strzelam celnie — rzucił przez ramię. Odszedł powoli, nie oglądając się za siebie. Forster nie zareagował.

Na posterunku, przy hangarach jak zwykle panował porządek. Wysłuchał meldunku strażnika, obejrzał oba śmigłowce i okrążając tym razem długie budynki Pawilonów, ruszył w kierunku swojej kwatery.

No i po rozmowie z Mrówczenką. Uprzedzili go Zbuntował się biedak i wąż go ukąsił. Usłużny wąż. Trzeba im przyznać, że działają szybko. Musi dostosować się do ich tempa. Uśmiechnął się wkraczając do swego domku. Nie był do dobry uśmiech...

R o z d z i a ł V

SZCZĘŚLIWY TRAF

— Nie, Pułkowniku. Na dłuższą metę ten stan rzeczy absolutnie mi nie odpowiada. Czuję się tu zbyt cenny, a przecież pan mnie zna. Nie znoszę bezczynności. Nie wiem czym zasłużyłem sobie na takie traktowanie. Byłem chyba zawsze zdyscyplinowanym oficerem?

— O co ci właściwie chodzi, Dick? — Pułkownik uśmiechnął się dobrodusznie. — Jesteś dowódcą Straży, tak jak o to prosiłem. Nie odpowiada ci to? To przecież nie najgorsza funkcja.

— Funkcja — skrzywił się ironicznie Dick. — Trzy posterunki i oficer tam, gdzie zupełnie wystarczyłby kapral. Jeżeli pan mi nie ufa, to proszę mnie odstawić na ląd do dyspozycji Dowództwa Baz Ochrony Pacyfiku. Dick Rauber jeszcze może się do czegoś przydać.

— Odstawić na ląd, powiadasz? — Burton pokręcił głową. — Do dyspozycji Dowództwa? Nie, kapitanie. Dowództwo Ochrony Baz Pacyfiku to ja. Ja, pułkownik Burton. Tu jest twoje miejsce, Dick. Mam wielkie plany i ty masz w nich niemały udział. Cierpliwości, chłopcze. Cierpliwości. Pilnuj na razie swoich posterunków, odpoczywaj, zwiedzaj krater. Mówiono mi, że lubisz łązić po ruinach. Właśnie. Ciekawe są?

— Pan wybaczy, Pułkowniku. W służbie pana Pułkownika niewiele miałem czasu. Zawsze lubiłem archeologię. Teraz chcę to sobie powetować. Czasu mam nadto — skrzywił się Dick. — Czy mam przestać penetrować ruiny?

— Nie. Skądże. Nie mam nic przeciwko temu. Sam bym tam chętnie zajrzał, ale... — Pułkownik rozłożył ręce. — Wiesz jak to jest. Obowiązki przede wszystkim...

— Więc, Pułkowniku — Rauber wstał i spojrzał pytająco na przełożonego. — Nic więc się nie zmienia. Dalej pozostaję przy tej bzdurnej funkcji?

— Wolnego, Dick. Póki co, tak. Cierpliwości. Pamiętam o tobie. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, wal do mnie jak w dym.

Wyszedł od starego nawet zadowolony, choć starał się tego nie okazywać. Ostatecznie wszystko szło po jego myśli. Nie miał przecież zamiaru robić czegokolwiek dla tej zgrai i pełniona funkcja satysfakcjonowała go w zupełności. Chodziło mu jedynie o stworzenie pozorów wierności, zaangażowania, a to mu się w zupełności udało. Stary lis niczego nie podejrzewa. Ma wielkie plany. Zgoda. Przewidział w nich miejsce dla niego? Niezłe. Tylko udział w nich oficera do specjalnych poruczeń, Dicka Raubera, będzie nieco inny niż to sobie zaplanował żądny władzy Pułkownik.

Z tej strony nie ma się czego obawiać. Nie czuł niepokoju, nie chodziło mu zresztą o siebie, ale by wykonać to, co sobie zaplanował trzeba zachować jak najdalej idącą ostrożność. Tu bądź co bądź nie pracują głupcy i właśnie lekceważenie przeciwników byłoby w jego sytuacji kapitalnym głupstwem... Ot, choćby spotkanie przed domkiem tego bookmachera. Czy Jacobson coś podejrzewa? Wychodząc od Smitha miał dziwną minę. Jakby triumfującą. Starzał się jednocześnie być przyjacielski, jowialny. A może to było właśnie szyderstwo z faktu stanowiska, jakie powierzono jemu? Kapitanowi Dickowi Rauberowi. Ech, głupstwo.

Forster. Ten jest niebezpieczny i jego musi unieszkodliwić w pierwszej kolejności. Ukąszenie węża odpada. Szyte zbyt grubymi niciami... Chociaż... To może ich zaskoczyć. Gady to ich specjalność. A węży tu przecież zatrzęsienie. Nie powinni więc niczego podejrzewać. A i nie zarządzają jakiegoś wyjątkowego śledztwa, jeżeli w poprzednich wypadkach tego nie robili. Warto się nad tym zastanowić poważnie. Forster jest duszą całego przedsięwzięcia. Ciekawe kogo stary powołałby w razie czego na to eksponowane stanowisko? Nie ma na razie nad czym się zastanawiać. Dobrze i to, że chyba jednak nie jest sam. Wilson nie dopowiadając i nie stawiając kropki nad „i”, dał mu jednak coś niecoś do zrozumienia. Liczą na jego pomoc. Kto? I do licha dlaczego? W jakim celu? Poza tym, dlaczego wierzą właśnie jemu, niegdys

prawej ręce Pułkownika? To też jest nader ciekawe Skąd wiedzą co w trawie piszczy? Pytania, pytania... Wilson, stary i doświadczony podoficer, wywąchał coś w Sztapie. Takie przecieki są przecież najzupełniej możliwe. Jakaś wymiana zdań pomiędzy oficerami, gest Pułkownika. Wystarczy. Wilson to stary wyjadacz. W ciągu tylu lat służby pętał się z pewnością przy niejednym sztapie. To jest możliwe. Ba! To prawie pewne. Stąd jego półsłówka, deklaracja pomocy, ostrzeżenie i jakby cień sympatii. Sympatia? Przyjaźń z podoficerem? A dlaczego nie? Lepszy on niż zgromadzone tu bestie w oficerskich mundurach, które bez drgnienia powiek poszły na śmierć Luizę i Jacka.

Nad kraterem zmierzch rozsypał szczodłą ręką iskry gwiazd na pociemniałym nieboskłonie. Mimo braku księżyca, nie było tak zupełnie ciemno Czerń nocy wysrebrały blaski padające z rzęsiście oświetlonych okien Pawilonów.

Zakwilił gdzieś w gąszczu jakiś ptak. O tej porze w dżunglach kontynentu wychodziły na żer wielkie drapieżniki. Wzruszył ramionami. Tu tygrysa ani lwa nie spotka, ale wielkie drapieżniki są. Czają się w ciemnościach jak ich afrykańscy czy azjatyccy pobratymcy Tylko ci tu niosą śmierć podłą, zdradziecką. Tchórze, zasłaniający się węzami.

Dość. Dość zwlekania. Jutro zaczyna. Przez noc zdaży obmyślić szczegóły, a o wykonanie nie ma obawy. Zna siebie i nie pierwsza to jego tego typu akcja. Trochę tylko w innym teraz celu przeprowadzona. W słuszniejszym.

Sam nie wie. dlaczego tak długo zwlekał. Albo starzeje się, albo katastrofa tak nim wstrząsnęła. Siedzi już przecież bez mała miesiąc w tej dziurze i nic. Nadal nie jest pewien, kto i po co zatopił „Cynthię”? A może to rzeczywiście był tylko przypadek? Nie! To absolutnie niemożliwe, a raczej nieprawdopodobne. „Cynthię” skierowano tu nie bez ważkiego powodu. Nie bez powodu też płynął na niej Road i trzecia kompania komandosów. To z całą pewnością było jakieś posunięcie w rozgrywce pomiędzy Burtonem a Admiralem. Dostał się między młot a kowadło i wciągnął w to bezwiednie najdroższe mu istoty. I co z tego, że wyszedł z życiem? A inni? Zaciśnął zęby, utwierdzając się już po raz któryś o słuszności powziętej decyzji. Ktoś musi za tę bezsensowną śmierć drogo zapłacić. Stanowczo zbyt długo już babra się w tej sprawie bez konkretnych wyników. Trzeba zabrać się do tego energiczniej. Czasu pozostało doprawdy niewiele. Smith wspomniał coś o kilku tygodniach Szybko. Jeżeli dopuści do tego i Pułkownik, Forster i Kleist zrealizują swoje zamiary. umkną mu. Bezkarne...

Nie i jeszcze raz nie. Żaden z nich nie opuści tej wyspy żywy, choćby miał wystrzelać ich otwarcie, sam przy tym kładąc głowę. Obiecał Wilsonowi i jego grupie, że wyciągnie ich z tego. Trzeba szczerzej z nim porozmawiać. Muszą otwarcie zadeklarować się po czyjej stronie staną w razie otwartego konfliktu.

A może ten cały Wilson to marionetka, a jego wyznania to prowokacja? Zrobiło mu się nagle duszno. Rozsunął zamek pod szyją. Prowokacja. Takiej ewentualności nie wolno wykluczyć. Musi to wziąć poważnie pod uwagę i nie dać się zaskoczyć. Ale w takim wypadku byłby sam, nie mógłby na nikogo liczyć. Na nikogo.

Zerwał się z fotela. No i dobrze! Dick Rauber poradzi sobie bez pomocników Nie ma na co czekać. Zdecydowanie podniósł słuchawkę telefonu i wcisnął jedynekę, numer Pułkownika.

— Tu Burton. Słucham.

— Dick Rauber, Pułkowniku.

— Tak, słucham.

— Przepraszam za kłopot. Chciałem tylko upewnić się czy nie będę już dziś potrzebny. Cholernie źle się czuję i chyba położę się zaraz...

— To może być febra, Dick. Najlepiej zalej się w trupa i idź spać. Nie, nie będziesz mi potrzebny Zresztą chwileczkę.

Pułkownik prawdopodobnie zakrył dłonią mikrofon, bo w słuchawce zapanowała nagle cisza. Czekał cierpliwie na wynik konsultacji, bo ani na chwilę nie wątpił, że Stary uzależnia

swoją decyzję od zdania kapitana Forstera. Poznał już dostatecznie zależności, tu, w bazie.

— Halo.

— Tak, pułkowniku.

— Hm... Upewniłem się. Naturalnie, tak jak przypuszczałem, jesteś wolny tak długo, jak długo będziesz się źle czuł. Gdyby tego... hm... było gorzej, dzwoń. Musisz się, chłopcze, sam kurować. Lekarza na razie nie ma na miejscu, wiesz o tym. To znaczy jest, ale... zajęty. Może to jednak nic poważnego. To wszystko, Dick...

— Dziękuję. Odmeldowuję się.

Delikatnie odłożył słuchawkę na miejsce, odczekawszy aż to wprawdzie uczyńni Burton. Uśmiechnął się. Jak na razie wszystko w porządku. Zrzucił wędkę i teraz pozostaje tylko czekać czy szczupak uderzy. Nie był stuprocentowo pewny powodzenia tego podstępu, ale spróbować tej drogi na pewno warto. Gdyby mu ten numer wyszedł, zaoszczędzi mnóstwo czasu, a może i uniknie poważnego niebezpieczeństwa. Teraz pozostaje to, czego najbardziej nie lubił, cierpliwe oczekiwanie.

Jak radził Pułkownik? Zalać się i spać? Zgoda, Pułkowniku. Dick Rauber jest posłusznym, zdyscyplinowanym oficerem. Z podręcznego barku wydobył okazałą butelkę whisky i puszkę piwa.

Po namyśle uzupełnił to jeszcze słonymi paluszkami i wraz z pojemniczkiem, pełnym grzechoczących kostek lodu, przeniósł na stojący koło tapczanu stolicek. Następnie zdjął uniform i starannie umieścił w szafie. Strumień orzeźwiającego powietrza i narożnego klimatyzatora skierował na posłanie i z westchnieniem ulgi ułożył się wygodnie do odpoczynku. Jak chorować to chorować. Z komfortem. Nalał sobie pełną szklankę whisky, dorzucając kilka kostek lodu. Przez chwilę kręcił naczynkiem, czekając aż lód się rozpuści, po czym ze smakiem wychylił zawartość duszkiem.

Przypuszczał, że nikt dziś już go nie odwiedzi. Tacy oni troskliwi ani towarzyscy nie byli. A szkoda. Lepiej byłoby, gdyby rozeszła się wieść o jego ciężkiej chorobie. To był niezbędny warunek powodzenia jego ryzykownego planu. No trudno. Jeżeli nawet nikt dzisiaj przypadkowo się nie zjawi, jutro z całą pewnością wpadnie sierżant Wilson, a tego nietrudno będzie odpowiednio nastawić.

Nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę. Miał przecież błogosławieństwo Pułkownika i dzisiaj nie powinien być trzeźwy. Zresztą nie wolno mu nigdzie wychodzić, a jakoś trzeba zabić czas. Zabić czas. Zabić? Śmieszne. Coś ostatnio za dużo planuje tego zabijania. Oby nie przeszło mu to w nałóg. Roześmiał się szczerze.

Wychylił zawartość szklanki i właśnie sięgał znów po butelkę, kiedy usłyszał pukanie. Do diabła! A jednak. Kogo też to licho niesie?

— Wejść.

Kapitan Forster stanął w progu jakby trochę zmieszany z nikłym uśmiechem na chudej twarzy. Patrzył na Dicka leżącego ze szklanką w ręce i butelką w drugiej.

— Jak widzę, leczy się pan intensywnie. Można? — spytał i nie czekając na zaproszenie, usiadł.

— Proszę, kapitanie Forster. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Forster skrzywił się ironicznie.

— Normalnie. Byłem u Pułkownika, kiedy pan dzwonił. Chciałem się dowiedzieć w czym rzecz. To coś poważnego?

— Miejmy nadzieję, że nie. Napije się pan, kapitanie? — wskazał gestem stojącą na stoliku drugą, pełną butelkę. — Pyta pan, czy to poważne. Nie wiem. Takie sobie łamanie w kościach i temperatura. Proszę. Niech pan sprawdzi...

Dick wyciągnął rękę w kierunku Forstera. Ten szybko cofnął się o krok, a na jego twarzy odbił się nieklamany przestach.

— Nie! Co pan. Wierzę przecież. Gdyby zrobiło się gorzej, proszę dać mi znać. Coś na

pewno poradzimy.

— Taaak — przeciągnął Dick. — Co pan poradzi, kapitanie, choćby to nawet była dzuma? Lekarza zdaje mi się tutaj nie mamy.

— Nie. Nie mamy, niestety. Węże...

— Węże? Co węże?

— Lekarz umarł ukąszony przez węża tuż przed pańskim przybyciem. Zgłosiliśmy w Dowództwie. Mieli przysłać. Przyślą na pewno, ale na razie... — rozłożył bezradnie ręce. — Może to jednak nic poważnego, a pan zaraz dzuma. Chociaż? Trzeba sprawdzić. Zobaczmy jutro... No to do widzenia... Pójdę już.

— Do widzenia — Dick zdobył się na uśmiech. — Do jutra, kapitanie.

Forster jakoś tak skwapliwie, nie wyciągając ręki na pożegnanie, wycofał się tyłem i wyszedł. Rauber ułożył się wygodniej i zaśmiał cichutko. Lepiej niż się spodziewał. Uwierzyli w jego chorobę. Z pewnością nie miały wpływ na to miała opinia Pułkownika, który znał dobrze Raubera i wiedział, że ten nie zwykł pieścić się z byle powodu. I miał rację. Tylko że tym razem powód był. I to poważny. Tylko że nieco inny niż sądzi Jego Eminencja kapitan Forster i Stary. Popatrzcie no. Sam wielki Forster osobiście fatygował się do chorego oficera. Chciał sprawdzić jego prawdomówność. Doskonale! Teraz jedynie trzeba sobie skombinować na jutro jakąś wysypkę lub co najmniej efektowne plamy na twarzy. Jak dzuma to dzuma. A jeżeli, korzystając z okazji, postarają się pomóc chorobie? Węży przecież tu mnóstwo i mogą sądzić, że chory i w gorączce łatwo może przegapić gada we własnym łóżku. Nie. Raczej nie. Do tego się chyba nie posuną. Prędzej już poczekają na przebieg choroby, mając nadzieję, że to naprawdę coś poważnego. Może kostucha wyręczy ich w sposób naturalny i pozbędą się bez kłopotu niepotrzebnego im, a kto wie, czy nie wręcz zawadzającego, kapitana Raubera Pułkownik prawdopodobnie by mu zaufał. Pamiętał przecież jego oddanie w poprzednich latach.

Ale Forster? Forster jest jednak o całe niebo mądrzejszy i bardziej sprytny niż Stary. A jeszcze dochodzi do tego obawa o swoje uprzywilejowane stanowisko i jakieś tam, bliżej Dickowi nieznane, korzyści, oczekiwane przez nich po zrealizowaniu tego tajemniczego przedsięwzięcia... Nie, Forster to twarda sztuka i jego w pierwszym rzędzie należy unieszkodliwić, jeżeli opracowany przez Dicka plan ma się powieść. Musi to zrobić.

Musi wymyślić coś, co wyeliminowałoby groźnego kapitana z gry i to tak, by ani cień podejrzenia nie padł na niego, Dicka. Cóż? Teraz pozostaje mu tylko czekać. Zrobił co należało i następny ruch musi uczynić przeciwnik.

Przed nim długa noc. Na rano koniecznie musi uwiarygodnić swoją chorobę i postarać się o kilka efektownych plam na całym ciele. Nie miał pojęcia, jak powinna wyglądać uczciwa dzuma, a przecież to musi być już na pierwszy rzut oka poważne i koniecznie zakaźne. Niewielu rzeczy tu się lękają, ale zakaźnej choroby i możliwości wybuchu epidemii w tym zamkniętym kraterze, powinni się jednak przestraszyć. Nawet jeżeli przez chwilę dopuszczaliby możliwość symulacji, będą woleli dmuchać na zimne, niż narazić się na konsekwencje. Stawka była zbyt wysoka, by ryzykowali cymkolwiek.

Nalał sobie raz jeszcze i wypił. Dzisiaj mógł sobie jeszcze na to pozwolić. Od jutra ani kropli alkoholu. Musi być trzeźwy i czujny... Gra się rozpoczęła. Zresztą alkohol nigdy go zbyt nie pociągał. Mógł wypić, i z okazji różnych przyjęć wypijał sporo, ale bez specjalnej ochoty i, co najważniejsze, bez jakichkolwiek ujemnych skutków. Z elektronowego pistoletu trafiał w asa pik i przed, i po wypiciu dowolnej ilości whisky. Luiza lubiła alkohol. To była jedyna rzecz, która mu się w niej nie podobała. Ale i Luiza nigdy nie przekraczała dopuszczalnej normy, a po urodzeniu Jacka przestała pić zupełnie. Luiza. Biedna, mała Luiza. Biedny Jack.

Wstał z posłania i mimo iż był pewny, że nikt go nie obserwuje, poszedł do sąsiedniego pokoju, udając ogromne osłabienie, zataczając się i przytrzymując sprzętów. To było jego

żelazną zasadą. Jeżeli narzucił sobie jakąś rolę, grał ją bez względu na audytorium, czy też jego brak. W ten sposób był absolutnie pewny, że stanie się to pewnego rodzaju odruchem i nie dopuści do zdradzenia się jakimś niekontrolowanym gestem.

W składziku odszukał apteczkę i długo z zastanowieniem przebierał w lekach. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Kryjąc pastylki w zaciśniętej dłoni, powlókł się z powrotem na tapczan i z ulgą, a nawet na wszelki wypadek z jękiem, ułożył się do snu. Zgasił światło, lecz sen nie nadchodził. Leżał w ciemności, rozpamiętując niedaleką przeszłość. Przeszłość. Bo tylko ta dla niego istniała. To, co go jeszcze w przyszłości, tej jutro, pojutrze, za miesiąc czekało, to był tylko przelotny epizod. Zemsta. Wyegzekwowanie długu i świat może się skończyć. Dalej nie planował. Bez Luizy i Jacka nie było mu to do niczego potrzebne. Niepostrzeżenie usnął i obudził go dopiero promienie słońca, padające na twarz i zapobiegliwa krząta- nina cyfrona w krzakach za tylną ścianą domku.

Obudził się jak zwykle, zupełnie trzeźwy, bez tego typowego dla większości ludzi, okresu przejściowego między jawą a snem, kiedy to człowiek jest rozluźniony i na wpół przy- tomny. Sięgnął pod poduszkę i wydobyl trzy niewielkie pastylki. Wiedział, co to za specyfik i znał doskonale jego działanie. To było właśnie to, co w tej chwili było mu potrzebne. Wrzucił leki do ust i popił wodą ze stojącej na stoliku karafki. Woda była ciepła i mdła. Otrząsnął się ze wstrętem. Przez moment poczuł głód i, co z tym idzie, ochotę na śniadanie, ale po namyśle, zrezygnował. Posiłek, nawet najskromniejszy, osłabi działanie specyfiku, a do tego w żadnym wypadku nie wolno było dopuścić. Położył ręce pod głowę i wpatrzył się w rozświetlone prostokąt okna, poprzecinany arabeskami gałęzi jakiegoś krzewu.

Drgnął na odgłos stukania do drzwi. Szybkim spojrzeniem obrzucił stolik, posłanie, po- kój. W porządku. Zaciągnął koc pod brodę, zakrywając ręce i piersi.

— Wejść!

Szczęknęły otwierane drzwi. Dick spojrział ciekawie.

— Dzień dobry, kapitanie — w drzwiach stał rosły mężczyzna w białym kitlu. — Jestem doktor Stawinsky.

Zbliżył się do leżącego i uważnie popatrzył na czerwone plamy, obficie zdobiące twarz chorego.

— Przepraszam na chwilę — mężczyzna w białym kitlu cofnął się i zniknął za drzwia- mi. Nie było go kilka minut. Kiedy wrócił, wyglądał najwyraźniej na rozbawionego.

— Jestem już. Więc chorujemy sobie? — zaczął z tłumionym śmiechem. — Jestem, kolego kapitanie, także lekarzem. Przyszedłem panu pomóc.

— Cieszę się. Naprawdę się cieszę. — Dick mówił słabym głosem autentycznie ciężko chorego. — Ale skąd pan? Przecież, o ile mi wiadomo, w bazie nie ma w tej chwili lekarza.

Stawinsky uśmiechnął się szeroko i jakby zamrugał znacząco.

— Nie ma. Nie ma. Waszego, urzędowego, nie ma rzeczywiście, ale ja jestem... — rzekł trochę gderliwie. — Jestem wprawdzie astrobiologiem, ale schlebiam sobie, że i ziem- ska medycyna niewiele ma przede mną tajemnic. Wierz mi, młody człowieku, że najprawdo- podobniej potrafię cię postawić na nogi, i to chyba szybciej niż się spodziewasz.

Co to? Stawinsky groził? Wbrew temu, Dick poczuł nagle przyływ niczym nieuzasa- dnionego zaufania do tego starszego, barczystego jegomościa, o siwiejącej czuprynie i niebie- skich, łagodnych oczach.

— Wierzę doktorze. Oby szybko. Nie lubię wylegiwania się.

— Co nam dolega?

— Gorąco. Gorąco mi — wyszeptał Dick scenicznym szeptem i unosząc się na łokciu, włączył przenośny wentylatorek, błogosławiąc się w duchu za pomysł ustawienia go właśnie w tym miejscu. Nie był mu on wprawdzie potrzebny ze względu na temperaturę, ale warkot jego znakomicie zagłuszał rozmowę z doktorem w przypadku, gdyby ktoś z zewnątrz miał

ochotę ich podsłuchać. Domyślał się. Domyślał się, z kim profesor przyszedł.

— No...no. Młody człowieku. Czy nie za głośno tu? — teraz Stawinsky uśmiechnął się otwarcie. — Zresztą nie szkodzi. Nie ma to jak świeże powietrze w chorobie.

Dick patrzył na niego układając sobie w myślach ostateczny plan batalii.

— Pan sam, profesorze? — spytał i od razu zrozumiał, że strzelił gafę. W tej sytuacji taka nieostrożność mogła go wiele kosztować. Co chorego może obchodzić, z kim przyszedł niosący mu pomoc lekarz? Ale natychmiast uspokoił go kpiący uśmiech Stawinskyego.

— Sam, nie sam, młody człowieku. Jest tu ze mną kapitan Forster. Został na zewnątrz. Złoży ci zapewne wizytę później. Teraz jeszcze woli nie ryzykować. Zaczeka cierpliwie na moją diagnozę. No więc jak? Przyszła nam ochota na małą dżumę? — Teraz już profesor nie ukrywał rozbawienia.

— Co pan zażył, kapitanie? Bo na naturalność tych pięknych plam to mnie pan nie nabierze.

Dick odrzucił koc z piersi. Teraz nie było chwili do stracenia. Jeżeli pomylił się, plany jego brały w łeb.

— Ma pan zupełną rację, profesorze. Jak mogłem myśleć, że oszukam uczzonego tej miary, co pan...

— Spokojnie, Rauber. Ty mi tu nie kadź — przerwał mu profesor, poważniejąc. — Znam cię ze słyszenia. Któż zresztą w naszym kochanym kraju nie słyszał o „Żelaznym Dicku”? Ale do rzeczy. Forster może się zniecierpliwic i doda mu to odwagi. Przewycięży strach przed dżumą i wejdzie, a tego byś pewnie nie chciał? O co tu chodzi, Dick? Jaki cel ma ta twoja cała symulacja? Bo to jest symulacja, Rauber.

Trzeba uczciwie przyznać, że zaskoczył Dicka otwartym postawieniem sprawy. Tego się absolutnie nie spodziewał. Teraz trzeba postawić wszystko na jedną kartę. Wóz albo przewóz.

— Czy naprawdę nikt nas w tej chwili nie słyszy, Profesorze? — spytał szeptem, spoglądając na drzwi.

— Chyba nikt — Stawinsky zmarszczył brwi. — Więc o co chodzi?

— Chodzi o to — Dick już się zdecydował. — Chodzi o to, że ja wreszcie muszę, do cholery, wiedzieć, co tu jest grane. Czy pan, profesorze, przyjechał tu dobrowolnie?

— Jak to dobrowolnie? O czym ty mówisz młody człowieku? Oczywiście że dobrowolnie. Kapitan Forster zaprosił mnie tu osobiście, a że problem rzeczywiście ciekawy, więc jestem.

— A rodzina?

— Co rodzina?

— No, rodzina pana profesora. Zachwycona? Pisze entuzjastyczne listy? Przyjeżdża w odwiedziny?

— No wiesz, mój drogi. Tego już za wiele. Co moja rodzina... Nie pisze, fakt. Praca, którą tu wykonuję i miejsce, w którym przebywam, jest ścisłą tajemnicą...

— Profesorze — Dick usiadł na posłaniu. — Niech mnie pan zbada. Tymczasem opowiem panu coś, co pana na pewno zainteresuje, a o czym pan, zdaje się, nie ma najmniejszego pojęcia. Otóż gazety całego świata podały do publicznej wiadomości, że zginął pan w tajemniczych okolicznościach podczas podróży na Bermudy. Szanownych zwłok nie udało się znaleźć. Szczątków samolotu również. W nekrologach opiewano pańskie zasługi, ofiarność itd. W nekrologach, profesorze. Dla świata jest pan nieboszczykiem. Rodzina dostała olbrzymie odszkodowanie, a dzieci chlubią się tatusiem bohaterem. Czy sądzi pan, że po tym wszystkim pozwolą panu, ot, tak sobie, w uznaniu zasług, powrócić tam? Zmartwychwstać? Bzdura, profesorze. Tacy głupi to oni nie są. Ma pan przykład — Mrówczenko.

— Co to znaczy? — uśmiech zniknął z twarzy Stawinskyego. — Co to wszystko znaczy? Po co mi pan to mówi?

— Po prostu chcę, by pan wiedział. Oni pana oszukali. Kleist, Burton, Forster. Co wy robicie? Nad czym pracujecie?...

— Poczekaj, młody człowieku! Skąd ty to wszystko tak dokładnie wiesz? Chociaż, co ja wygaduję — klepnął się z rozmachem w czoło. — Przecież ty jesteś Dick Rauber. Prawa ręka pułkownika Burtona.

— Nie tak. profesorze — Dick mówił szybko. — To już teraz niezupełnie tak. Zabili mi żonę i syna. Nie ufają mi już tak jak dawniej i nie wróżę tu sobie zbyt długiego żywota. Zresztą, jak tylko przestaniecie im być potrzebni, usuną i was bez żadnych skrupułów. Znam ich. Przez dziesiątki lat byłem, niestety, jednym z nich. Teraz chcę im zapłacić za śmierć moich bliskich i pan mi w tym pomoże.

— Skąd ta pewność?

— Stań, profesorze, że nie uważam pana za głupca. Pan widzi co tu się dzieje. Gdzie jest profesor Mrówczenko?

— Mrówczenko? Mrówczenko nie żyje. Wąż...

— Wąż? Ten wąż nosi mundur Baz Ochrony Pacyfiku i jest bardzo przewidujący. Niech pan nie będzie naiwny, profesorze. Niech mi pan uwierzy. Zemszczę się, ale przy okazji ocalę was.

— Co mam więc w tej sytuacji robić? — Stawinsky był przygnębiony, ale wyglądał na przekonanego. — Co?

— Na razie nic. Proszę oznajmić Forsterowi, że moja choroba to prawdopodobnie dżuma, lecz nie jest to jeszcze pewne. Musi pan mnie dokładnie przebadać i poddać obserwacji. Obojętne czy uwierzy, czy nie. Bać się będą i tak. Niech mnie pan codziennie odwiedza — chwilę zastanawiał się. — Coś wymyślimy. W ostateczności przekupimy ludzi. Tu są tony złota, profesorze.

— Zgoda. Wierzę panu. A Forster?

— Forster... Forster i Kleist to jeszcze nie wszystko. Naprawdę niech mi pan zaufa. Jestem Dick Rauber. Ocalę was na pewno, jeżeli mi w tym pomożecie. No, ale dość na dzisiaj. Już za długo trwa ta wizyta. Ten drab w mundurze kapitana może zacząć się niepokoić. Niech pan już idzie, profesorze, i proszę potwierdzić moja wersję choroby. Aha. I uwaga na węże. Są wyjątkowo aktywne i agresywne.

Profesor Stawinsky długą chwilę patrzył na leżącego, wreszcie pokiwał głową.

— Nie wiem, jaki masz cel, młody człowieku — rzekł powoli z namysłem. — Ale wiele rzeczy i mnie się tu nie podoba. Chcę ci wierzyć i może rzeczywiście uda mi się zamartwychwstać. Będę u ciebie codziennie. Do widzenia.

Wyszedł zamykając za sobą drzwi. Teraz dopiero Dick odetchnął z ulgą. Udało się. Naprawdę się udało. Ten cały Stawinsky to swój chłop. Przez niego trafi bez trudu do Pawilonu Naukowców i postara się pokrzyżować plany Pułkownikowi. Podczas jutrzejszej wizyty doktora omówią dokładnie wszystko, ze szczególnym uwzględnieniem tajemniczych sygnałów. Powiedzieć profesorowi o świątynnej jaskini i odkrytym wyjściu na zewnątrz? Nie. To potem. Póki co, lepiej zachować te rewelacje dla siebie. Ciekawe czy naukowcy mają jakąś broń. Raczej wątpliwe. W każdym razie jeżeli nie mają, to trzeba będzie podrzucić im ze dwa dezintegratory. Chyba potrafią się z nimi obchodzić. Ba. Szkopuł w tym, że sam ma tylko jeden. Skąd zdobyć więcej? Wydaje się, że trzeba będzie jednak ruszyć to złoto Majów. Wilson załatwi resztę. To dobra myśl. Poczul lekkie zmęczenie i ułożył się wygodnie, kiedy na schodkach zastukały kroki i skrzypnęły otwierane drzwi.

— Kapitan Forster... pyta... czy... czegoś... nie... potrzeba.

Na progu stał cyfron nie wchodząc jednak do środka.

— Powiedz kapitanowi, że nie. Dziękuję. Mam wszystko, tylko źle się czuję i teraz będę spał. Możesz odejść.

— Wykonuję.

Drzwi zatrzęsęły się. Dick czekał i leniwym półuśmiechem na wargach, ale minęło i piętnaście minut i automat nie pojawił się już. Widocznie kapitan Forster uznał, że zrobił już wszystko co do niego należało i poszedł sobie w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Uwierzył w zakaźną chorobę Raubera, bo nie odważył się bodaj nosa wetknąć do wnętrza domku. Za odważny to on nie jest, drań. Woli nie ryzykować. Tym lepiej. Teraz potrzebuję spokoju. Ledwie to pomyślał, gdy ostro zaterkotał aparat telefoniczny. Niechętnie sięgnął po słuchawkę.

— Tak?

— To ty, Dick? — poznał ochrypy baryton Pułkownika.

— „Nie. Nie ja. Święty Jerzy” — pomyślał ze złością, ale zmusił się do uprzejmości.

— Melduję się.

— Co ty, chłopcze, wyrabiasz? Jechałeś przecież do Singapuru. Nie brałeś szczepień ochronnych?

— Nie, Pułkowniku. Po co?... Nie przypuszczałem...

— No wiesz? To już przechodzi wszelkie pojęcie. Nie przypuszczałaś. Co za lekkomyślność. Czy wiesz co narobiłaś?

— Nie, Pułkowniku.

— Nie? Nic wielkiego... Po prostu zawlokłeś zarazę na wyspę. Drobiazg, prawda? Dobra! Nie ma już o czym gadać. Stało się. Wydałem zarządzenia. Profesor Stawinsky, znasz go już, przeniesie się do ciebie na stałe. Naturalnie na okres choroby i kwarantanny. Chyba żeby... tego... mmm... no do czasu aż wyzdrowiejesz. Będziecie naturalnie całkowicie odizolowani. Niestety. Trudno Dick. Nie moja wina.

— Moja również nie. Pułkowniku, ale rozumiem. Jak trzeba to trzeba. Przepraszam za kłopot.

— Dobra, dobra — głos Burtona jakby złagodniał nieco. — Na razie musisz się leczyć, potem zobaczymy.

— Tak jest

— No widzisz. To tyle. I pamiętaj. Ani ty, ani Stawinsky nie możecie opuszczać domku. Żywność i wszystko, czego wam będzie trzeba, dostarczy wam cyfron. Do zobaczenia.

— W piekle — mruknął Dick odkładając słuchawkę. Jednak stary musi być porządnie przestraszony i zdenerwowany. Nic to. To jeszcze nie wszystko, Pułkowniku. To dopiero początek. Preludium. Więc zamknęli z nim profesora. Nieźle. Lepiej niż się mógł spodziewać. Trochę to wprawdzie zmieni plany, ale nie szkodzi. Za to szybciej pójda sprawy. Omówi spokojnie z profesorem wszystko, co trzeba, uzgodni, a wtedy... Wtedy profesor Stawinsky swoim autorytetem zapewni, że to nie była żadna z zakaźnych chorób, tylko zwykła, spowodowana zatruciem pokarmowym, wysypka. Dopiero wówczas zaczną działać na całego. Stawinsky w Pawilonie, a on na zewnątrz. Wszystko więc układa się lepiej niż oczekiwał. A swoją drogą, kto mógł spodziewać się, że ta banda jest taka tchórzliwa. Nalał sobie wódki i wychylił z zadowoleniem. Profesor już chyba wie o decyzji Pułkownika, i powinien lada chwila się tu pojawić.

Nadchodziło południe i słońce prażyło na dworze coraz intensywniej. Tu, w domku, dzięki klimatyzacji, panował miły chłodek i Dick nie miał ochoty na żaden wysiłek. Nawet nie chciało mu się wstać, by sporządzić sobie coś do picia i bodaj najskromniejszy posiłek.

— No i jestem — zabrzmiał od progu wesoly głos. — Przyjmie pan sublokatora?

— Z przyjemnością! — wykrzyknął Dick.

Profesor Stawinsky położył sporą walizkę na podłodze obok stołu. Usiadł na stojącej pod oknem kozetce i klepnął po niej parę razy jakby sprawdzając miękkość.

— Taaak... — rzekł wreszcie. — To tutaj, na tym niewygodnym meblu, przyjdzie mi spędzić kilka nocy tylko dlatego, że pewien młody człowiek uplanował sobie coś, nie pytając

mnie o zdanie.

— Nie będzie tak źle, profesorze — Dicka nie opuszczał pogodny nastrój.

— Nie będzie... nie będzie — stary uczonec nie przestawał zrzędzić. — Ręczę, że rano będę kompletnie niewyspany i do niczego. No, ale dość biadolenia Teraz muszę cię poważnie przebadać, tylko potrzeba nam świadka...

— Cyfron! — zawołał głośno w kierunku drzwi.

Zatupotało na ganeczku i w otwartym wejściu stanął beczułkowaty kształt.

— Cyfron... słucham.

— Pozostań tam, gdzie stoisz. Może będę cię potrzebował.

— Przyjąłem... polecenie.

Teraz profesor Stawinsky zaczął się krzątać. Z przyniesionej walizki wydobył diagnostyczny zestaw medyczny i poprosiwszy Dicka o rozebranie się do połowy, rozpoczął systematyczne badanie. Celebrował swoje czynności z namaszczeniem średniowiecznego kapłana przez około czterdzieści minut mrucząc cicho do siebie. Wreszcie skończył i skinął na cyfrona.

— W porządku. Możesz odejść. Nie będziesz mi już potrzebny.

Gdy ten zniknął za zamkniętymi drzwiami, zrobił oko do Dicka i parsknął śmiechem.

— A to komedia. Chciałbym mieć twoje zdrowie, ciężko chory człowieku — rzekł do leżącego. — I na co mi przyszło?

— Nie szkodzi, profesorze. Cel uświęca środki. Teraz za to będziemy mieli mnóstwo czasu dla siebie. Nie sądzę by się nami jeszcze dzisiaj w ciągu dnia zbyt interesowali. Niech pan przyrządzi sobie coś do picia. Ja jeszcze wolę nie wstawać. To tak na wszelki wypadek — dodał usprawiedliwiająco. — A nuż jeszcze tu wpadną.

Po chwili obaj mieli w rękach szklaneczki. Profesor przysunął sobie fotelik w pobliże łóżka.

— No tak, młody człowieku — rzekł patrząc Dickowi w oczy wyczekująco. — Jak to sobie dalej wyobrażasz?

— Pomówimy o tym obszerniej, profesorze. Mamy czas — Dick pokręcił głową. — Teraz chciałbym się kilku rzeczy dowiedzieć od pana. Nie wszystko jeszcze jest dla mnie jasne.

— Co na przykład?

Dick nie odpowiedział od razu, zastanawiając się długą chwilę, ze wzrokiem utkwionym w suficie.

— Najważniejsze, profesorze — zaczął cicho — jakie badania prowadzicie wraz z innymi? Jak w związku z tymi badaniami ma plany Pułkownik?

Profesor uśmiechnął się kpiąco.

— Tylko tyle? A co ty o tym wiesz, kapitanie Rauber?

— Ja? No cóż. Odebraliście jakieś sygnały z kosmosu. Zbliży się ktoś czy coś spoza Ziemi. Pracujecie nad rozszyfrowaniem sygnałów. To wszystko, co do mnie doszło. Jak pan widzi, nie ma tego tak wiele.

— Dobrze — profesor spoważniał. — Powiem ci, chociaż przed przyjściem tutaj Forster ostrzegał mnie, aby o tym ani słowa. Ale jeżeli mamy być sprzymierzeńcami, ba współnikami, musisz wiedzieć wszystko to, co i ja wiem. Otóż, najkrócej mówiąc, odbieramy serie sygnałów z przestrzeni kosmicznej Sygnały te w żadnym wypadku nie pochodzą od ludzi.

— A od kogo?

— Ba W tym właśnie sęk. Pomimo rozszyfrowania tych kosmicznych depech, nie udało się, niestety, ustalić nadawcy.

— Nie rozumiem. Przecież treść jest chyba zrozumiała. Nie podali skąd są? Jak to możliwe?

— Zastanów się, młody człowieku. Czy sądzisz, że Oni ułożyli zgrabne depesze w którymś z ziemskich języków? Bzdura, Sygnały te to serie symboli, przekształceń matematycznych i coś w rodzaju wykresów czy planów. Trzeba przyznać, rewelacyjnych z punktu widzenia nauki ziemskiej. ! to dopiero początek Kleist jest pewien, że teraz nadejdą opisy urządzeń, o jakich ludzkości się nie śniło. Już to, co mamy jest zupełnie fantastyczne.

— Zgoda. Ale co to da Burtonowi? Na co on liczy?

— Nie rozumiesz, Dick? Jeżeli informer, bo to jest informer, przekaże całą wiedzę, ten, kto ją posiada będzie dyktował warunki światu. To potęga, młody człowieku.

— Psiakrew. Nie możemy do tego dopuścić. Trzeba im przeszkodzić za wszelką cenę. Musimy przyspieszyć akcję, profesorze. Ta cała wiedza musi, powtarzam, musi być własnością całej ludzkości, całej.

— Masz rację Dick. Przepraszam cię.

— Za co? — Dick spojrział zdziwiony.

— Inaczej cię osądzałem. Pomyliłem się Przepraszam raz jeszcze

Dzień zeszedł im na dyskusji i snuciu planów. Nikt ich już nie niepokoił Strach przed groźną zakaźną chorobą zrobił jednak swoje.

R o z d z i a ł VI KOSMICZNA ANTENA

— Profesorze. To, co się tu dzieje, nie ma absolutnie nic wspólnego z ochroną Pacyfiku. Ta Baza w ogóle nie jest włączona w system obronny państwa. Gdyby tak było, musiałbym coś o niej wiedzieć Widział pan śmigłowce? Łódź podwodną? Przecież one nie mają żadnych znaków rozpoznawczych. Jak piraci. Bo to są piraci, profesorze.

Już drugi dzień siedzieli w domku Dicka czujnie strzeżeni przez czterech strażników. Żywności dostarczał im cyfron, starannie odkażany po każdej wizycie. Jeszcze w pierwszym dniu uzgodnili z grubsza swoje dalsze postępowanie i teraz czas upływał im na niekończących się dyskusjach. Nie zgadzali się w szczegółach. Profesor Stawinsky, choć oburzony na Forstera i jego popleczników, stanowczo nie zgadzał się na rozlew krwi. Na próżno Dick, pałający żądzą odwetu za śmierć Luizy i Jacka, starał się przekonać profesora. Stary uczony nie ustępował. Swój udział w całej akcji uzależniał od zgody Raubera na ujęcie przestępców żywcem i postawienie ich przed sądem na kontynencie. Naturalnie po uprzednim zebraniu dowodów ich przestępczej działalności

Dick nie wstawał jeszcze z postania, wiedząc, że za każdym swoim tu pobytem cyfron filmuje wnętrze. Chciał i musiał uchorować za ciężko chorego dopóty, dopóki nie uzgodnią z profesorem absolutnie wszystkiego, aż do najdrobniejszych szczegółów.

— Może ma pan i rację, Dick — profesor zamyślił się — Nawet na pewno ma pan rację, ale wyrażając swoją zgodę na użycie siły, obstaję przy jednym. Winowajców należy postawić przed sądem żywych. Niech o ich winie wypowie się ława przysięgłych. Inaczej niczym byśmy się nie różnili od tych wszystkich Forsterów i Burtonów.

— A jak pan to sobie wyobraża, profesorze? Uprzejmie poprosić pułkownika Burtona, Forstera i jego ludzi, by grzecznie dali się zakuć w kajdanki i odstawić na ląd?

— Ironia nie na miejscu. Będziemy walczyć. Zgoda. Użyjemy siły. Też zgoda. Ale, mój miły, na wykonywanie wyroków to ja się nie zgodzę. Zabijać będziemy tylko w obronie własnej i w przypadku skrajnej konieczności. Lepiej zastanówmy się teraz, w jaki sposób przeciągnąć część ludzi na naszą stronę.

— Złoto.

— Co pan mówi?

— Złoto Majów.

— A prawda. Wspomniał pan coś o złocie. Nie słyszałem dobrze. Plół pan, że są tego tony. Co to za historia?

— Z tysiąca i jednej nocy, profesorze. Z nudów i trochę z wyrachowania, wałęsałem się po ruinach świątyni. Był pan tam może?

— Nie. Nie miałem czasu ani okazji. Widziałem je jedynie z powietrza. Ciekawe. Tam pan znalazł złoto?

— Powoli, profesorze. Jak powiedziałem, wałęsałem się trochę po tych ruinach. Czasu miałem sporo i nic innego do roboty. Poszczyło mi się. Przypadkiem odkryłem jaskinię świątynną, nietkniętą przez białych i nie ograbioną. Jaskinię, której dno usłane jest mumiami i złotem. Tam od wieków nikt nie był, profesorze. Tony złota.

— Taak — przeciągnął Stawinsky. — Powiada pan — dużo złota. Jakiego złota? Piasek? Samorodki?

— Skądże. Posążki, figurki, naczynia...

— Tak przypuszczałem. Na nic nam się ono przyda, Dick.

— Jak to? — Rauber był bezgranicznie zdumiony. — Jak to na nic? Przekupimy ludzi Burtona. Złoto to złoto.

— Nie, nie, kapitanie Rauber. Niech pan przez chwilę pomyśli spokojnie. Ręczę panu, że jak tylko choćby jeden człowiek w bazie dostanie do ręki taki posążek, cały tłum zacznie penetrować ruiny. Rozbiorą je kamień po kamieniu, aż znajdą.

— Racja. Nie wziąłem tego pod uwagę. Zaraz, zaraz. Może jednak? Tam było ciemno i nie sprawdzałem zbyt dokładnie. Byłem zajęty czym innym, zresztą nie o złoto mi chodzi. Gdyby dobrze poszukać, z pewnością znalazłyby się jakieś płytki, sztabki, czy ja wiem wreszcie co? W ostateczności możemy przecież przetopić taki posążek lub pokroić. To się da zrobić.

— No cóż. Chyba masz rację. Chociaż to wandalizm. Niszczyć dzieła sztuki? Trudno. W każdym razie dość wylegiwania się. Jutro zgłoszę, że twoja choroba była nieporozumieniem i wybierz się do tej jaskini.

— Profesorze — Dick już się zdecydował. — Nie wybrałby się pan tam ze mną?

— Ja? — zdumiał się Stawinsky.

— Tak. Pan.

— Po co? Posłuchaj, Rauber. Złoto jako takie mnie nie interesuje, mumie też, a za stary jestem, by, dla przyjemności towarzyszenia ci, włączyć do jakiejś dziury...

— Chwileczkę, profesorze — przerwał mu Dick. — Nie chodzi tylko o złoto. Z tym dałbym sobie radę sam, ale tam jest takie dziwne urządzenie. Teraz mi się to przypomniało. Czy to czasem nie ma jakiegoś związku z waszymi badaniami?

— Jakie urządzenie? Jaki związek? O czym pan mówi, Dick?

— Profesorze. Znalazłem tam ostrosłup z metalu. Jest ciepły i fosforyzuje. Wystaje z niego i wgłębia się w strop jaskini pręt, coś jakby antena. Może to właśnie antena? Może to ona ściąga te sławetne sygnały z kosmosu właśnie na ten krater?

— Co? — Profesor zerwał się na równe nogi. — Dopiero teraz mi to mówisz? Człowieku! Nie może, a na pewno. My wiemy, że ta antena jest. Szukamy jej od początku badań. Wielkie nieba!

— No więc widzi pan. Idziemy?

Profesor wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— A co mi pozostało? Muszę to zobaczyć na własne oczy. Jeżeli to rzeczywiście antena informera, to mamy ich w ręku. Możemy w każdej chwili przerwać dopływ informacji. To ich dezorientuje i mocno zaniepokoi, a ludzie zaniepokojeni popełniają błędy. Nie ma na co czekać. Dzwonię do Burtona.

— Chwileczkę, profesorze. Jak tylko skończy się kwarantanna, rozdziela nas i co wtedy? Z wyprawy nici...

— Spokojna głowa, Dick. Stary Stawinsky myśli. Nie rozdziela nas. Zostaw to już mnie.

Podszedł do aparatu telefonicznego i spokojnie wykręcił numer pułkownika Burtona. Uśmiechnął się do Dicka porozumiewawczo.

— Pułkownik Burton? To Stawinsky. Pragnę panu przekazać przyjemną wiadomość. To nie dzuma. Pułkownik. Kapitan Rauber jest już prawie zdrów.

— Co? A tak... Cieszę się. Nie dzuma, powiada pan — zadudnił głos Pułkownika. — Nie ma więc groźby epidemii?

— W żadnym wypadku, ale...

— Jakie ale? Co znowu profesorze?

— Pułkownik Burton. Kapitan Rauber nie chorował wprawdzie na żadną z chorób zakaźnych, lecz, jak podejrzewam, miał złośliwą gorączkę na tle zatrucia pokarmowego. Kwarantannę kończymy, ale potrzeba leczenia istnieje nadal. Rauber musi mieć teraz opiekę, odpoczywać. Trochę spacerów, dużo świeżego powietrza i, jak powiedziałem, opiekę. Jest bardzo słaby. Do opieki proszę kogoś wyznaczyć.

— Kogo, profesorze? Przecież pan doskonale wie, że lekarza na razie nie mamy. Jak się orientuję, w tej fazie badań nie jest pan niezbędny w Pawilonie. Nie pozostałby pan jeszcze przez kilka dni przy Dicku? Panu też przyda się trochę świeżego powietrza i ruchu. No jak? Zgoda?

— Nie na rękę mi to, ale cóż. Zgoda.

— No widzi pan. Tylko, profesorze, ani słowa na temat badań prowadzonych przez wasz zespół. Kapitan Rauber nie jest wtajemniczony. Ani słowa. Rozumiemy się? — głos Burtona zabrzmiał ukrytą groźbą.

— Znam swoje obowiązki, pułkownik Burton — teraz profesor mówił podniesionym tonem. — Nie prosiłem o tę opiekę. Mogę w tej chwili przenieść się do Pawilonu.

— Dobrze już dobrze, profesorze. Nie trzeba się zaraz unosić honorem Załatwione więc? Zostaje pan Proszę opiekować się Rauberem tak długo, jak długo to będzie potrzebne. Odpoczywajcie, spacerujcie. Zaraz wydam polecenie ściągnięcia posterunków ochronnych. Do widzenia.

Stawinsky odłożył słuchawkę i spojrzał triumfująco na Dicka.

— I co pan na to, młody człowieku? Umie sobie stary Stawinsky radzić z zawodowymi wojakami. Pułkownik nie tylko zezwolił, ale dał mi formalny rozkaz opieki nad panem tak długo, jak długo uznam to za stosowne. I spacer. Mamy dużo spacerować, więc kapitanie Rauber, jutro spacer do jaskini świątynnej, zgoda?

— Naturalnie — roześmiał się Dick. — Nie doceniłem pana, profesorze. Naprawdę.

— A widzisz.

I znów nad zagubionym w bezkresach Pacyfiku kraterem wstawał promienny ranek.

Skrajem gąszczy, spacerowym krokiem, zatopieni w pozornie beztroskiej rozmowie, szli dwaj mężczyźni. Obaj wysocy, barczyści i obaj w bladoniebieskich uniformach Wojsk Ochrony Pacyfiku. Profesor Stawinsky i Dick Rauber. Jeszcze wczoraj wieczorem, tuż po zdjęciu posterunków, pilnujących objętego kwarantanną domku, Dick po kryjomu przeniósł w pobliże ruin dodatkowy akwalung dla profesora. Dziś mieli w planie bardziej dokładne zbadanie jaskini z mumiami i złotem. Ale nie o złocie myśleli teraz. Wszystkie ich myśli zajęte były tajemniczym obeliskiem sterczącym pośrodku jaskini, obeliskiem, jak przypuszczał profesor, będącym anteną ściągającą sygnały z kosmosu i zbudowanym przed setkami lat nie przez ludzi, a przez tych, którzy gdzieś tam w głębinach wszechświata zaludnili myślą krocie gwiazd i planet. Z całą pewnością potężni, jeśli sięgnęli Ziemi. Z całą pewnością mądrzy,

jeżeli ich informator gotów był podzielić się wiedzą z ludźmi planety Ziemia.

I teraz wiedza ta miałaby wpaść w ręce kilku zadufanych w siebie, żądnych władzy szaleńców?

Kiedy zwarta ściana zagajnika osłoniła ich przed ewentualnymi spojrzeniami niepotrzebnych świadków, przyspieszyli kroku i wkrótce pod nogami ich zachlupotała woda kanału. Dick dźwigał podjęty po drodze pakunek z akwalungiem i butlami. Profesor szedł bez obciążenia, ciekawie rozglądając się wokoło. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i zeszli do podziemi nie spotkawszy, na szczęście, żadnego węża. Nic się tu nie zmieniło od ostatniej bytności Dicka. Po dawnemu było pusto i tylko, jak zwykle wyraźnie, dolatywały wrzaski małp harczących w porośniętych bujną tropikalną roślinnością załomach powalonych murów.

W komnacie za studnią usiedli, by wypocząć przed czekającym ich wysiłkiem, najtrudniejszą częścią wycieczki, forsowaniem głębokiej studni. Teraz dopiero Dick spostrzegł, że, zaabsorbowany dyskusją ze starym uczonym, zapomniał o zostawieniu bluzy z identyfikatorem koło jeziora. Psiakrew! Mogli ich teraz z łatwością namierzyć. Przez moment zastanawiał się, czy nie powrócić, by naprawić błąd, ale w końcu machnął ręką, nie mówiąc nic profesorowi. Ostatecznie nie muszą ich zaraz szukać, a jeżeli nawet namierzą, to będą przekonani, że Dick wyciągnął profesora Stawinskyego na wycieczkę do ruin, wiedząc jak lubi w tych stronach przebywać. Nie będą chyba mieli ochoty pchać się tu za nimi, bo i po co? Nikt im przecież nie bronił przychodzenia tu, a już z pewnością woleli, by profesor i Dick płatali się po ruinach niż w pobliżu Pawilonu Naukowców.

— No, profesorze. Szkoda czasu, złazimy w dół.

— Jak trzeba, to trzeba — stary uczony wstał i kamiennej ławy, na której spoczywał i zaczął wciągać na siebie akwalung. Szło mu to nieszczególnie. Widać było od razu, że nigdy nie miał i czymś takim do czynienia. Dick zaniepokoił się nieco.

— Nie nurkował pan nigdy, profesorze? — spytał patrząc na nieporadne wysiłki Stawinskyego.

— Nie miałem okazji — burknął ze złością profesor. — Myślisz, że nie dam rady? Że wycofam się teraz? Mylisz się, młodzieńcze. Lepiej, zamiast się gapić, pomóż mi włożyć to świństwo i objaśnij mi z łaski swojej, jak się z tym obchodzi.

Dick bez słowa zapalił swoją latarkę. W pomieszczeniu zrobiło się zupełnie jasno. Następnie położył butle wraz z reduktorem i ustnikiem na ławie.

— Niech pan patrzy, profesorze. To wcale nie takie trudne — przez dobre pół godziny starał się jak najdokładniej objaśnić profesorowi zasady działania aparatu do oddychania pod wodą. Wreszcie ten skinął głową.

— Dobrze, Dick. Więcej już i tak mnie nie nauczysz. Długo będziemy pływać?

— Skądże. Może nawet obejdziesz się bez tej konieczności. Proszę spojrzeć — zaświecił w głąb studni. — Właśnie trwa odpływ. Jeżeli zejdziemy zaraz i zabawimy w jaskini około sześciu godzin, trafimy na odpływ również podczas powrotu. A gdyby nawet nie — to i tak będziemy pod wodą nie więcej niż kilka, no powiedzmy kilkanaście minut. Do dzieła profesorze. Ja pierwszy. Jak krzyknę, zacznie pan schodzić. To jakieś piętnaście metrów. Proszę opierać się plecami i stopami o ściany. Śmiało. To wcale nie jest takie trudne.

Podszedł do otworu studziennego i raz jeszcze sprawdził wytrzymałość belki mocującej linkę. Zapaloną latarkę uwiesił sobie na piersi i zaczął schodzić. Szło mu dużo łatwiej niż za pierwszym razem, toteż po kilku minutach zawisnął obok wejścia do wąskiego chodnika. Teraz krzyknął na profesora i naprężył linkę, starając się w miarę możliwości ułatwić staremu człowiekowi schodzenie. Ten dał sobie radę nadspodziewanie dobrze i wkrótce stanął obok Dicka. Zwierciadło wody było jeszcze dwa metry poniżej. Odpływ trwał, ale Dick wiedział doskonale, że lada chwila poziom wody zacznie podnosić się i po niecałej godzinie zaleje wejście. Nie było ani chwili do stracenia.

— Idziemy, profesorze. Tylko ostrożnie. Tu są pułapki. Wprawdzie nieco już tu się

orientuję, ale diabli wiedzą, czy poznałem wszystkie. Ja idę pierwszy.

Ruszyli ciasnym korytarzykiem. Głucho dudniły kroki i chwiały się na ścianach dziwaczne cienie idących. Tarasujący wejście gładzi zastali otwarty tak, jak pozostawił go Dick za poprzedniej tu bytności. Weszli do pierwszej jaskini. Obaj świątynni strażnicy tkwili nieporuszenie na swoich miejscach, nieruchomi i obojętni. Profesor omiół światłem latarki siedzące mumie i zagwizdał cichutko przez zęby.

— Nie uprzedziłeś mnie na takie widoki młody człowieku. Jest ich tu więcej?

— We właściwej świątyni dziesiątki — odparł Dick, dając znak do dalszego marszu.

Wreszcie stanęli w głównej jaskini. Przed nimi jarzyła się lekko zwarta bryła ostrosłupa i czerniały dziesiątki mumii zastygłych w modlitewnej ekstazie. Powietrze w grocie było suche i chłodne. Aparat na przegubie ręki Raubera zaczął tykać ostrzegawczo. Profesor Stawinsky zamarł w pół kroku.

— Promieniowanie?

Dick skinął głową potakująco.

— Tak, profesorze. Zapomniałem pana uprzedzić. Tu jest szczątkowe promieniowanie i promieniuje właśnie ostrosłup. Niebezpieczeństwa nie ma, ale...

— Tak. Rozumiem. Wszystko jasne. Suche, chłodne pomieszczenie i promieniowanie. Stąd te mumie. Zwłoki nie ulegają tu rozkładowi. Te jaskinie, kapitanie, były dla Indian jaskiniami śmierci.

Ostrożnie stąpając, by nie nadepnąć na leżące z mumifikowane zwłoki i niezliczone posążki wotywno, podeszli do świecącej bryły z metalu. Liczniki zaterkotały głośniej.

— Miałeś rację, Dick. To antena promieniuje.

— Więc jednak antena?

— Na to wygląda. Bo co by to było innego? Indianie tego nie zbudowali, to jasne. Nie ta technika. Po prostu, jak przypuszczam, odkryli jaskinię z gotowym urządzeniem. Nie potrafili tego wyjaśnić, ani zrozumieć, więc... „zrobili to bogowie”. Świątynia. Bo jakże inaczej? Poświęć no mi tu.

Dick skierował światło latarki na metalowy monolit i obaj cał po cał zaczęli dokładnie sprawdzać podstawę ostrosłupa. Delikatne, jakby wytrawione w metalu, linie nie tworzyły żadnego rysunku. Rozbiegały się chaotycznie we wszystkich kierunkach, tworzyły węzły i sploty. I były ciemne. Na mlecznozielonym tle całości wydawały się prawie czarne.

Powoli obeszlili metalowy obelisk wokoło, klucząc pomiędzy skulonymi mumiami. Oczy zdążyły się już przyzwyczaić do panującego tu półmroku i mogli z powodzeniem pogasić latarki. Ciekawe miejsce. Musiały tu kiedyś odbywać się szczerze iluminowane obrzędy i misteria, bo Dick zauważył w ścianach liczne uchwyty na pochodnie. W niektórych z nich tkwiły jeszcze niedopalone resztki. Aż wierzyć się nie chciało, że wszystko to liczy sobie setki, ba, być może tysiące lat. Że ci martwi, skuleni u stóp nieznanego, byli kiedyś ludźmi. Śmiali się, płakali, cieszyli, wierzyli i wątpili.

— Rauber! — Głos profesora wyrwał go z zamyślenia. — Niech pan tu spojrzy.

Stary uczonec, pochylony nisko u podstawy ostrosłupa, przypatrywał się czemuś pilnie. Dick podszedł bliżej i skierował na to miejsce promień latarki. W jasnym świetle od gładzi metalu odcinały się wyraźnie kontury jakby klapy opatrzonej z boku w trzy niby zamki. Tak to przynajmniej wyglądało. Jedno nie ulegało wątpiwości. Kłapa prowadziła do wnętrza ostrosłupa i była na tyle duża, że, choć z trudem, jednak dałoby się tam wejść.

— Drzwi? — W głosie Dicka zadrgało zdziwienie.

— Na to wygląda — odparł z wahaniem profesor. — W każdym razie musimy sforsować to wejście. Chcę koniecznie rzucić okiem do wnętrza.

— To może być niebezpieczne — pokręcił głową Dick.

— Dlaczego?

— Słyszysz pan liczniki? Promieniowanie nie jest wprawdzie zbyt intensywne, ale nie

chciałbym przebywać tu za długo. A jeżeli źródło promieniowania jest właśnie wewnątrz i otwarcie tej kłapy...

— Czekaj, Dick. Rozumiem! Wydaje mi się jednak, że nie masz racji. Według mnie promieniuje samo tworzywo, z którego zbudowana jest antena. Wnętrze nie powinno być bardziej napromieniowane niż całość. Zresztą zachowamy maksimum ostrożności. Uchylimy tylko klapę. Jeżeli promieniowanie wzrośnie, natychmiast ją zatrzaśniemy. Nie powinno to być znów tak bardzo niebezpieczne.

— Bo ja wiem? Spróbować ostatecznie możemy, tylko czy zdołamy to otworzyć?

— Mam wrażenie że tak. Zamknięcie nie wygląda na zbyt skomplikowane.

— Ejże, profesorze. Gdyby tak było w istocie, to ci czerwonoskórzy dżentelmeni już dawno by się do tego dobrali. To, jak wiem, był bardzo ciekawski ludek. I niegłupi...

— Myślisz? — profesor zmarszczył brwi. — Może zresztą i wleźli do środka. Nic na to nie poradzimy. Zobaczmy. Potrzymaj światło.

Dick ujął obie latarki ześrodkowując ich strumienie na obrysie drzwi. Profesor Stawinsky pochylił się nad zamkami. Powoli wodził palcami po regularnych wypukłościach tu i ówdzie próbując naciskać. Niestety. Kłapa czy nie kłapa ani drgnęła.

— Cholera! Żadnych uczciwych zatrzaśków czy zasuwek tu nie widzę. Na jakiej zasadzie to diabelstwo działa? Czekaj... Zdaje się, że znalazłem.

Jedna z wypukłości poddała się naciskowi palca i zapadła w głąb jednolitej, zdawałoby się, bryły. Drzwi powoli, bez szmeru, uchyliły się na całą szerokość, ukazując ciemne wnętrze. Odskoczyli obaj odruchowo, wsłuchując się w terkot licznika. Nie. Ten nie sygnalizował wzrostu promieniowania.

— Włazimy? — spytał Dick, spoglądając na zegarek. — Mamy jeszcze cztery godziny do ponownego odpływu. Powinniśmy z powodzeniem zdążyć.

— Powoli, Dick. Ostrożnie. To nie twój pokój. Zaświeć tam.

Ale światło nie było specjalnie potrzebne. Wewnątrz obelisku nie było ciemno. Panował miły, kojący półmrok jak podczas pełni księżyca. Wnętrze nie było zbyt obszerne, a jednak wydawało się zaskakująco duże w porównaniu z trzonem całej bryły widzianej z zewnątrz. Pośrodku widniał otwór prowadzący gdzieś w głąb. Poświecił latarką. Gołe, gładkie ściany. Żadnych stopni, drabinki, nic. Wyglądało to na studnię, ale studnią chyba nie było. Ba. Na obszernym, szerszym od górnego otworu dnie widniały jakieś urządzenia. Z lewej strony dostrzegł cień jakby przejścia do dalszych kondygnacji.

— Pocięta ta skała jak plaster miodu — mruknął z humorem. — Kto i kiedy to wszystko drażył? Na formacje naturalne to nie wygląda. Wszystko tu gładkie, doskonale wypolerowane, bez występow, guzów zacieków.

Profesor wodzący światłem latarki po ścianach pomieszczeń, był tym wszystkim mocno zaintrygowany.

— Ciekawe... ciekawe... — mruczał do siebie. Indiańskie to na pewno nie jest. A pan co tam wypatruje, Dick? — zwrócił się do Raubera, podnosząc głos.

— Tu jest jakaś piwniczka. Niech pan spojrzy, profesorze.

— Gdzie? Aha. Rzeczywiście. Oby tylko dobrze zaopatrzona.

— Jak to?

— A tak. Czy sądzi pan, młody człowieku, że kosmici nie piją nigdy wina?

— Kosmici?

— Co pan tak powtarza jak papuga? — zdenerwował się Stawinsky. — A kto to wszystko wybudował? Indianie? Ich Wirakocza?

— Wi... O! Przepraszam profesorze. Naturalnie. To na pewno nie ten indiański bożek. To budowali ludzie, a raczej istoty o lepszej technice niż nasza.

— No nareszcie coś rozsądnego. To jak? Włazimy tam na dół?

— Profesorze. Chodźmy stąd. Tu jednak jest promieniowanie. Szczątkowe, ale jest.

— Chwileczkę. Jeszcze moment. Czegoś mi tu brak.

— Czego?

— Widzisz. Tu muszą być gdzieś jakieś urządzenia sterujące tym całym kramem, bo w przeciwnym wypadku wszystko to nie miałoby najmniejszego sensu. Więc są na pewno, tylko pytanie: gdzie?

— Dobrze ukryte i zabezpieczone.

— Co... Tak. Masz rację. Zabezpieczone na wypadek, gdyby nasi czerwonoskórzy znajomi tu jednak wleźli. Szukamy?

— Nie, profesorze. Tym razem zdecydowanie nie. Już i tak o wiele za długo tu sterczymy.

— Promieniowanie?

— To też, ale nie tylko. Mogą nas szukać. Pułkownik to podejrzliwy facet.

— Mamy przecież jego błogosławieństwo.

— To nic nie znaczy. Proszę mi wierzyć, profesorze. Znam Burtona od lat.

— No tak... hmm... Szkoda, ale mówi się trudno. Idziemy.

Wyszli z obelisku zamykając za sobą starannie klapę wejściową. Nie było to wprawdzie konieczne, skoro przez setki lat nikt tu nie wtargnął. Chcieli jednak pozostawić wszystko w takim stanie, w jakim zastali. Nigdy nie wiadomo, czy na pracę tego urządzenia ma jakiś wpływ otwarcie lub zamknięcie klapy. Woleli przesadzić w ostrożności. Obaj zdawali sobie sprawę, że powrócą tu wkrótce, nie przeczuwali jedynie w jak dramatycznych okolicznościach. Teraz Dick zawahał się. Pokazać staremu uczonemu wyjście na zewnątrz, czy też nie?

— Dlaczego się zatrzymałeś? Idziemy? Szkoda czasu.

— Chwileczkę, profesorze. Jest tu jeszcze coś, co warto zobaczyć. To nie zajmie nam wiele czasu.

— Tak? Co to jest? Gdzie?

Rauber bez słowa skierował się ku tunelowi i po kilku minutach stali już na tarasie po zewnętrznej stronie masywu krateru. Profesor zagwizdał cichutko.

— A to ci dopiero. Czy wiesz co to znaczy? Fantastyczne. Nie znane nikomu wyjście. Możemy w każdej chwili opuścić to towarzystwo. To odkrycie to duża rzecz, Dick. Naprawdę. Zobaczysz, że się przyda. Przecież oni sądzą, że nawet mysz nie może im się wysliznąć. To... to...

— Spokojnie, profesorze. Fakt, że możemy w każdej chwili, i nie pytając nikogo o zezwolenie, opuścić krater, ale co dalej? Przepłyniemy ocean? Tak dobrze to ja nie pływam.

— Nie o to chodzi. Czy tego nie rozumiesz? — profesor pokręcił głową. — Pomyśl. Gdyby Burton coś podejrzewał? Sądzi on, że wystarczy mu obstarwić Przystań, Ładowisko, Stare Przejście i już nas ma. Będzie szukał w ruinach, wszędzie, tylko nie na zewnątrz. A gdyby nawet to co? Żeby przeszukać wyspę, trzeba wiele czasu i ludzi. Psów tu na szczęście nie mają.

— Cyfron.

— Co cyfron?

— Cyfron pójdzie za śladem. Ma wbudowany zmysł węchu lepszy niż niejeden kundel.

— O, do licha! Nie wiedziałem o tym. Czekaj no, Dick. To znaczy, że mogą nas wysłedzić w ruinach i trafić nawet tutaj?

— Nie, profesorze. Nie jest tak źle. Do kryjóWKi szliśmy kanałem. Wodą. Studnia też jest okresowo zalewana. Nie. Tu nie trafi żaden cyfron. Jedynie przypadek może im pomóc tak jak mnie, i to tylko musimy brać pod uwagę. A teraz już naprawdę idziemy. Nie jest pan zmęczony?

— Trochę. To nieistotne. Naodpoczywałem się dosyć. Praca, jaką narzucił nam Burton, wymagała siedzenia. Ślęczenia nad wykresami, aparaturą...

— Dobra. Wracamy, profesorze. A swoją drogą coś mi się w tym wszystkim nie podoba

Co oni konkretnie chcą zyskać? Czy te cholerne sygnały mają aż taką wielką wartość?

— Mają. Pewnie że mają. To jest przecież informer.

— Informer?

— A tak. Nie słyszałeś nigdy o niczym podobnym. Jak by ci to wytłumaczyć? Dlaczego wy, zawodowi wojskowi, tak niewiele zajmujecie się nauką? Choćby tylko popularnymi opracowaniami. Nie wiecie dosłownie nic.

— Bez przesady.

— Dobra. Nie obrażaj się, bo nie ma o co. Informer to takie urządzenie. Bomba załadowana informacją. Od dawna podejrzewamy, że wysoko rozwinięte cywilizacje naszej Galaktyki wymieniają doświadczenia właśnie tą drogą. Wysoko wyspecjalizowany automat, zawierający skondensowaną wiedzę danej cywilizacji, kierowany jest ku adresatowi czy adresatom w tej kosmicznej korespondencji. Po dotarciu do celu informer wyładowuje się przekazując zawartą w swojej pamięci wiedzę i odlatuje.

— Odlatuje?

— Tak. Odlatuje. To jest zbyt kosztowne i skomplikowane urządzenie, by mogło służyć tylko jednorazowo. Rozumiesz?

— Skąd wy, uczeni, tak dobrze to wszystko wiecie? Święty Mikołaj wam to zdradził?

— W tym sęk, przyjacielu, że nie wiemy. Przypuszczamy jedynie. Dlatego obecny przypadek to naukowa rewelacja. Zbrodnią więc jest utrzymywanie go w tajemnicy przed światem.

— Nie odpowiedział pan na moje pierwsze pytanie.

— Jakie pytanie?

— Co oni chcą na tym zyskać?

— Kto?

— Burton i jego klika.

— Ba! Jeżeli jest tak jak sądzimy, to zawarta w przybyszu informacja zrewolucjonizuje naszą naukę. Wiedza zawarta w informerze, odpowiednio użyta, może dać władzę pewnej grupie ludzi. Tak przynajmniej sądzi Burton i jego klika. Mam jednak wrażenie, że mylą się. I to gruntownie.

— Dlaczego?

— Młody człowieku. Informer skierowano tu nieprzypadkowo. On jest adresowany właśnie do nas. Dowodem tego jest urządzenie, które przed chwilą oglądaliśmy.

— Antena.

— Tak. Antena!

Dick zastanawiał się nad wywodami starego uczonego.

— Cholera. Musimy im przeszkodzić. I to szybko.

— Tak. Ale teraz to już naprawdę musimy wracać.

Ruszyli znaną im już drogą.

Prowadził, i to w ostrym tempie, Dick. Nie zatrzymując się przemknęli przez obie jaskinne świątynie i po kilkudziesięciu minutach wypłynęli ze studni w ciemnej komnacie zrujnowanego kompleksu. Nic się tu nie zmieniło. Reszta była już fraszką. Krótki spacer przez tropikalny gąszcz i spacerowym krokiem, dyskutując zawzięcie wyszli na trawnik okalający domek Raubera. Każdy z postronnych, a wielce niepożądanych obserwatorów, odniósłby niechybnie wrażenie, że widzi dwóch zajętych wyłącznie interesującą rozmową ludzi, beztroskich i swobodnych, nie mających szczególnych problemów ani niczego do ukrycia. A o to im przecież chodziło.

Cyfron tkwił na zwykłym miejscu nieporuszony i obojętny, z wygaszonym światelkiem aktywności. Wszystko wskazywało na to, że, jak dotąd nikt się nimi specjalnie nie interesuje, a ich wycieczka nie zwróciła niczyjej uwagi. Naturalnie wiedzieli obaj doskonale, że robot rejestruje absolutnie wszystko z czymkolwiek się zetknie nawet przy wygaszonej aktywności.

Światelko płonąc; na czole cyfrona świadczyło jedynie o gotowości do usług. To cybernetyczne monstrum było wielce skomplikowanym i pełnym niespodzianek wieloczynnościowym układem. Nawet jako bezdusznego i w pewnym sensie bezwolnego urządzenia nie należało go lekceważyć w żadnym wypadku i Dick doskonale o tym wiedział. Miewał w swoim bogatym życiu niejednokrotnie do czynienia z tego typu robotami i to, że jeszcze żyje, zawdzięcza właśnie nieufności i ostrożności w kontaktach z automatami. Zresztą ufał tylko i wyłącznie sobie.

Weszli na stopnie werandy i wtedy cyfron zareagował. Na jego czole rozjarzyło się światelko aktywności i rozległ się charakterystyczny, skrzekliwy głos.

— Zawsze... do... usług... Co... mam... robić?

— Siedzieć cicho — rzucił ze złością Dick. — Był tu kto?

Różni... ludzie... tu... bywają. Mam... bronić... wstępu?

— Nie. Tego nie powiedziałem. — Dick był nieco speszony. — Kto więc tu był?

— Wymieniam... w hierarchii... ważności... Kapitan... Forster... porucznik... Smith... sierżant Wilson.

— Ho... ho... Całe tłumy — zauważył sarkastycznie profesor Stawinsky. — Ma pan powodzenie jak panna na wydaniu.

Dick machnął ręką lekceważąco.

— Pewnie interesują się stanem zdrowia rekonwalescenta. Dobrzy kompani — mruknął ironicznie Rauber.

Profesor Stawinsky, odwróciwszy się bokiem do cyfrona, zrobił do Dicka wielce znaczące oko. Dick roześmiał się szczerze. Jednak młody jest ten stary uczoney. Że też dotychczas nie dostrzegł takich ludzi. A przecież stykał się z nimi często. Dlaczego zawsze sądził, że są to tylko chodzące... Wyobraźnia podsunęła mu postacie siedzących w modlitewnej ekstazie mumii. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Uważał ich wszystkich, w większości wypadków, zarozumiałych i nadętych, za nie wiadomo dlaczego żyjące jeszcze mumie. Dopiero profesor Stawinsky sprawił, że zmienił zdanie. Obecność tego nieprzeciętnego naukowca zrobiła na nim wrażenie, a jego sposób bycia wprost go zachwyił. Cholera. Trochę za późno dostrzegł innych wartościowych ludzi. Naturalnie z wyjątkiem Luizy i Jacka. Stop. Zaciśnął zęby, a uśmiech spęłzył mu z warg. Zmęczyła go chyba ta dzisiejsza przechadzka.

— Napije się pan czegoś, profesorze?

W tym momencie cyfron znów błysnął światelkiem i oznajmił.

— Na... kapitana... Raubera... czeka... Pułkownik... Natychmiast.

— Co?

Profesor spojrział na Dicka znacząco. Ten patrzył jednak gdzieś w okno i uśmiechał się dziwnym uśmiechem.

— Zbyt troszczą się tu o mnie. Wiele zawdzięczam Pułkownikowi, a on nigdy nie zapomina o tych, którzy są mu wierni — skrzywił się sarkastycznie.

— Pułkownik... czeka... — nie ustępował cyfron.

— Słusznie. Zaraz wracam, profesorze.

Pułkownik Burton był czymś najwyraźniej podekscytowany, ale i jednocześnie jakby zaniepokojony. Na widok Dicka nawet się nie uśmiechnął.

— Siadaj — rozkazał szorstko. — Siadaj. Jesteś przecież rekonwalescentem.

— Czuję się doskonale, Pułkowniku. To była przejściowa niedyspozycja — spokojnie rzekł Dick.

— Siadaj, powiadam. Mam kilka spraw do ciebie. Taaak. No cóż? Na początek dobra nowina. Wyjeżdżam na jakiś czas na kontynent i zabieram paru swoich ludzi. Tu pozostanie normalna załoga.

— A teraz jest nienormalna?

Pułkownik spojrział na niego podejrzliwie. Dick jednak siedział nieporuszony, poważny.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic. Wydaje mi się, że baza pracuje w trochę nietypowy sposób, a i ludzi tu skąpo. Rozrywek żadnych. Stosunki między kadłą też trochę dziwne.

— Ach. O to ci chodzi. No tak. Widzisz. To baza o specjalnym profilu. Przynajmniej do tej pory. Ludzie dobrani pod pewnym kątem. Jak ci już mówiłem, prowadziliśmy tu prace badawcze o szczególnym znaczeniu. To dlatego.

— To jest ta dobra nowina, Pułkowniku?

— Hm. No nie... — Pułkownik jakby nieco się zmieszał, co nie uszło uwagi Dicka. — Mam do ciebie zaufanie. Znam cię dobrze. Zostaniesz tu. Mianuję cię na czas mojej nieobecności dowódcą bazy.

— Dowódcą bazy? — Dick zeszywniał. Co znów knuje stary lis? Bo że za tym musi się kryć coś niedobrego, był absolutnie przekonany. Nie dał jednak po sobie poznać zaskoczenia.

— Jak pan rozkaże, Pułkowniku — powiedział spokojnie patrząc zwierzchnikowi w oczy. — Jeżeli jednak mogę spytać...

— Co znowu?

— Kto jedzie?

— Zostawiam prawie całą załogę, naturalnie bez pilotów, bo oba śmigłowce zabieram. Ze mną lecą profesor Kleist, kapitan Forster i starszy sierżant Grimm.

— Kiedy?

— Jeszcze kilka dni. Dam ci naturalnie znać. To tyle.

— Odmeldowuję się.

Wyszedł, zamykając starannie za sobą drzwi. Więc to tak. Wobec tego pozostaje niewiele czasu na realizację tego planu. Trzeba działać natychmiast. W jakim stopniu może liczyć na sierżanta Wilsona i tych kilku przyjaznych mu żołnierzy? Czyżby Burton i Forster mieli mu się wymknąć w ostatniej chwili? Bo w powrót Pułkownika nie wierzył. Dlaczego zostawia naukowców, prócz Kleista? Starszy sierżant Grimm? Aha. To ten z Pawilonu Naukowców. Tępe narzędzie. Dobrze. A reszta?

R o z d z i a ł VII

AKCJA

Sierżant Wilson siedział zamyślony. Jednak przyznać trzeba, że nie widać było po nim szczególnego niepokoju. Albo stary żołnierz, co to z niejednego pieca chleb jadł, umiał tak panować nad sobą, albo po prostu uważał, że nie ma powodu do niepokoju. Spokojnie wysłuchał Raubera, nie przerywając mu ani słowem. Rzucił tylko ukradkowe spojrzenia na spacerującego nerwowo profesora.

Zza okna dochodziły szmery powodowane przez buszującego w zaroślach cyfrona. Wysłał go Dick z poleceniem polowania na węże. Zbliżał się ostateczny termin rozgrywki i Rauber wolał przesadzić w ostrożności. Tym razem piekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. Pozbywał się ewentualnego niebezpieczeństwa, grożącego stale ze strony licznych gadów oraz trzymał z daleka od rozmawiających czułe mikrofony robota. To, że nie zainstalowano tu żadnych innych, sprawdził dokładnie. Był przecież fachowcem. Zresztą Burton doskonale o tym wiedział i może właśnie dlatego domek wolny był od mechaniczno-akustycznych urządzeń szpiegowskich. Wyjąwszy beczułkowaty automat, a tego zatrudnił na dłuższy czas.

Profesor Stawinsky przerwał spacer i usiadł naprzeciw podoficera.

— No i jak, sierżancie? Z nami czy przeciw nam?

Wilson drgnął lekko i spojrzał staremu uczoneму w oczy.

— Pan przecież wie, profesorze. Rozmawiałem o tych sprawach z kapitanem Rauberem i chyba określiłem swoje stanowisko wystarczająco jasno.

— Słusznie — przerwał mu Dick. — Nie o to teraz chodzi. Czy nie rozumiecie, że musimy się spieszyć? Burton lada chwila może zwiąć na kontynent.

Sierżant Wilson uśmiechnął się szeroko i pokręcił przecząco głową.

— Nie jest tak źle. Jeden śmigłowiec jest niesprawny i nie mogą odnaleźć usterki. Rozbierają go do podszewki. Piloci dostali rozkaz przygotowania maszyny na sobotę. Dziś jest niedziela. Mamy tydzień czasu.

— Tydzień... tydzień — profesor Stawinsky nie był przekonany. — Tu i miesiąc byłoby za mało. Przecież nie możemy pójść ot, tak sobie i oświadczyć: „Nie puścimy was, aresztujemy pana, pułkownika Burton”.

Wilson spoważniał i spojrzał pytająco na Dicka.

— Sprawa z pewnością nie będzie łatwa — powiedział ten zamyślony. — Wiem o tym, profesorze. Nie mamy w zasadzie żadnego sprecyzowanego planu działania. Dlatego powtarzam. Taki plan trzeba opracować i to jak najszybciej.

— Na ilu ludzi możemy liczyć, Wilson?

— Na sześciu na pewno. Z pozostałymi nie rozmawiałem jeszcze konkretnie, ale narzekają wszyscy nasi z wartowniczego.

— Z jakimi chce pan jeszcze rozmawiać?

— Wartownicy chyba pójdą za nami. Lubią pana i szanują. Chcę porozmawiać z radarzystami, pilotami, administracją...

— Nie wiem, czy to bezpieczne. Nie, sierżancie, lepiej pozostaniemy jedynie przy wartownikach. Co do innych, to warto byłoby tylko dowiedzieć się czy nie woleliby w każdym wypadku zachować się neutralnie. A nasi? Wszyscy pewni?

— Jak powiedziałem. Ta szóstka. Ręczę za nich głową.

— Dobrze, dobrze. Nie szafujcie tak zbytwno własną głową. Przyda się jeszcze i wam, i nam. Teraz pytanie. Można zgromadzić ich w jakimś ukrytym miejscu i omówić sprawę?

— Nawet trzeba, ale — sierżant zawahał się. — To trochę ryzykowne. Pułkownik nie ufa nam od dawna. Forster nie spuszcza z nas oka.

— Poradzimy sobie jakoś — roześmiał się profesor. Kapitan zna miejsce, gdzie nie wyśledzi nas ani Forster, ani Burton.

Podoficer spojrzał pytająco na oficera, ale ten zamachał rękami i popatrzył na uczonego z dezaprobatą.

— Nie czas jeszcze o tym mówić. Jeszcze jedno pytanie, sierżancie. Tym razem osobiste. Jak u was sprawy majątkowe?

— Sprawy majątkowe?

— No tak. Przypuśćmy, że musiałby pan zrezygnować z munduru — co wtedy?

Sierżant wzruszył ramionami.

— Śmierć, kapitanie. Tyle lat. Nie potrafię już bez wojska. Ale dlaczego?...

— Różnie mogą potoczyć się sprawy. To, co chcemy tu zrobić, to nie gra w bierki i nie każdemu może się podobać...

— Wiem — Wilson spochmurniał i twarz zrobiła mu się jakaś taka wilcza. — Wiem, kapitanie — powtórzył. — Ale zrobić to musimy. Gdyby nie pan, próbowałbym sam. Jestem uczciwym człowiekiem.

— Nie wątpię — odparł Dick, uśmiechając się smutno. — Ale wracam do mojego pytania. Ma pan coś odłożone na czarną godzinę?

— Tyle co na grzbiecie, kapitanie.

— Tak sądziłem. A inni?

— To młodzi chłopcy. Nie sądzę, by byli milionerami. Milionerzy raczej nie służą w wojsku w stopniu szeregowców. O co panu chodzi, kapitanie?

— Sprawa jest delikatna, Wilson. Tu jest złoto. Dużo złota.
— Złoto?
— Tak. Złoto. I gdyby taki brzęczący argument mógł pomóc nam skaptować sprzymierzeńców, na kogo moglibyśmy liczyć?
— Nie wiem — sierżant rozłożył bezradnie ręce. — Niby znam tu ludzi, ale...
— Właśnie — przerwał mu profesor. — Nie wiemy nic. — Ilu tu w ogóle jest ludzi?
— W bazie?
— W bazie, w bazie — zirytował się profesor. — Przecież nie na Księżycu.
Sierżant popatrzył na profesora zdziwiony.
— Sześciu oficerów, naturalnie razem z kapitanem Rauberem oraz siedemdziesięciu dwóch podoficerów i szeregowych.
— Nas trzech i sześciu pańskich ludzi. Dziewięciu na sześćdziesięciu kilku. Na co my się porywamy, panowie? Na co my liczymy!?! — krzyknął profesor Stawinsky.
— Ciszej — warknął ostro Dick. — Przepraszam, profesorze — zreflektował się. — Niech pan jednak mówi ciszej. Nie muszą nas słyszeć w całym kraterze. Więc, panowie... zdaję sobie sprawę z faktu, że sytuacja nie jest wesoła. Zrobiłem bardzo źle informując was o moich planach. Trzeba było działać samemu i po swojemu...
— Bzdury, bzdury pan opowiada, Dick. — obruszył się profesor. — Nie mam wcale zamiaru się wycofać z tego interesu, ale niech nam pan na Boga wytłumaczy, co mamy robić...
— To jest tak — Dick już się zdecydował. — Wpierw, profesorze, musimy wytłumaczyć Wilsonowi sytuację. Przecież na dobrą sprawę nie wie on o niczym — zwrócił się do siedzącego spokojnie podoficera. — Chcemy unieszkodliwić pułkownika Burtona, Forstera i Kleista.
— Wiem — flegmatycznie stwierdził sierżant
— Tak? A wie pan o sygnałach z kosmosu?
— Wiem.
— I o obłądnych planach Pułkownika?
— Wiem.
Rauber był coraz bardziej zdziwiony, a stary uczony zatrzymał się w pół kroku i patrzył na podoficera jak na osobliwe, choć sympatyczne, zwierzę.
— A o antenie wiecie? — wtrącił się uprzedzająco Dick.
— Nie. To znaczy wiem, że taka istnieje. Mówił mi o niej profesor Mrówczenko. Nikt nie wie gdzie. Szukają jej...
— Nieprawda. My wiemy. — roześmiał się triumfująco stary uczony.
Sierżanta opuścił nagie olimpijski spokój. Zerwał się na równe nogi i złapał profesora za rękę.
— Naprawdę?! — wykrzyknął, podniecony tak głośno, że Rauber spojrzął z obawą na otwarte okno. Na całe szczęście cyfron przetrząsał krzewy na skraju lasu dobre kilkadziesiąt metrów od nich. Uspokojony popatrzył na sierżanta i skinął potakująco głową.
— Naprawdę.
— To ją wyłączcie. Natychmiast. — Sierżant nadal nie zniżał głosu. — Natychmiast.
— Po co? — spytał Dick równie podniesionym głosem.
— Kapitanie. Oni jeszcze odbierają ostatnie serie sygnałów. Emisje codziennie o dwudziestej czwartej. Brak audycji lub zakłócenia zaniepokoją ich i zmuszą do czekania. Zyskamy na czasie. Profesorze. Pan mnie rozumie? Wyłączcie antenę.
— To nie takie proste — Stawinsky pokręcił głową.
— Chwileczkę — Dick podszedł do profesora. — Co wy osobiście macie do Burtona?
Sierżant Wilson otarł spotniałe czoło i usiadł na poprzednim miejscu.
— Porucznik Road był moim przyrodnim bratem — rzekł cicho, nie patrząc na nikogo.

— To ja namówiłem go do włożenia munduru.

— Rozumiem — rzekł Dick i usiadł również.

— Znałem dobrze porucznika Roada i lubiłem go. To był porządny facet. No cóż, nie wskrzesimy go, sierżancie. Możemy go tylko pomścić i zrobimy to na pewno. A co do anteny... Co pan myśli, profesorze?

Stary uczony rozłożył ramiona.

— Nie wiem... Po prostu nie wiem, czy coś da się zrobić. Jak to sobie wyobrażacie? Wyłączyć antenę. Wysadzić w powietrze? Nie. Mowy nie ma. Nikt nam nie dał prawa do tego. Znow na dokładne zbadanie jej nie mamy czasu. Zresztą na to potrzeba by całego zespołu specjalistów i miesięcy. Nie. To niepoważne.

— Więc co robimy? — sierżant spojrzął na uczonego i oficera.

— Spokojnie — głos Dicka stwardniał. — Nie mamy innego wyjścia tylko zaryzykować. Do soboty jeszcze sześć dni. Pomówi pan, sierżancie, z tymi sześcioma. Nie musi ich pan zresztą wtajemniczać w szczegóły. Wystarczy, by zadeklarowali po czyjej są stronie. Z nich wystawi pan posterunki przy lądowisku śmigłowców. Tamtych będzie czterech i dwóch pilotów, to sześciu. Śmigłowiec może wziąć na pokład szesnastu ludzi. Sześciu i nas ośmiu. Zmieścimy się.

— O czym pan mówi? Co pan chce zrobić, Dick? — zaniepokoił się poważnie uczony.

— Zaryzykować. Sterroryzujemy bronią naszych przełożonych i odlecimy wszyscy.

— To szaleństwo.

— Widzi pan inne wyjście, profesorze? — spytał Dick zimno. — Bo ja nie. Zresztą ryzyko nie jest aż tak wielkie. Po pierwsze, nie spodziewają się niczego, po drugie, prawdopodobnie nie będą odprowadzać ich tłumy. Będzie ich sześciu, a nas ośmiu. Co to za ludzie, Wilson?

— Tych, którzy lecą nie znam zbyt dobrze, ale nie sądzę, by mieli ochotę umierać za Pułkownika czy Forstera.

— A Grimm?

— O, to zupełnie inna sprawa. To pies Pułkownika. Niebezpieczny. Potrafi ukąsić śmiertelnie. Jest piekielnie sprawny.

— Zaraz, zaraz. Grimm... Grimm. Tak. Znam tego faceta. Że też nie skojarzyłem od razu. To przecież Bernard Grimm. Killer. Zawodowy zabójca. Pamiętacie, panowie, sprawę senatora Nocholsa? — Dick spojrzął pytająco. — Głośna sprawa. Do cholery. To tu przyczaił się Grimm Nic to. Biorę go na siebie. Dawno już chciałem spotkać się z tym panem. Dobry Grimm, dobry i Rauber...

— Wolnego, kapitanie — profesor wstał ze zdziwieniem. — Wolnego. Ma pan niemieckie nazwisko, a mówi pan jak polski szlachcic. To zresztą wasi sąsiedzi, przyjął pan ich przywary.

— Dość. — Rauber wstał. — Z historii nie jestem mocny, za to działać potrafię. Grimm, nie Grimm. Porywamy Pułkownika.

— Porywamy?

— Tak! Porywamy. Dostawimy go do sztabu wraz z dowodami winy. Włos mu z głowy nie spadnie i... na Boga. Co się ze mną stało? Sam Burton śmiały się w kułak. Dick Rauber zostawia swoje porachunki innym. Jeszcze trochę, a wstąpię do Armii Zbawienia.

— Ręka, kapitanie — profesor uśmiechnął się raczej niewesoło. — Jednak przekonałem pana. Jeżeli tak pan podchodzi do sprawy, to może w każdym wypadku liczyć na innie. Będę ci mówił po imieniu. Zgoda Dick?

— Drobiazg, profesorze. Cała przyjemność po mojej stronie. Do rzeczy panowie. Sierżancie. Wytłumaczy pan z grubsza ludziom zadanie. Szczegóły jeszcze omówimy. Jednym zdaniem — zastawiamy Pułkownika i całą resztę dezintegratorem, i do maszyn. Strzelamy tylko w ostateczności. Za cztery godziny będziemy nad kontynentem.

— I co? — Stawinsky pokręcił głową. — I co, Dick? Wejdiesz do generała i powiesz: przyprowaǳiłem panu swojego przełożonego. To groźny przestępca.

— Przecież będą mieli przy sobie taśmy, szyfry, i co tam jeszcze?...

— To na nic. Przede wszystkim będziemy kładli nacisk na porwanie naukowców światowej sławy, więzienie ich. Niech się tłumaczą, po co im to było potrzebne. Będą kręcili, a wtedy taśmy i szyfry jak mówisz. Uwierzą. Muszą uwierzyć! Pokażemy im i Grimma, poprosimy o wytłumaczenie śmierci Mrówczenki i innych.

— Słusznie, profesorze. Co pan na to, Wilson?

— Mnie tam wszystko jedno, byle stanęli przed sądem, byle wyrwać się z tego przeklętego krateru.

— No to omówiliśmy najważniejsze. Rozchodzimy się teraz. Wilson do ludzi, profesor do naukowców, a ja powęszę trochę...

Tydzień Chociaż nie cały, to jednak dużo. Sześć dni i sześć nocy. Sto czterdzieści cztery godziny. Sto czterdzieści cztery godziny nerwów. Tyle przemyśleń, pięknie wydumanych planów, a działać trzeba inaczej. Po prostu dezintegrator i... ręce do góry. Sto czterdzieści cztery godziny. Dużo i mało. Czy Burton da się zaskoczyć? Znał Pułkownika i wcale nie zamierzał go lekceważyć. Kleist też na głupiego nie wygląda. Planują przechwycenie władzy. Czy ich obłądne plany mają jakąkolwiek szansę realizacji? Historia zna przecież przykłady równie szalonych planów. Hitler, Mussolini... Wiadomo jak to się skończyło. Na co liczą?

Dość! Na co liczą to ich sprawa, ale jest jeszcze on, Dick Rauber i, do diabła, muszą unieść ręce do góry kiedy krzyknie. Jeśli trzeba będzie strzelić, strzeli. Profesor Stawinsky ze swoim humanitaryzmem... No cóż? Luiza i Jack będą pomszczeni. Czy trybunał, który ewentualnie sǳić będzie Pułkownika, potraktuje sprawę z powagą, na jaką ona zasługuje? Czy jednak nie lepiej załatwi to promień dezintegratora?

Sto czterdzieści cztery godziny. Wilson omówi rzecz z tymi czterema. Śmigłowce będą gotowe na czas. A co z piracką łodzią podwodną? Nie zetknął się dotychczas z żadnym z członków jej załogi. Bał Nie zna nawet nazwiska ani stopnia jej dowódcy. Czy Wilson, podając liczebność załogi bazy uwzględniał i ich? Gdzie teraz jest ta łódź? Trzeba to sprawdzić. Natychmiast.

Elektroniczny bęcwał ruszył jak zwykle, zapalając światełko aktywności, i dopiero warknięcie Dicka pozostawiło go na miejscu. Rauber tym razem trzymał się utartych ścieżek. Kapiąca wodą grota i wartownik.

— Co słychać?

— Melduję, że nic nowego.

— Łódź?

— W rejsie. Kapitan Forster sprawdzał posterunki.

— Doskonale. Więc łodzi nie ma. W rejsie...

— Tak jest.

Nie miał tu już nic do roboty. Nie odpowiadając na ukłon strażnika, odwrócił się i umyślnie wolnym krokiem poszedł ku wyjściu z groty. Łódź w rejsie. Pewnie Burton odesłał ją na kontynent, chcąc odciąć pozostających na wyspie. Nonsens. Przecież w każdej chwili drogą radiową mogą poprosić o pomoc Sztab na lądzie. Więc co? Trzeba będzie naradzić się ze Stawinskyem.

A teraz pod Pawilon Naukowców zobaczyć, co się tam dzieje. Spojrzał na zegarek. Do licha! Stracił już sporo czasu. Czas! Zatrzymał się nagle, tknięty nagłą myślą. No tak. Klepnął się otwartą dłonią w czoło. Czas. Właśnie czas. Staremu lisowi chodzi tylko o czas. Prawdopodobnie wysłał łódź z jakąkolwiek misją gdzieś daleko, oba śmigłowce zabiera, a nam, pozostającym w kraterze, poleci zachowanie ciszy radiowej aż do swojego powrotu, powiedz-

my — dziesięć dni. Sądzi, że dopiero po upływie tego terminu zaczniemy się denerwować, odczekamy jeszcze cztery, pięć dni, zanim zaalarmujemy Sztab. To mu wystarczy, by zaszyć się wraz ze swoimi towarzyszami w jakiejś dziurze i zacząć działać. Szukaj wtedy wiatru w polu. Sprytnie. Jednak nie wszystko przewidział stary intrygant. Nie wziął pod uwagę takiej drobnostki jak Dick Rauber.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku Pawilonu. Nie było tu widać żadnego ruchu ani ożywienia wskazującego na bliski wyjazd. Po okraglaku kręciło się kilku ludzi z naszywkami szeregowców. Spojrzenie w korytarzyk upewniło go, że sierżant Grimm jak zwykle tkwi na posterunku, leniwie oparty o ścianę. Drzwi do pracowni są zamknięte. Jednym słowem zwykły dzień pracy Zawrócił trochę zawiedziony i po kilku krokach uśmiechnął się z politowaniem. Dureń. A czego się spodziewał? Gorączkowej krzątaniny? Krzyków? Pakowania? Przecież oficjalnie Pułkownik ze swoją świtą udaje się na Kontynent jedynie na krótko. Musieli więc stworzyć pozory codzienności. Znaczyło to też, że ich obłądne plany są tajemnicą dla ogółu załogi bazy. Tym lepiej. Zaskoczony i zdezorientowany ogół mieszkańców krateru nie wystąpi przeciw Rauberowi i spółce. A może wprost przeciwnie. Może to gorzej, że ludzie nie są niczego świadomi. Przy, nazwijmy to po imieniu, napaści na Pułkownika, mogą pośpieszyć mu na pomoc, nie wiedząc o co toczy się gra. No cóż. Trudno. Na agitację i przekonanie nie ma już czasu. Nie ma też czego już szukać. Zresztą jego wędrówki na pewno nikogo nie zdziwią, niewiadomymi bowiem kanałami rozeszła się po bazie wieść o jego nominacji na tymczasowego dowódcę.

Przystanął na moment. Na Boga. Toż to może być atut. Wojsko nie zechce mieszać się w spory pomiędzy dowódcami, choćby spory te przybrały taki dziwny i nieoczekiwany obrót. Nie zrobił nikomu niczego złego i wyczuwał, że wielu żołnierzy raczej darzy go sympatią. Zawrócił w kierunku kwater. Przelotnym spojrzeniem obrzucił nieruchomego cyfrona sterczącego w swojej wnęce. Machnął ręką uspokajająco na widok zapalającego się światełka aktywności robota i, nie zatrzymując się, wszedł do środka. Na widok zrywającego się z fotelika Smitha, uniół brwi ze zdziwieniem.

— Co pana tu sprowadza, Smith? — spytał starając się, by wypadło to w miarę przyjaźnie. — Bo na kielicha to naprawdę nie pora.

— Na kielicha zawsze jest pora — mruknął sentencjonalnie Smith — tym razem jednak pał diabli wódkę. Pułkownik Burton wyjeżdża?

— Wyjeżdża

— Na długo?

— Co to? Przesłuchanie, poruczniku? Nie ten adres. Proszę spytać Pułkownika, może panu odpowie. Mnie się nie zwierzał.

— Ale pan będzie go tu zastępował?

— Tak.

— Właśnie.

— Co właśnie?

— To właśnie, że wyjeżdżają dzisiaj. Pułkownik, Forster, Kleist, Grimm. Profesor Stawinsky przydzielony do pana dyspozycji, a ja co mam robić?

Rauber aż drgnął na wiadomość o wyjeździe Burtona. Dzisiaj? Stary cwaniak przyspieszył decyzję. Do diabła. Jeszcze trochę, a wymknąłby mu się. Mimo klimatyzacji, poczuł strużki potu na plecach.

— Pan, poruczniku Smith — udawał zastanowienie, chcąc zyskać na czasie... — jeżeli nie dostał jakiegoś szczególnego polecenia od Pułkownika, proszę robić to, co zawsze. Pić.

— Panie kapitanie.

— Dosyć, Smith. Niech pan idzie do siebie i zaopatry się po drodze w uczciwy zapas alkoholu. W najbliższym czasie nie będę pana potrzebował. Coś jeszcze?

— Nie... nie. Dziękuję — Smith zsalutował i zrobiwszy przepisowy w tył zwrot, ruszył

ku wyjściu.

— Smith — niegłośny okrzyk zatrzymał go w pół kroku.

— Tak?

— Gdzie są porucznicy Letter i Jacobson?

— Porucznik Letter odpłynął wczoraj okrętem podwodnym. Szczegółów nie znam. Porucznik Jacobson przygotowuje śmigłowiec.

— Dziękuję. To wszystko. Może pan odejść.

Odczekał, aż na żwirowej ścieżce ucichną kroki odchodzącego i nacisnął przycisk wideofonu.

— Wilson — rzucił krótko na widok zatroskanej twarzy sierżanta na ekraniku. — Natychmiast do mnie.

— Tak jest. — Wilson nie zadawał żadnych pytań.

Rauber uśmiechał się z uznaniem. Stary zupak, a doświadczenie konspiratora. To dobrze. Na takich ludzi można liczyć.

— Cyfron.

Zatupotało na schodkach.

— Cyfron... Ol... słucham.

— Przeszukać zarośla i trawę na skraju lasu. Zabijać węże.

— Zrozumiałem... Wykonuję.

Pękaty automat posłusznie potoczył się w kierunku ściany zagajnika. W tej samej chwili na ścieżce pojawił się sierżant Wilson.

— Co się stało kapitanie? Dopiero przed pół godziną się rozstaliśmy — spytał, patrząc pytająco na Dicka.

— Stało się, Stary nie wyjeżdża tak jak przypuszczaliśmy za kilka dni, tylko dzisiaj. Rozumiecie? Dzisiaj.

— O, cholera. Wszystko na nic.

— Czekaj Wilson. Powoli Tylko bez paniki. Jeszcze nic nie jest stracone.

— Jak to?

— Po prostu przyśpieszamy akcję. Robimy dzisiaj to, co mieliśmy zrobić za tydzień. Przecież nie pozwolimy im zwiać.

— Słusznie. W takim razie co robić?

— Jak wasi ludzie? Pójdą za mną?

— Za naszych z plutonu wartowniczego ręczę, a inni — sierżant wzruszył ramionami. — Jeżeli wszystko pójdzie jak trzeba, inni dowiedzą się dopiero po fakcie. Gdzie profesor Stawinsky?

— U siebie w Pawilonie. Słuchajcie sierżancie. Zbierzcie wszystkich naszych. Z posterunków też ściągnijcie. Nie będą tam dzisiaj potrzebni. Rozstawcie ich wokoło lądowiska śmigłowców i czekajcie na mój sygnał. Zresztą nie. Jest przecież jeszcze jedna ważna sprawa. Antena. Wy i profesor Stawinsky pójdziecie wyłączyć antenę. Profesor zna drogę. Ludzi uprzedźcie, że przejmuję dowodzenie. Na mój rozkaz lub strzał wpadają na polankę i zastawiają bronią tamtych. W razie potrzeby strzelać bez namysłu. To już nie zabawa. Oni nie będą się patyczkować. Macie jakieś pytania?

— Panie kapitanie. Czy ja muszę iść z profesorem?

— Musicie. Coś jeszcze?

— Nie.

— No to do dzieła. Powodzenia.

Sierżant wyszedł z pokoju wolnym krokiem człowieka, któremu się nigdzie specjalnie nie spieszy. Ale pośpiech mógł wydać się podejrzany w bazie, gdzie nikt nigdy do niczego się nie spieszył. Gdzie wszystko robiło się wolno i bez nerwów. Rauber wyszedł w kilka chwil po nim. Z zadowoleniem stwierdził, że posłuszny jak zwykle cyfron uwija się wśród drzew w

sporej odległości do domku. Z tej strony nic im nie zagrażało. Profesora spotkał w pół drogi. Stary uczonej już wiedział. Ścisnął Dicka za ramię znacząco i mruknął cicho.

— Pokrzyżowali nam plany. I co teraz, młody człowieku?

— Zaczynamy dzisiaj, profesorze.

— Tak na wariata? Bez przygotowania?

— Widzi pan inne wyjście? Bo ja nie. A uciec im nie pozwolę, choćbym miał sam zniszczyć oba helikoptery.

— Jeden, bo jeden przed chwilą wystartował.

— Na Boga, profesorze! Burton?

— Nie! Tym razem Jacobson. Reszta jest na miejscu. Śmigłowiec zabrał jakieś paki. Podejrzewam, że osobisty majątek Pułkownika.

— Aha — odetchnął z ulgą Dick. — Przez chwilę przypuszczałem, że udało im się nas wykiwać. A jak tak, to dobrze.

— Nie widzę szczególnych powodów do radości — uśmiechnął się profesor Stawinsky. — Co więc robimy, wodzu?

— Właśnie. Pan, profesorze, unieszkodliwi antenę.

— Jak pan to sobie wyobraża?

— Nie wiem. W każdym razie to konieczne. Nie chcę z tej strony żadnych niespodzianek. Naturalnie nie niszczyć. Tylko wyłączyć lub zakłócić działanie. Pójdzie z panem Wilson.

— Dlaczego Wilson? On może być potrzebny tutaj.

— Bo mu bezwzględnie ufam, tak jak i panu. Sam pan nie da sobie rady, a Wilson nie zna drogi. Ja jestem potrzebny na miejscu. W tym czasie, kiedy wy będziecie na dole w świątyni, postaram się tu załatwić resztę. Chyba nie obejdzie się bez strzelaniny. Lepiej, że pana tu nie będzie.

— Masz mnie za tchórza, kapitanie Rauber?

— Nie to. Nie to, profesorze. Po prostu pana życie jest zbyt cenne. Jest pan naukowcem światowej sławy. Poza tym... poza tym... do cholery... przywiązałem się do pana.

— Dziękuję, Dick — profesor nie krył wzruszenia. — Przepraszam. Wystarczy. Idę do Wilsona.

Wilson tymczasem ściągnął ludzi z posterunków i poprowadził w kierunku lądowiska. Przemknęli zagajniki nie zauważeni przez nikogo. Jedyne cyfrona napotkanego po drodze uszkodzili i ukryli w krzakach pozorując wypadek. Wprawdzie w momencie uszkodzenia czulego automatu zgasła jego indywidualna lampka na tablicy w centrali, ale Wilson słusznie zakładał, że w przedwyjazdowym rozgardiaszu nikt nie zwróci na ten fakt szczególnej uwagi. Zwłaszcza że cyfronów pętało się w bazie po kilkadziesiąt i zawsze kilka z nich, uszkodzonych, nie sygnalizowało swojej gotowości. Tak więc dotarli do polanki bez przeszkód, tylko było ich rozpaczliwie mało. Jedenastu. Bez kapitana Raubera, Wilsona i profesora Stawinskiego.

Przy śmigłowcu krzątał się pilot przygotowując najwidoczniej maszynę do lotu. Poza tym pusto tu było i cicho. Otoczyli bezszelestnie polankę starannie się maskując. Niestety. Luźny to był kordon. Leżeli w odległościach kilkunastu metrów od siebie, bez łączności wzrokowej. Bez jakiegokolwiek łączności. Ale na to nie było rady. Dobrze choć, że moskity o tej porze nie były jeszcze zbyt aktywne. Wilson pospieszył do Dicka.

— W porządku kapitanie. Ludzie już na miejscu, ale tam się nic nie dzieje. Może to fałszywy alarm?

— Trudno. Poczekamy, zobaczymy. W ostateczności, gdyby nic się nie przydarzyło, a wiadomość Smitha okazała się fałszywa, zlikwidujecie zasadzkę i będziemy czekać następnej okazji. Zaraz zjawi się tu profesor Stawinsky. Zejdziecie z nim do świątyni i postaracie się wyłączyć antenę.

— Tak jest, ale...

- Bez „ale”, Wilson. I tak mam kupę kłopotów. Przemyślałem wszystko. Trzeba.
- W porządku, kapitanie. Idę naprzeciw profesora. Im prędzej, tym lepiej.
- Dobrze. Ja idę na lądowisko. Powodzenia.

Zaczęły się nerwowe godziny oczekiwania na rozwój wypadków. Pilot skończył grzebienie przy maszynie i drzemał oparty o wspornik płóz. Mijał czas. Wrzaski małych harcujących w niedalekich ruinach jakby przybrały na sile. Płoszyły ciszę sennego popołudnia. Robiło się coraz duszniej jak przed burzą, a przecież burze o tej porze roku, pod tą szerokością geograficzną, należały raczej do rzadkości.

Wreszcie drzemający pilot ocknął się i wstał leniwie. Na dróźce ukazały się sylwetki kilku ludzi. Na przodzie kroczył pułkownik Burton i profesor Kleist. Za nim kapitan Forster i sierżant Grimm z dwoma szeregowcami objuczonymi jakimiś pakunkami.

Kapral Grey, dowodzący ukrytymi w zasadzce, policzył ich wzrokiem.

- Siedmiu. Z pilotem. Wszyscy uzbrojeni.
- Pułkownik nie, ani profesor — żołnierz był dokładny.
- Słusznie, ale to i tak pięć dezintegratorów.

Przybyli podeszli do śmigłowca i sierżant Grimm z pilotem wspięli się po drabince, znikając we wnętrzu maszyny. Żołnierze złożyli pakunki na trawie. W tej chwili na ścieżce ukazał się idący wolno, kapitan Rauber.

- Uwaga! — szepnął kapral Grey. — Wszyscy wiedzą, co mają robić.
- Wiemy.

Pułkownik ze zdziwieniem patrzył na zbliżającego się Dicka.

- Jakaś sprawa do mnie, kapitanie Rauber? — spytał spokojnie.
- Tak. Prośba.
- Słucham.

W rękę Raubera zaczerwienił się dezintegrator.

— Proszę o podniesienie rąk do góry — rozkazał tonem nie mającym nic wspólnego z prośbą. — Wszyscy! — głos mu stwardniał.

Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie. Z otaczających polankę krzaków wypadli z bronią gotową do strzału Grey i jego ludzie. Jednocześnie w wyjściu ze śmigłowca pojawił się, zwabiony głosem Dicka, sierżant Grimm. Stojąca na dole zaskoczona grupka podniosła ręce. Grimm jednym rzutem oka ocenił sytuację i dobył broni. W tej samej chwili trzasnął strzał i sierżant Grimm trafiony promieniem, wykonał jakiś dziwny ni to skok, ni to sus i zwałił się na murawę, przewracając Raubera. Ludzie Greya już dobiegli do stojących i wtedy kapitan Forster pokazał, co potrafi. Jednym skokiem przesadził podnoszącego się Raubera i runął w kierunku najbliższych zarośli, wyciągając jednocześnie dezintegrator. Zastępującego mu drogę szeregowca przeciął ciągłym strzałem i dopadł pierwszych drzew. Otworzyli za nim ogień o ułamek sekundy za późno. Teraz w drzwiach kabiny pojawił się pilot, wyciągając przed siebie bezbronne ręce Grey jednym susem przebył drabinkę i, odtrącając przerażonego pilota, zniknął we wnętrzu.

— Co to wszystko znaczy, Rauber? — Pułkownik odzyskał głos. Zwariowaliście?

— Milczeć. — Rauber nie miał absolutnie ochoty do dyskusji. — Trzech ludzi za Forsterem. Szybko!

Trzech najbliższych stojących bez słowa puściło się w kierunku, gdzie przed kilkunastoma sekundami zniknął Forster.

— Reszta do maszyny. Czekamy na profesora...

R o z d z i a ł VIII

WIZYTA Z KOSMOSU

Pierwsi dostrzegli gościa radarzyści. Ci znali się na swojej robocie, a i aparaturę mieli imponującą. Nie zwrócili nań zresztą baczniejszej uwagi. Potraktowali go raczej z nonszalancją. Mówiąc wprost — zlekceważyli. Ot, ostatni członek jakiejś rakiety nośnej lub stary, wysłuszony sputnik kończy swoją służbę fajerwerkiem w gęstych warstwach atmosfery. Odnotowali fakt w książce raportów i kropka. Trochę zaniepokoiły ich jego rozmiary, ale mało to olbrzymich cudactw pchano na okołoziemską orbitę w ciągu choćby tylko ostatnich stu lat? Dopiero kiedy wszedł w atmosferę z taką szybkością i pod takim kątem, że absolutnie powinien natychmiast uczciwie wyparować, zdumieli się. Wyparować! A ten nic. Zostawiając za sobą smugi zjonizowanego powietrza, pruł stężoną od prędkości atmosferę bez najmniejszych widocznych oznak jakichkolwiek ujemnych skutków. I jeszcze jedno. Najwyraźniej kierował się w rejon, gdzie wśród bezmiaru wód Pacyfiku tkwiła na maleńkiej wysepce ich baza. Wtedy dopiero podnieśli alarm. Usiłowali podnieść.

Za późno. W tym bowiem właśnie momencie dowódca bazy, pułkownik Burton, miał poważne kłopoty. Bardziej zdziwiony niż przerażony, stał z uniesionymi do góry rękami, z niedowierzaniem wpatrując się w mikroskopijny punkt wylotowy lufy dezintegratora.

Kapral Grey. Dick Rauber. Wściekli się czy co? Czego chcą? O co im chodzi? Dobrze, że przynajmniej Forster zdołał umknąć. Chytra sztuka. Czuł pismo nosem. Jeszcze jest nadzieja. Przecież chyba nie wszyscy zdradzili.

Opodał na murawie siedział z ponurą miną profesor Kleist, również pilnowany przez uzbrojonego strażnika. Ten przynajmniej nie musiał trzymać mdlejących rąk nad głową. Wiedzieli doskonale, że uczone nie nosił broni, ani nie potrafił się nią posługiwać.

I kto to wszystko zaaranżował? Zupak Wilson? Dick Rauber? Tak! Na pewno. Na pewno on... „Cynthia”, Jack, Luiza. On! Mści się. Niebezpieczny typ. Trzeba było go zlikwidować zaraz po przybyciu do bazy. Cholera! Grimm dał się wykończyć jak szczeniak. Taki cwaniak. Spojrzał z niechęcią na rozciągnięte na trawie, tuż koło płóz śmigłowca, ciało sierżanta. Dureń. Piekielnie bolą ręce. Próbował je opuścić nieco niżej.

— Ręce!

Suchy okrzyk sprawił, że skwapliwie uniósł dłonie jak mógł najwyżej. Od zbcoczy, na południowej krawędzi dolinki, dolatywały niegłośnie trzaski. Efekt dezintegracyjnej działalności ich broni. To pękały skały trafione niszczącym promieniem. Na pewno Forster. Ten nie da się wybrać jak pisklę i gniazda. Poczul nagle przyptyw niczym nie uzasadnionej nadziei. Może nie wszystko jeszcze stracone.

— Grey!

— Milczeć.

— Słuchajcie. Chcę wam coś zaproponować... Wy...

— Milczeć.

— Ale...

— Milczeć, do jasnej cholery, bo strzelam.

Umilkł zrezygnowany, ale ręce cierpły i bolały coraz dotkliwiej.

— Opuśćcie chociaż na kark — poprosił pokornie półgłosem. Kapral spojrzał podejrzliwie, ale skinął głową.

— Niech pan opuści, ale ostrzegam. Bez kawałów. Strzelam celnie.

Co za ulga. Głupi ten kapral. Jakiś ruch zwrócił jego uwagę. Spojrzał. Od Pawilonów biegł niski, drobny szeregowiec, machając trzymaną w rękę kartką papieru. Podał ją kapralowi Greyowi nie zaszczyciwszy nawet jednym spojrzeniem zmaltretowanego Pułkownika. Grey przebiegł pismo wzrokiem i spojrzał na niebo.

— Odszukaj kapitana Raubera — zwrócił kartkę przybyłemu. — Jest chyba gdzieś tam — wskazał gestem kierunek południowy.

Tymczasem dochodzące stamtąd trzaski umilkły. Szeregowiec skinął głową i pobiegł.

— Co...

— Milczeć. Jeżeli to jakaś nowa pana sztuczka, to trochę za późno, Pułkowniku. Zanim wylądują, pan już ostygnie.

— Ostygnie? Jak ostygnie? Co to znaczy?

— Milczeć.

Teraz już obaj z trwogą spoglądali w bezchmurne niebo.

Tymczasem profesor Stawinsky i sierżant Wilson byli już w świątynnej jaskini. W pośpiechu roztrzając i depcząc po uschniętych mumiach, dopadli fosforyzującego obelisku.

— Tędy — profesor miał dobrą pamięć. Jeden ruch dłoni i właz stanął otworem.

— Jest pan pewny, profesorze, że to jest bezpieczne?

Sierżant Wilson jednak miał wątpliwości.

— Nie wiem. A czy to, co tam na górze robimy jest bezpieczne?

— Racja. Niech pan robi swoje.

Stawinsky uważnie rozglądał się po ciasnym i pustym wnętrzu. U licha. Gdzie mogą być ukryte urządzenia sterujące anteną? Mógłby dać głowę, że są. Nie wysadzi przecież tego w powietrze, chociaż na wszelki wypadek mieli ze sobą materia! wybuchowy.

— Profesorze — głos Wilsona drgnął podniecaniem. — Tu są jakieś drzwiczki.

— Gdzie? — uczony już był przy podoficerze. Rzeczywiście. W rogu pomieszczenia, tuż nad podłogą, widniał obrys jakby jeszcze jednego włazu. Trzy ciemne punkty. Ach, tak. Konstrukcja ta sama co przy włazie głównym. Wyciągnął rękę. Po namyśle jednak cofnął ją. Niby to samo, a jednak nie to samo. Jak dobrać się do tej przeklętej konstrukcji? Zamyślił się. Przecież sobie poradzi. Musi poradzić. Musi!

Długo trwały komplikacje związane z otwarciem zamka. Sierżant Wilson rozglądał się niespokojnie. W półmroku oddalonych zakamarków jaskini, ciemniejsze od tła sylwetki mumii, jakby nabierały życia. Tu i ówdzie dostrzegał ruch, zmianę pozycji. Wiedział, że to tylko złudzenie. To nasycona niesamowitością sceneria sprawiała, że wyobraźnia płatała figle. Te zasuszone ciała miały w sobie akurat tyle życia, co otaczające je kamienne ściany. A jednak nie mógł oprzeć się instynktownemu lękowi. Ogarniała go jakaś obawa o powodzenie ich misji. Zaczął żałować, że zgodził się na towarzyszenie profesorowi w tej podziemnej eskapadzie. Tam, na górze, z pewnością przydałby się jego dezintegrator. Tam czułby się przynajmniej pewnie.

— Nareszcie! Udało się — okrzyk Stawinskyego sprowadził go na ziemię. Spojrzał przytomniej. Stary uczony klęczał przed wciąż jeszcze zamkniętym włazem, obiema rękami napierając na fosforyzujący prostokąt.

— Co pan... Przecież zamknięte — w głosie sierżanta nie było entuzjazmu, był raczej lęk.

— Nie gadajcie — profesor w szybkim tempie przyswajał sobie terminologię i sposób bycia koszar. — Dziwne, ale tu trzeba siły. Dlaczego? Pomóż do jasnej...

Naparli obaj na właz; ten, choć ciężko, z oporem, jednak bezszelestnie zapadł w głąb. Tak. W pomieszczeniu, do którego z takim nakładem wysiłku i nerwów usiłowali się dostać, było jasno. I ciepło. Z odkrytego otworu ciągnął wyraźny, ciepły prąd powietrza, kontrastując z chłodem jaskini.

— Ostrożnie, profesorze. — Nie wiadomo, dlaczego szeptem ostrzegł uczonego sierżant widząc, że ten zamierza wejść do środka. — To może być niebezpieczne.

— Nie szkodzi. Pożyjemy, zobaczymy!

— Racja! Oby tylko pożyć — sierżant odzyskał zwykły spokój. Zniknęły gdzieś majaki. Mumie znów były tylko mumiami, a jaskinia jaskinią. Liczyło się tylko to, co dzieje się tam

na górze.

— Nie będziemy wysadzać?

— Głupi — w głosie profesora, mimo niewesołej sytuacji, drgnął śmiech. — W żadnym wypadku nie dopuściłbym do wysadzenia anteny.

— Więc?

— Dobra, dobra. Dość gadania!

Profesor Stawinsky, zgasiwszy niepotrzebną już latarkę, wcisnął się przez wąski wąż do wnętrza zagadkowego pomieszczenia. Wilson oparł dłoń na uchwycie dezintegratora. Dureń — zreflektował się. Tu nie ma do czego strzelać. Pochylił się niżej.

— Profesorze. I co?

— Co... co. Czuję się jak mrówka w sieczkarni. Muszę zrozumieć to cholerne urządzenie.

— Profesorze. Na mój głupi rozum, zanim pan to zrozumie, tamtych na górze wytluką. Niech pan wyłącza to co włączone. Jest dźwignia w lewo, to ją w prawo, i tak dalej...

— A wiesz, że ty masz rację. Zresztą nie mamy innego wyjścia.

— Właśnie.

— No to uwaga. Zaczynam rozrabiać. Tu jest guzik, to go wciśniemy. Tu dźwignia, więc w przeciwne położenie... Tu...

— Szybciej, profesorze. Tam walczą.

— Wiem. Nie musisz mnie poganiać. Robię przecież, co mogę. Za dziesięć minut poprzestawiam tak wszystko, że sam diabeł w tym się nie połapie.

Wilson bezradnie patrzył po dziesiątkach zegarów, wskaźników, okienek kontrolnych. Ech. Pociągnąć by tak po tym całym kramie z dezintegratora i byłoby po wszystkim. Pewność i zaufanie. Uczeń potrafią skomplikować nawet najbardziej proste sprawy.

— No, sierżancie — spokojny głos Stawinsky-ego wyrwał go z dumań. — To już chyba wszystko. Nie wyobrażam sobie urządzenia, które po takim manipulowaniu przez neandertalczyka mogłoby jeszcze działać prawidłowo. Wracamy.

Pierwszy wyszedł Wilson. Rozejrzał się po jaskini i westchnął ciężko.

— Cholera. Tyle tu złota. Poużywałby człek za to...

— Co... co mówiliście? — nie dosłyszał profesor.

— Mówię, że tyle tu złota...

— Na diabła wam teraz złoto? Tam giną ludzie...

— Wiem. Ja im nie kazałem. Ech, profesorze. Dobrze panu tak mówić. Całe życie nie śmierdziałem centem. A tu?

— Dość!

W głosie profesora zadźwięczały metaliczne nuty.

— Czyżby kapitan Rauber pomylił się co do was?

— Pomylił... pomylił. Gówno. Najgorsze, że się nie pomylił. Idziemy, profesorze. Raz kozie śmierć.

W korytarzu prowadzącym do studni musieli, niestety, pływać. Przyplływ zakrył zupełnie wejście. Stary uczoney sapał i stękał, ale dawał sobie doskonale radę. Wilson, pomimo napięcia, obserwował go z podziwem. Ba, stary człowiek zdobył się nawet na doping.

— Szybciej, sierżancie. Tam ta cholerna sonda ma chyba zamiar złożyć nam wizytę. Nie możemy do tego dopuścić.

Wychynęli w mrocznej komnacie i w pośpiechu pozbyli się akwalungów.

— Teraz biegiem, profesorku. Tam czekają na mój dezintegrator.

— Młody człowieku — profesor spojrział zgorzony. — Po pierwsze nie profesorku, a po drugie i tak odwaliliśmy najważniejszą część pracy. Informer nie wylądował. Nie ujawni im swoich tajemnic. O to nam przecież chodziło.

— A ludzie? Tam giną ludzie.

— Dick da sobie radę. Nie nowicjusz. Lepszy niż my obaj i jeszcze kilku innych. Zresztą po co my to wszystko robimy? Dlaczego, do diabła, mieszał pan się w to wszystko, a teraz stęka? Damy sobie radę...

— Dobra, dobra. Wpierw trzeba przeżyć.

— Słusznie. Na złoto zawsze przyjdzie czas. Wrócimy tu.

— Tak. Ma pan rację. Jeżeli Rauber postawi na swoim, wrócimy. Tylko że wtedy będą tu takie tłumy... Kto jak kto, ale sierżant Wilson się wtedy nie dociśnie. I złoto fiuuu... a szkoda. Nic to. Szybciej, profesorze.

— To akurat nie na moje zdrowie i możliwości, sierżancie.

Na polance zamienionej na lądowisko trwał gorączkowy ruch. Kilkunastu ludzi z pododdziału wartowniczego otaczało kręgiem stojący ze znieruchomiałymi płacami śmigłowiec. Coś z wiadomości przyniesionych przez posłańca musiało dotrzeć do ich uszu, gdyż raz po razie, jakby z obawą spoglądali na siebie. Lecz niebo błękitne, bez jednej chmurki wisiało nad nimi puste i ciche.

W tej chwili na polankę wbiegł kapitan Rauber. Był trochę zadyszany, a po policzkach i szyi ściekały mu strużki potu.

— No i co tam, Grey? Maszyna gotowa? — krzyknął w stronę stojącego obok śmigłowca pilota.

— Panie kapitanie — ten był zakłopotany i jakby nieco przestraszony. — Nie wystartujemy. Przynajmniej nie zaraz. Uszkodzili maszynę. Zrobili to w ostatniej chwili. W żaden sposób nie mogłem temu przeszkodzić.

— Trudno. Dasz radę usunąć uszkodzenie?

— Chyba tak. To tylko kwestia czasu. Przypuszczam, że nie zdążyli zniszczyć niczego istotnego. Nie mieli na to czasu. Uszkodzili jakiś drobiazg i tyle.

— Dobrze że nie pociągnęli po tablicy z dezintegratora.

— Słusznie, ale widocznie nie chcieli niszczyć maszyny bez wyraźnego rozkazu.

— Kto?

— Sierżant Grimm. To jednak był pistolet.

— Był?

— Tak. Był. Leży za śmigłowcem.

— Niewielka strata. Szukaj. Szukaj jak diabli tego uszkodzenia. Musimy lecieć...

— Wiem.

Rauber rozglądął się wokoło. Niewesoło. Wprawdzie kilkunastu szeregowców, w tym wszyscy wartownicy, opowiedziało się po jego stronie, ale w dalszym ciągu nie wiedział, co postanowiła reszta. Było ich bądź co bądź kilkudziesięciu zawodowych wojskowych i stanowili siłę, z którą należało się poważnie liczyć.

— Grey.

— Słucham, kapitanie.

— Pułkownika do śmigłowca i strzec bacznie. Pan, profesorze, również — rozkazał, widząc stojącego milcząco Kleista.

W tej chwili na płytę lądowiska wpadli profesor Stawinsky i Wilson. Dick skoczył ku nim.

— I jak? Wyłączyliście antenę?

— Chwi... chwileczkę. Niech odsapnę. Takie marszobiegi to już nie dla mnie — profesor Stawinsky usiłował opanować przerywany oddech. — Chwileczkę młody człowieku, bo mnie szlag trafi i tyle będziesz miał ze mnie pożytku.

— Profesorze! Na Boga! — Rauber nie umiał ukryć niecierpliwości. — To sprawa najważniejsza. Wyłączyliście?

— Młody człowieku. Przepraszam, kapitanie Rauber. Stary Stawinsky nie zawodzi.

Wyłączyliśmy!

— Prawdopodobnie! — mruknął pod nosem Wilson.

— Co to znaczy: prawdopodobnie? — Dick był czujny. — Wyłączyliście, czy nie?

— Chyba wyłączyliśmy, kapitanie — sierżant spojrzał bezradnie na profesora.

— Jak to? Nie jesteście tego pewni?

— Nie! — zaperzył się profesor. — Sądysz, że manipulując jak pitekanthrop w super-czułym urządzeniu, można być czegokolwiek pewnym? Owszem. Popsuliśmy, co się tylko popsuć dało. Poprzestawialiśmy wszystko, co tylko było można i tyle. Czy to działa dalej? Nie wiem.

— Jak to? — powtórzył Dick.

— A tak to. Ci, którzy budowali to urządzenie nie byli głupcami. Zdawali sobie doskonałe sprawę z tego, że na ślad anteny prędzej czy później wpadną tubylcy i z całą pewnością ubezpieczyli się odpowiednio,...

— Przecież Indianie...

— Nie przecież... Nie przecież. Oni zrobili to na pewniaka. To mądre zielone ludziki.

— Co pan mówi? Jakie znów zielone ludziki?

— Nie przerywaj. Kiedyś ludzie wierzyli, że kosmici to takie niewielkie zielone ludziki. No więc te zielone ludziki mogły i zapewne zrobiły wszystko, by taka mała jak ja nie była w stanie narozrabiać im w interesie. Jasne?

— Najzupełniej. Ale za dużo gadania. Forster zniknął. Muszę go dostać — Dick nie ukrywał irytacji.

— Jak to? — nie zrozumiał profesor.

Rauber nie odpowiadając staremu uczonemu wspiał się po drabince i zniknął we wnętrzu śmigłowca. Na bocznych siedzeniach siedzieli w ponurym milczeniu Burton i Kleist.

— Grey.

— Tak, kapitanie.

— No i jak?

— Nie chcą dranie powiedzieć, co uszkodzili.

— Szukaj.

Tak więc startować w dalszym ciągu nie mogli. Uszkodzenie helikoptera okazało się bardziej skomplikowane niż początkowo sądzili. Rauber z nienawiścią spojrzał na Pułkownika.

— Za późno się za was wzięłem — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— Czego ty właściwie chcesz, Dick? — Burton wyglądał na naprawdę zdziwionego. — Zrobiłem ci w życiu krzywdę? Nie! Traktowałem cię zawsze jak własnego syna.

— I z tej miłości zamordowałeś mi żonę i, właśnie, syna?

— Nie ja. Nie ja.. To Forster. Zewnętrzny pas min wokół wyspy to jego pomysł. On też bezpośrednio rozkazywał dowódcy okrętu podwodnego.

— Nie działał jednak bez pana wiedzy i aprobaty.

— Nie tak. To nie tak. Naturalnie, wyraziłem zgodę. Chodziło tu o Nortona. Mógł nam pomieszać szyki. Kontakt z kosmiczną cywilizacją, ich wiedza i pomoc, to jednak poważna sprawa...

— I dyktowanie świata warunków.

— To też. To Forster. Znasz mnie. Mnie to po co? Władzę miałem i tak. Forster to co innego. To arystokrata. Oni kiedyś rządili na wyspach. Dyktatorzy. Lud przegnał ich. Forster zaczepił się u mnie. To zdolny oficer. Potrzebowałem takich. Przekonał mnie. Ja dla dobra nauki... ludzkości... Ja zawsze...

— Tak. Pan Pułkownik zawsze...

— No widzisz...

— Pan zawsze był łajdakiem bez skrupułów. Przebrała się miarka. Dość.

— Kapitanie Rauber!

— Bez krzyku Pułkowniku — Dick podszedł do Burtona i spojrzał mu w oczy. — Pańskie czasy już się bezpowrotnie skończyły. Pan się skończył. Ech... Chętnie strzeliłbym ci w łeb, stary draniu... Tylko...

— Tylko ja się nie zgadzam — wtrącił się profesor Stawinsky, wchodząc do śmigłowca. — Nie będzie samosądu.

— Dziękuję, profesorze — Pułkownik wyraźnie odetchnął z ulgą.

— Dobrze; dobrze — stary uczony uśmiechnął się smutno. — Złapał Kozak Tatarzy-
na...

— Co?

— Nic. Takie sobie staropolskie przysłowie. Dick. Ludzie posłani za Forsterem wrócili?

— Jeszcze nie. Czekamy dwadzieścia minut i...

— I...?

— I ja pójdę. Dorwę tego wściekłego psa, choćbym miał gryźć skały. Alpinistą to on nie jest. Znajdę kanalię. Wilson.

— Na rozkaz!

— Naszych ludzi rozstaw wokoło lądowiska. Diabeł nie śpi.

— Kapitanie. Ataku nie będzie. Ludzie siedzą w Pawilonie i po kwaterach. Oni naprawdę nie kwapią się umierać za pana Pułkownika.

— Tym lepiej, ale ostrożność nie zawadzi. Forster wciąż jeszcze żyje.

— Niestety.

Dick znów zwrócił się w stronę swego byłego dowódcy.

— Gdzie może ukrywać się ten zbir? Musi pan znać ścieżki, którymi chadza pański pupil.

— Nie. Słowo oficcerskie, Dick. Ja...

— Dobra. Dam sobie radę bez pańskiej światłej rady, panie Pułkowniku. Sierżancie Wilson. Obejmuje pan dowództwo na czas mojej nieobecności. Jeżeli Grey usunie uszkodzenie, nie czekajcie na mnie. Startujcie bezzwłocznie.

— Ależ, panie kapitanie...

— To rozkaz, Wilson.

— Tak jest!

— Pan, profesorze Stawinsky, dopilnuje, aby ci dwaj nie uszli sprawiedliwości. Oni i tam na łodzi mają swoich popleczników gotowych ich usprawiedliwić i wybronić.

— Bądź spokojny. Dick. Przypilnuj. Uważaj na siebie. Forster to chytra sztuka. Potrafi ukąsić.

— Jakoś to będzie. Widziałem już lepszych.

— Panie kapitanie — wtrącił się Wilson. — A co z ludźmi?

— Z jakimi ludźmi?

— Z naszymi. Wszystkich do śmigłowca nie zabierzemy...

— I nie trzeba. Zostaną tutaj. Włos im z głowy nie spadnie. Jak nie będzie tu Burtona, nic im nie grozi. Przyjdzie nowy dowódca. Ta baza musi wreszcie zacząć pracować zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

— Rozumiem!

Wilson jednak nie wyglądał na przekonanego. Stary żołnierz nie dowierzał historiom łatwym, tu wszystko szło jak z płatka. Za gładko Wprawdzie Forster umknął zastrzelivszy jednego z wartowników, ale Burtona i Kleista mieli w ręku. Śmigłowiec też chyba uda się naprawić. Za dobrze to szło.

Tymczasem Dick sprawdzivszy dokładnie dezintegrator, ruszył w kierunku Pawilonów. Jeżeli informacja Wilsona była prawdziwa, ludzie siedzący w Pawilonie Astro nie będą skłonni ukrywać kapitana Forstera i jeżeli ten pokazał się gdzieś w pobliżu, powiedzą o tym

Dickowi. Na przeszukanie w pojedynkę całego obszaru Krateru trzeba tygodni, a kapitan mógł się dosłownie ukryć wszędzie.

W drzwiach Pawilonu Astro stał niski, barczysty szeregowiec, o rudej jak lisia kita czuprynie. Rauber zetknął się z nim przy jakiejś okazji i nawet zapamiętał jego nazwisko.

— O'Hara. Nie widzieliście tu kapitana Forstera? — spytał podchodząc do zagradzającego mu wejście żołnierza.

— Widziałem i co?

— Nie możecie grzeczniej? To wojsko, szeregowy O'Hara.

— To było wojsko, kapitanie.

— I będzie, ja wam to obiecuję. Gdzie kapitan Forster?

Szeregowiec wyszedł przed pawilon i niedbałym gestem wskazał południowe zbocza Krateru.

— Tam. Rwał jak zając. Ma broń. kapitanie.

— Nie wasz kłopot. Dawno go widzieliście?

— Nie. Jakies pół godziny. Był wściekły. Kłął jak szewc...

Rauber nie słuchał dalej. Prawie biegiem ruszył we wskazanym kierunku, upewniwszy się przedtem, że rudzielec jest nieuzbrojony. Nie lubił odwracać się plecami do osobników z bronią. Zwolnił w gąszczu okalającego Pawilon zagajnika. Teraz szedł rozglądając się czujnie i nasłuchując. Tu już nie było żartów. Za każdym krzakiem czy pnem mógł zacząć się zdeperowany kapitan Forster, a nie był to przeciwnik, którego można lekceważyć. Po kilkudziesięciu metrach zagajnik kończył się przechodząc w pochyłą płaszczyznę piargów, poprzytękaną tu i ówdzie sporymi głazami. Dalej rozpoczynały się skaliste zbocza, popękane i poprzecinane krechami głębokich szczelin. Odnalezienie zbiega w tym labiryncie przypominało szukanie przysłowiowej igły w stogu siana. Tu mógł decydować jedynie ślepy traf i szczęście.

Dick przystanął osłonięty ostatnim pasmem krzewów i rozglądał się uważnie. Niestety! Najbliższa okolica wydawała się pusta i zupełnie pozbawiona życia. Po kilkuminutowej milczącej obserwacji Rauber postanowił iść dalej. Przypuszczał, że Forster, choć niebezpieczny i zdecydowany na wszystko, do strzelców wyborowych nie należał. Niech tylko zdradzi się choć jednym strzałem, a wtedy zacznie się ostateczna rozgrywka, co do wyniku której Dick nie żywił najmniejszych wątpliwości. Nie w takich bywał opałach i wychodził z nich obronną ręką.

Powoli, kuląc się i wykorzystując każdą osłonę, wyszedł z gąszczy i zagłębił się w labirynt pokruszonych odłamów skalnych. Nie niepokojony przeszedł pas piargów i zaczął wspinać się na zbocze. Starannie omijał ciemne wejścia do jaskiń. Nie był w stanie przeszukać wszystkich, co zresztą przy braku latarki i tak było niewykonalne. Sądził też, i chyba słusznie, że z tego samego powodu Forster nie będzie szukał w nich schronienia.

Był już w połowie drogi do skalnej ściany, gładkiej i niemożliwej do sforsowania nawet dla wytrawnego alpinisty, kiedy kątem oka uchwycił jakiś podejrzany ruch trochę w lewo i poniżej jego stanowiska. Zamarł w bezruchu przytuliwszy się całym ciałem do chropowatego, ciepłego głazu. Znajdował się nad poziomem wierzchołków drzew i doskonale widział stąd cały Krater, wraz z zabudowaniami bazy i fragmentami świątynnych ruin. Chyba ten ruch mu się po prostu przywidział. A może to któraś z wszędobylskich małp zapuściła się aż tutaj, chociaż z zasady trzymały się gąszczy otaczających ruiny.

Ostrożnie wyprostował się i zaczął schodzić w dół, gdy raptem suchy trzask zmusił go do błyskawicznego uskoku za najbliższy załom skały. Nad nim zadymił trafiony śmiertelnym promieniem głaz i posypały się odpryski kamieni. Bez namysłu strzelił w kierunku, gdzie — jak mu się wydawało — ukrywał się strzelec i odczołgał się pod osłonę niewysokiego uskoku.

Teraz dopiero wyjrzał ostrożnie, ale znów suchy trzask zmusił go do rejterady. Psiakrew! Zaczyna się robić niewesoło. Jednak Forster dostrzegł go pierwszy. Całe szczęście,

że był wyżej od swego przeciwnika i to dawało mu niejaką przewagę. Poszukał obok siebie i podniósł niewielki, okrągły kamień. Uważając, by nie wystawić ręki nad zbawczy uskok, położył okruch na jego krawędzi. Natychmiast trzask. Jeden, drugi, trzeci. Dopiero za czwartym strzałem kamień wyparował. Zacięty, ale głupiec, no i oczywiście nie najlepszy strzelec — skomentował w duchu pogardliwie. Tylko tak dalej, a kapitanowi Forsterowi skończy się energia w dezintegratorze. Poszukał po raz wtóry nieco większego kawałka skały i położył w tym samym miejscu. Odczekał chwilę. Nic. Forster już nie dał się nabrać na ten stary kawał, lub też, korzystając z zaskoczenia, wycofał się ze swojego stanowiska. Do tego Rauber nie mógł dopuścić w żadnym wypadku. Nie było na co dłużej czekać. Musiał zaryzykować.

Z prawej strony, oddalony od niego o jakieś cztery metry, zaczynał się podobny uskok prowadzący łukiem w dół. Gdyby tam dotarł, miałby szansę bezpiecznego zbliżenia się do przeciwnika. Uniósł się na rękach i podciągnął nogę jak sprinter i... wtedy usłyszał narastającą, głęboką huczenie. Zdziwiony spojrzął w niebo i zamarł.

Cholera! Jednak antena działała! Przybysz z kosmicznej głębi najwyraźniej podchodził do lądowania. Olbrzymi dysk wirujący wokół własnej osi i zmieniający rytmicznie barwę od oślepiającej żółci po soczystą zieleń. Płynnie, leniwie, powoli. Po obrzeżach dysku przelatywały klujące wzrok iskierki, przypominające wyładowania elektryczne. Nieproszony gość schodził równo jak po sznurku, prowadzony stożkiem emisji tajemniczej, niezniszczalnej anteny. Miał rację profesor Stawinsky. Małe zielone ludziki potrafiły zabezpieczyć swoje urządzenie.

Wstał, nie zważając, że tym samym naraża się na pewny strzał Forstera. Dostrzegł i jego samego. W odległości około trzydziestu metrów od miejsca, w którym zatrzymał się, podniosła się zza głazu chuda sylwetka kapitana. Ten też, zapomniawszy o wszystkim, jak zahipnotyzowany wpatrywał się w podchodzącego do lądowania kosmicznego olbrzyma. Zwrócony przodem do Dicka nie widział go, nie patrzył na niego zafascynowany niecodziennym wydarzeniem.

Nagle poderwał broń i prawie nie celując wygarnął w kierunku zniżającego się dysku. Choć odległość była bardzo duża i strzelanie to przypominało pojedynek procarza z czołgiem, dysk zgasł jak zdmuchnięty. Zszarzał i raptownie przerwał zniżanie się. Zamarł w powietrzu, jakby grawitacja Ziemi i przyciąganie nie istniało dla niego. Nie przestał wirować. Jakaś migotliwa poświata załaza dolinę krateru. Rauber poczuł na całym ciele ukłucia tysięcy drobnutkich igiełek Cholerny idiota. Oszalał chyba ten Forster. Dick zdecydowanie podniósł broń do oka. Był dobrym strzelcem i z tej odległości nie zdarzało mu się chybiać. Strzelił dwa razy i widział jak wysoka, chuda sylwetka kapitana Forstera załamuje się, i powoli; niczym na zwolnionym filmie, osuwa się na ziemię.

Spojrzął w górę i zaklął bezsilnie. Olbrzymi dysk odlatywał. Buczenie przeszło w denerwujący poświst i znów uczucie mrowienia w całym ciele. Kosmiczny posłaniec błyskawicznie zwiększając prędkość uchodził w przestrzeń i po chwili zniknął w potokach słonecznego blasku. Niebo nad kraterem znów było czyste i puste.

Dick podszedł do miejsca, w którym upadł Forster. Ten leżał twarzą do ziemi, prawy bark miał zwęglony, a nadtopiony dezintegrator leżał odrzucony strzałem jakieś dwa metry od ciała. Nawet na pierwszy rzut oka widać było, że kapitan Forster już nigdy do nikogo nie strzeli. „Za Luizę i Jacka” — pomyślał Dick mściwie i odwróciwszy się tyłem do leżącego, zaczął schodzić w dół.

Śmigłowiec nie odleciał jeszcze. Musiałby go dostrzec ze zbocza. Zresztą pojawienie się kosmicznej sondy musiało na lądowisku sprawić niemało zamieszania. Dobrze, że jest tam profesor Stawinsky. Ten przynajmniej wszystko zrozumie i z całą pewnością potrafi zapobiec panice. Zagłębiał się właśnie w cień pierwszych drzew, kiedy do uszu jego dobiegł daleki trzask dezintegratorów, potężniejszy z sekundy na sekundę. Przystanął zaskoczony nasłuchując. Tak. Nie ulegało wątpliwości. Strzały dobiegały od strony lądowiska. Tam wrzała walka.

Puścił się biegiem, nie zwracając uwagi na kolce drące uniform. Był już prawie w połowie drogi, kiedy zobaczył biegnącego mu naprzeciw jakiegoś człowieka. Poznał go od razu. To jeden z ludzi Wilsona. Strażnik ze Starego Przejścia. Na widok oficera biegnący zatrzymał się.

— Panie... panie kapitanie...

— Co się stało? Co tam się dzieje?

— Niestety. Profesor Stawinsky nie żyje, pułkownik Burton uciekł.

— Psiakrew!

— Atakują nas ludzie Grimma. Mamy już trzech zabitych...

Ruszyli biegiem w kierunku słabnących odgłosów strzałów...

R o z d z i a ł IX UCIECZKA Z KRATERU

— Nie podoba mi się ten spokój — sierżant Wilson pokręcił głową. — Nie wierzę, by to wszystko było takie proste.

— Co znowu wymyślasz? — obruszył się profesor Stawinsky. — Sam przecież mówiłeś, że ludzie nie mają ochoty umierać za Pułkownika...

— I dalej tak twierdzą, ale ten szeregowiec...

— Co ten szeregowiec?

— No ten, który przyniósł wiadomość od radarzystów. To porządny facet. Twierdzi, że zniknęło kilkunastu ludzi.

— Jak to zniknęło?

— Nie ma ich w pawilonach, ani na kwaterach. Wymienił kilka nazwisk. Sami żołnierze z plutonu Grimma.

— Myślisz, że Forster?

— Nie. Forster zwiął sam, ale tam jest kapral Casby. Pułkownik wyciągnął go z nie lada tarapatów. Poza tym ludzie z plutonu Grimma to tacy sami zabijacy jak i ich szef. Wierna gwardia Pułkownika.

— Taaak — przeciągnął uczony. — Może masz rację. Niewesoło. Ustawiłeś ludzi wokół lądowiska?

— Ustawiłem. Ale jest nas za mało. Jedenastu, nie licząc mnie i Greya.

— Trudno. Nic na to nie poradzimy. Niech tylko pilnują dobrze, Rauber powinien niedługo się zjawić, albo Grey usunie uszkodzenie. Wtedy startujemy.

— Oby. Idę sprawdzić posterunki.

Ludzie czuwali. Tkwili w zamaskowanych kryjówkach na skraju polanki, ale byli w trudnej sytuacji. W dużo trudniejszej od swego potencjalnego przeciwnika. Za sobą mieli gładką polankę lądowiska, przed sobą zwarty gąszcz zagajnika, ułatwiający skryte podejście. Mieli jednak nadzieję, że do zaatakowania ich nie dojdzie. Wilson nie miał tej nadziei mimo poprzednich optymistycznych zapewnień.

Z kabiny śmigłowca wychylił się kapral Grey. Powoli zszedł po drabince i wycierając w brudną szmatę zatłuszczone ręce, podszedł do powracającego z kolejnego obchodu czujek sierżanta Wilsona. Na pytające spojrzenie tego ostatniego, pokręcił przecząco głową.

— Jestem tylko pilotem, a tu przydałby się wykwalifikowany mechanik.

— Więc nie polecimy. Rób coś człowieku. Trochę znasz się przecież na tym. Mamy nóż na gardle.

— Robię przecież co mogę, sierżancie. Jeszcze jedno. Czy Pułkownik i Kleist muszą

sterceć w kabinie? Działają mi na nerwy. Patrzą mi na ręce i uśmiechają się ironicznie. Szlag może człowieka trafić.

— Dobrze. Przeszkadzają, ci to ich stamtąd zabiorę. Strażnik. — krzyknął w stronę drzwi. — Wyprowadzić aresztowanych.

Pierwszy wyszedł pułkownik Burton, uśmiechając się ironicznie, za nim z opuszczoną głową profesor Kleist. Na rozkaz strażnika, ociągając się, usiedli w cieniu kadłuba maszyny. Nie odzywali się ani słowem. Sierżant Wilson popatrzył na nich i wzruszył ramionami.

— No to teraz do roboty — zwrócił się do Greya. — Szybciej.

Z troską rozejrzał się po polance, niebie i... zamarł z wrażenia.

Nad Krater nadchodził olbrzymi, opalizujący dysk. Krzyknął. Ludzie unieśli głowy. Pułkownik Burton tracąc swój stoicki spokój, zerwał się na równe nogi.

— Przyleciał — wyszeptał triumfalnie. — Jednak przyleciał.

— Nic wam z tego nie przyjdzie — strażnik nie stracił zimnej krwi. — Siadać, bo strzelam.

W tej samej chwili na skraju polanki zatrzeszczały dezintegratory i rozległy się głośne okrzyki. Sierżant Wilson ocknął się z osłupienia. Atak. Więc jednak nie omyliło go przecucie. Znaleźli się chętni. Casby i jego podkomendni. Nie było ani chwili do stracenia. Nie wiedział ilu jest napastników, natomiast z całą ostrością zdawał sobie sprawę jak nieliczną może im przeciwstawić grupkę. Tam, w zaroślach, ma tylko siedmioosobową garstkę. Tam teraz każda para rąk i każdy dezintegrator jest na wagę złota.

— Profesorze — krzyknął do Stawinskyego. — Proszę pilnować więźniów. Strażnik za mną.

I nie oglądając się na zaskoczonego szeregowca pobiegł w kierunku strzałów. Ten zawahał się przez moment i ruszył za nim. Profesor Stawinsky z namysłem popatrzył na trzymaną w rękę broń i przeniósł wzrok na wciąż stojącego Pułkownika.

— Wprawdzie nie lubię tej zabawki, ale zapewniam, że w razie potrzeby potrafię i zrobić z niej użytek, pułkowniku Burton. — rzekł bez uśmiechu.

Pułkownik nie odpowiedział. Wpatrzony w kosmicznego gościa, najwyraźniej podchodzącego do lądowania, zdawał się nie zwracać uwagi na uczonego ani na coraz żywszą wymianę strzałów w leśnym gąszczu.

Dysk tymczasem pulsował majestatycznie i, zbliżając się, olbrzymiał. Obojętny na toczącą się w dole pod nim walkę, wirował sypiąc skrami z obrzeży. Profesor Stawinsky poczuł nagle niemile mrowienie w rękach i coś w rodzaju lekkiego zawrotu głowy. Instynktownie zasłonił oczy i cofnął się w cień helikoptera. Wtedy mocne uderzenie wytrąciło mu broń z ręki. Jeszcze moment i przerażony ujrzał ciemny punkcik dezintegratora i wykrzywioną wściekłością twarz Burtona.

— Koniec komedii, panie profesorze — usłyszał i świat eksplodował morzem oślepiającego ognia i bólu. Usiadł powoli nie rozumiejąc co się właściwie stało. Pułkownik nerwowo rozejrzał się wokoło. Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Na polance nie było niko- go, tylko wzmagające się trzaski wskazywały, że w gąszczu walka przybiera na gwałtowno- ści.

— Za mną Kleist. Biegiem

— Nie... nie... — uczonego zamachał gwałtownie rękami. — Nie pójdę. Nie pójdę... Nie...

— Ty tchórze — zasyczał rozwścieczony Pułkownik. — Pójdiesz. Pójdiesz... Wsta- waj...

— Nie... nie — krzyk uczonego przeszedł w niezrozumiały bełkot. Pułkownik kątem oka dojrzał nogi wychodzącego z kabiny kaprała Greya. Strzelił, nie celując i pomknął jak strzała wypuszczona z łuku ku zaroślom, zostawiając jęczącego Kleista.

— Stój!

Po obu stronach uciekającego raz i drugi zasyczał śmiercionośny promień i zadymiła

wypalona trawa. Ale zbawcze zarośla były tuż tuż. Jeszcze dwa skoki... jeszcze jeden i wpadł w cień pierwszych drzew. Kapral Grey zaklął ordynarnie. W tej chwili z lasku wybiegło kilku ludzi, nie zwracając uwagi ani na Greya, ani na tajemniczego przybysza z kosmosu.

A z tym działo się coś nader dziwnego. W pewnym momencie przygasł, zszarzał i jakby zatrzymał się w powietrzu z lekkim wahnięciem. Równocześnie jakaś dziwna, złotawa poświata spłynęła na polanę. Ostrzeliwująca się grupa dotarła w pobliże śmigłowca. Grey poznał sierżanta Wilsona i trzech kolegów. Czwarty leżał nieruchomo pośrodku lądowiska. Nie ścigano ich, tylko z gąszczy trzasnęło kilka strzałów, nie czyniąc zresztą nikomu krzywdy, wypalając jedynie ciemne bruzdy w zrudziałej trawie.

Wilson zadrzał na widok ciała Stawinskyego i tulącego twarz do murawy Kleista.

— Gdzie Burton? — warknął.

— Zwiął. Strzelałem za nim. Nie trafiłem.

— Do diabła. Clerk! — zwrócił się do jednego z szeregowych. — Biegiem po kapitana Raubera. Powinien być gdzieś tam — wskazał w kierunku południowym. — Nie wracaj bez niego. Reszta do maszyny. Zaraz zaatakują. Przerwali tylko przez to dziwne — machnął ręką ku górze. Spojrzał i zaklął ze zdumienia.

Potężny dysk odlatywał. Już był tylko niewielką tarczką na tle błękitnego nieba.

— Tym lepiej. Do maszyny.

Szeregowiec Clerk co sił w nogach popędził w kierunku wskazywanym przez sierżanta z trwogą oglądając się na boki. Ale gąszcz milczał. Reszta ludzi wraz z profesorem Kleistem schroniła się do wnętrza śmigłowca zajmując stanowiska obronne przy iluminatorach. Wilson zdawał sobie sprawę z tego jak niepewne jest to schronienie. Wprawdzie burty bojowej maszyny dość skutecznie chroniły przed niszczącym promieniem bezpośredniego trafienia dezintegratora, ale każdorazowe uderzenie strumienia antyneutronów rozgrzewało ceramiczne ściany poszycia, co przy panującej na zewnątrz temperaturze, stanowiło poważne zagrożenie.

Kapral Grey od nowa rozpoczął grzebanie w aparaturze i mechanizmach bezskutecznie usiłując zlokalizować uszkodzenie. Ciągle jeszcze nie tracili nadziei, że uda im się uruchomić śmigłowiec i wystartować. To było ocalenie. Zwłaszcza teraz, kiedy sytuacja zmieniła się tak radykalnie, i to zdecydowanie na gorsze. Już nie tylko ludzie Grimma im zagrażają. Pułkownik swoim autorytetem przeciągnie na swoją stronę pozostałych. Zresztą na dobrą sprawę nie musi przeciągać. Jest jeszcze ciągle dowódcą bazy i wystarczy tylko jego rozkaz. Za kilkanaście minut mogą mieć na karku całą załogę. A wtedy koniec. Nie oprą się takiej przewadze. Jednak niedopracowana i przedwczesna była ta cała ich akcja. Jedno tylko było w tym wszystkim pocieszające. Informer odleciał. Czy to na skutek uszkodzenia przez nich anteny, czy też z innych, nie znanych przyczyn, ale odleciał. Chybiły plany pana Pułkownika. Odetchnął głęboko na widok biegnącego w kierunku śmigłowca Raubera i wysłanego po kapitana żołnierza.

Rauber dopadł maszyny. Dwoma susami przebył drabinkę i wpadł do środka. Za nim gramolił się zadyszany szeregowiec.

— Jak sytuacja? Dick usiłował opanować oddech.

— Niewesoła.

Jednak, jakby na przekór tym słowom, sierżant Wilson poweselał. Nic dziwnego. Teraz, kiedy kapitan jest tutaj, ubył mu odpowiedzialności.

— Niewesoło. Atakują ludzie z plutonu Grimma. Nie ma ich wielu, ale stary zwiął i za chwilę możemy mieć na karku całą resztę.

— Jak uciekł Burton?

— Dokładnie nie wiem. Naparli na nas. Strażnik pozostawił do pilnowania profesora i skoczył na pomoc. Nie wiem. Jak tu dopadliśmy, profesor już nie żył, a Burtona ani śladu. Tylko ten został — pogardliwym gestem wskazał na trzęsącego się ze strachu profesora

Kleista.

— Psiakrew. Nie ustrzeżliście takiego uczonego, takiego człowieka. Grey. Jak śmigłowiec?

— Nic z tego. Nie dam rady — kapral był zrozpaczony. — Niby wszystko w porządku, a silnik nie zastartuje. Iskra jest...

— Szukaj. Szukaj, bracie. To jedyna nasza szansa — popatrzyl po otaczających go twarzach. Na żadnej z nich nie dostrzegł specjalnego strachu. To dobrze. To bardzo dobrze.

— Panowie! To ja was w to gówno wyciągałem i ja postaram się was wyciągnąć. Nie będzie to jednak ani łatwe, ani bezpieczne. Dlatego, kto się lęka, proszę, wolna droga. Tamci przyjmą was z otwartymi ramionami.

— Zostajemy, kapitanie — ponuro oświadczył Wilson. — Nie jesteśmy dziećmi i wiedzieliśmy doskonale na co się porywamy. Szkoda tylko profesora Stawinskyego.

— Zapłaci mi za to ten stary łajdak. Dług rośnie.

— Uwaga. Idą już — głośny okrzyk jednego z żołnierzy sprawił, że momentalnie wszyscy znaleźli się przy iluminatorach.

Rzeczywiście. Na skraju lasu widać było jakąś krzątanicę. Migaly sylwetki ludzi, dzięki błękitnym kombinezonom odcinające się ostro od otaczającego ich leśnego tła. Nie strzelali. I to było dziwne. Mogli przecież, zupełnie się nie narażając, upiec ich żywcem w pudle śmigłowca.

— Na co czekają? — mruknął Wilson.

— Po prostu nie spieszą się. Są pewni, że i tak im nie ujdziemy. Pułkownik wie, że maszyna jest uszkodzona.

— I co zrobimy?

Dick nie odpowiedział zastanawiając się. Nie chciał podejmować pochopnej decyzji. Czuł, że mimo wszystko ludzie nie stracili do niego zaufania. Nadal wierzyli w niego. I choć obojętne mu były jego własne losy, tego zaufania i wiary nie mógł zawieść i nie chciał.

— Zobaczymy. Grey jeszcze szuka uszkodzenia. Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, poczekamy do zmroku. Pod osłoną ciemności postaramy wymknąć się ukradkiem. Opuścimy krater. Całej wyspy nie przeszukają. Na to potrzeba miesięcy...

— Nie opuścimy krateru, kapitanie — sierżant Wilson był sceptykiem. To na nic.

— Dlaczego?

— Jak pan to sobie wyobraża? Starym Przejściem? Tacy głupi to oni nie są. Z całą pewnością obstawili je już dokładnie.

— Nie szkodzi. Znam inne, równie dobre, choć nieco trudniejsze do sforsowania.

— Niemożliwe. Nie ma innych wejść do krateru, kapitanie...

— Jest, jest...

— Rany Boga. Ma pan na myśli świątynię — domyślił się Wilson.

— Tak.

— Zgoda. I co dalej? Będziemy w nieskończoność ukrywać się na wyspie? Zbudujemy tratwę. Cyfrony szybko nas wytropią.

— Nie wytropią... A przynajmniej nie tak szybko. Wpierw będą nas szukać w kraterze. Będą rozumować podobnie jak pan. Nie mają przecież pojęcia o istnieniu innego przejścia. Minie sporo czasu, coś wymyślimy. Zresztą po co martwić się na zapas. Może nie dadzą nam doczekać zmroku?...

Ostry głos dzwonnka przerwał mu w połowie zdania.

— Co to?

— Radiotelefon. Jaki czort?...

— Słusznie. Na pewno czort, tylko w mundurze wyższego oficera.

To Jego Ekscelencja Pułkownik Burton we własnej osobie... Dick Rauber podniósł słuchawkę.

— Kapitan Rauber, słucham.

W słuchawce zadudnił głos Pułkownika.

— Dick, wpadłeś. Natychmiast wypuść profesora Kleista. W zamian za to nie powieszę cię, a jedynie rozstrzelam. Śmigłowca i tak nie uruchomicie. Chyba że macie składnicę części zamiennych. Słuchasz mnie, Rauber? Wypuść profesora. Wszyscy złożyć broń i wychodzić z rękami nad głową. Daję wam godzinę czasu.

— A jeżeli nie skorzystamy? — Dick spojrzął po ludziach. Słyszeli każde słowo. Głos Pułkownika ze słuchawki, mimo iż przytłumiony, słyszalny był w całej kabinie. Patrzyli na niego spokojnie, a Wilson demonstracyjnie wzruszył ramionami.

— To upieczemy was jak kapłony — głos Pułkownika drgał pasją.

— A jak się poddamy, to humanitarnie rozwalicie nas pod ścianą?

— Tylko ciebie, Dick. Tylko ciebie. Pozostałym daruję życie. Czekam godzinę. Nie dłużej.

Trzask odkładanej słuchawki

— Wykurzą nas stąd, kapitanie — kapral Grey nie ukrywał niepokoju. — To, co mówił o częściach zamiennych, to chyba prawda. Musieli coś wymontować i wyrzucić.

— Tak. Na śmigłowiec nie ma co liczyć — poparł go Wilson.

— Słuchajcie, chłopcy — Dick podjął decyzję. — Słyszeliście, co mówił Burton? Nie przesadzał. Może być źle. Dziękuję wam za wszystko i ponawiam propozycję. Kto chce może wyjść, ale ostrzegam was. Na słowie Burтона nie można polegać. Znam go. Więc?

W kabinie zapadła cisza. Dick spoglądał na obecnych wyczekująco. Wreszcie jeden z szeregowców machnął desperacko ręką.

— Ja zostaję z panem, kapitanie Rauber.

— I ja.

— I ja.

— Mówił pan coś o jakimś przejściu na zewnątrz — upewnił się Grey. — Czy to prawda?

— Prawda. Sierżant Wilson może potwierdzić. Wprawdzie nie zna samego przejścia, ale był na dole w świątyni z profesorem.

— W świątyni?

— Tak. W świątyni Majów. Nie będę wam tego teraz tłumaczył. Nie czas i miejsce na to. Musicie wierzyć mi na słowo. Nazywam się Rauber, nie Burton.

— Wypuście mnie. Ja nie chcę umierać. Pułkownik to szaleniec. Spali nas — profesor Kleist wyciągnął ku nim ręce. Po poszarzałej twarzy spływał mu pot. Oczy miał błędne.

— Niech się pan uspokoi, profesorze — Wilson podszedł do uczonego. — Póki co, nic panu nie grozi. Zresztą nie stanie się panu nic gorszego niż nam.

— Nie chcę... Nie chcę... — jęczał półprzytomny z przerażenia Kleist.

— Dobra. Nie chciej sobie, tylko siedź cicho — Grey nie bawił się w ceregiele.

— Zyskać na czasie... Zyskać na czasie — mruzczał sierżant. — Do zmroku jeszcze prawie dwie godziny. Kapitanie. A jeżeli zaatakują właśnie po zapadnięciu zmroku?

— Nie wiem, ale chyba nie. Jak powiedziałaś — oni nie są głupcami. Nie będą w ogóle atakować. Po co mają się narażać?... Są przekonani, że i tak się im nie wymkniemy. Wolą nas spalić.

— To dlaczego zwlekają?

— Kleist. Nie chcą stracić Kleista. On jeden może rozszyfrować te sygnały z kosmosu i dlatego jest zbyt cenny dla Burтона, by ten chciał go lekkomyślnie narażać.

— Informer przecież odleciał.

— Może nie całkiem...

Powoli upływały minuty, kwadransy. Wszyscy trwali na stanowiskach. Minęła zapowiedziana przez Pułkownika godzina i nic się nie działo. Spodziewali się strzałów, ataku, a

tymczasem letni, upalny dzień kończył się, a w otaczających lądowisko zagajnikach panowała senna cisza i bezruch. Tylko mały wrzeszczał głośniejszy niż kiedykolwiek w przedwieczornym koncercie.

W kabinie śmigłowca panowała nieprzerwani« cisza, tylko ciężko dyszał w kącie nie mogący dojść do siebie profesor Kleist. Ostry terkot radiotelefonu sprawił, że wszyscy drgnęli nerwowo. Dick podniósł słuchawkę.

— Termin upłynął, Rauber.

— I co z tego? Atakujcie.

— Na co liczysz, Dick? Nie macie żadnych szans. Wydajcie Kleista.

— Niech pan przyjdzie i weźmie go sobie. Serdecznie prosimy. Tylko osobiście, panie Pułkowniku.

— Dość Rauber! Wydajcie Kleista czy nie?

— Nie — tym razem Dick pierwszy odłożył słuchawkę. Miał już tego wszystkiego dość. Chciał sprowokować Burtona.

— Uwaga, chłopcy. Zaraz się zacznie. Nie wychylać się, chyba że zechcą wziąć nas szturmem.

— Może lepiej było obiecać mu coś. Zwlekać. Zyskać na czasie — spytał Wilson.

— Co?

— No tak.

I znów biegły chwile oczekiwania. I znów nic się nie działo. Czekali w napięciu. Modlili się o ugodzinę dzielącą ich od tropikalnej nocy. Godzinę dzielącą ich od śmierci.

Profesor Kleist jakby uspokoił się nieco i oprzytomniał.

— Kapitanie Rauber — odezwał się nieoczekiwanie spokojnym głosem.

— Tak?

— Pułkownik nie spali śmigłowca.

Mimo groźnej sytuacji, Dick roześmiał się w głos.

— A kto mu w tym przeszkodzi? Pańska cenna osoba? — spytał ironicznie.

— Nie. Nie to. Po prostu ja mam przy sobie wszystkie notatki. Szyfry, taśmy. Wszystko.

— Co?! Gdzie?

— Tu — profesor sięgnął za siebie i wydobył niewielką plastikową teczkę.

Dick jednym skokiem był przy nim. Wyrwał mu teczkę.

— Nie żartuje pan, profesorze?

— Nie. Jak mi Bóg miły. To wyniki prawie roku pracy. Bez tych notatek i dokumentów Pułkownik nie zdziała nic. I on o tym doskonale wie. Daję je panu. Wypuści mnie pan teraz?

— Porozmawiajmy poważnie. Czy sądzi pan, profesorze, że Burton przyjmie pana bez notatek? Że zależy mu na panu? Że pochwali pana za oddanie notatek właśnie mnie?

— No nie... ja... ja już sam nie wiem, co mam robić. — Głos uczonego drżał. Widać było, że jest u kresu wytrzymałości.

— Profesorze — głos Dicka był twardy. — Profesor Stawinsky nie żyje. Mrówczenko i inni też. Nie lubiłem dotychczas uczonych. Byli mi najzupełniej obojętni. Jak ludzie z innej planety. Teraz zrozumiałem. Teraz jest inaczej. Wypuszczę pana. Proszę. Jest pan wolny.

— Ja... Ja rozmyślałem się, kapitanie.

— Jak to?

— Ma pan rację. Ma pan... Zostaję z wami. Te dokumenty może pan przekazać komu uważa pan za stosowne. Ja udzielię wszelkich brakujących do zrozumienia wyjaśnień.

— Rychło w czas — mruknął Wilson.

— Lepiej późno niż nigdy — Dick był innego zdania. — Zgoda profesorze. Mamy teraz towar. Spróbujemy go sprzedać Staremu.

— Kapitanie Rauber. — Kleist zerwał się na równe nogi. — Ja...

— Spokojnie, profesorze. Przecież im nie dam tego. Po prostu musimy zyskać na czasie.

— Rozumiem — uczyony oklapł. — Niech pan robi jak uważa.

— W porządku. — Dick podszedł do radiotelefonu. — Grey! Połącz mnie z nimi.

— Tak jest.

Kapral Grey pochylił się nad radiostacją. Chwilę manipulował przełącznikami i podał słuchawkę kapitanowi

— Proszę, kapitanie. Jest baza.

Rauber zdecydowanie podniósł słuchawkę do ucha.

— Z pułkownikiem Burtonem.

— A jest tu jakiś inny? Czego chcesz? Nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Broń wyrzucić na zewnątrz i wychodzić.

— Powoli, Pułkowniku, powoli. Pozwoli pan, że dezintegratory jeszcze zatrzymamy przy sobie. Chcę panu natomiast oznajmić, że mam te dokumenty w ręku.

— Jakie znów dokumenty? O czym ty mówisz?

— Niech pan nie robi ze mnie wariata. Pan doskonale wie, o jakie dokumenty tu chodzi.

W słuchawce na moment zapanowała cisza.

— Dobrze, Rauber. Wiem. Namyśliłem się. Oddasz te, jak mówisz, dokumenty, a ja oddam wam wymontowaną część. Będziecie mogli odlecieć sobie do diabła. Zgoda?

— Może i tak Pułkowniku. Za godzinę zapadnie zmrok. Nie zdążę naprawić śmigłowca i odlecieć. Odłożmy pertraktacje do rana. Ten bywa mądrzejszy od wieczora.

— Cwaniak z ciebie Dick, ale zgoda. Daję ci czas do godziny piątej zero zero. To moje ostatnie słowo Rauber.

— Zrozumiałem, Pułkowniku. Do usłyszenia o piątej.

Dick odłożył słuchawkę ostrożnie jak kryształowy puchar.

— Słyszeliście? — zwrócił się do pozostałych. — Pan Pułkownik raczył nam sprolongować życie do rana. Pakować manatki. Za dwie godziny śladu tu po nas nie będzie. Nie wierzę Staremu. Za łatwo się zgodził. Grey. Wymontuj radiostację. Weźmiesz ją. Zabrać też wszystkie zapasy żywności. Są tu chyba takie? No to do dzieła panowie.

Rozpoczęli gorączkowe przygotowanie do opuszczenia śmigłowca.

Rozbłysły wreszcie na firmamencie miliardy gwiazd. Nadeszła nad krater tak długo oczekiwana noc. Ucichły mały w koronach palm. Płyta lądowiska przedstawiała pozornie oazę szczególnego spokoju i martwoty. W oczach ewentualnego obserwatora ciemna bryła śmigłowca jawiła się pokraccznymi kształtami jakiegoś potwora z epoki kredowej. Iluzję pogłębiały postrzępione czuby tropikalnych drzew pogrążone w cichym, dusznym mroku. Ciągnął od pobliskiego jeziora zapach gnijących szuwarów i specyficzna woń starych ruin, piwnicznej atmosfery, mchu. Wszystko to w sposób niosący niepokój, przypominało im oczekującą ich wyprawę. Wyprawę po życie. Rauber spojrzął na zegarek.

— No cóż, panowie. Czas na nas.

— Nie za wcześnie, kapitanie? — sierżant Wilson, pomimo dokładnego rozeznania sytuacji, nie miał ochoty opuszczać przytulnego bądź co bądź wnętrza śmigłowca.

— Nie, Wilson. Nie wierzę Burtonowi. Nie byłby sobą, gdyby dotrzymał słowa. On coś knuje. Co? Nie wiem. Wiem tylko jedno. Musimy jak najprędzej opuścić maszynę. Bezpiecznie poczuje się dopiero w świątynnej jaskini. Tam nas już nie dopadną.

— No to na co czekamy? — kapral Grey spojrzął pytająco na Dicka. — Spać chyba i tak nie będziemy...

— Wszyscy gotowi? — Rauber podniósł głos. — Grey. Jak radiostacja?

— Mam ją.

— Zasilanie?

— Wziąłem oba akumulatory. Cholernie ciężkie.
— Będziemy się zmieniać w dźwiganiu. Żywność zabrana?
— Do ostatniego okrucha, kapitanie.
— No to teraz uwaga. Wychodzimy pojedynczo. Zaraz po opuszczeniu się drabinki na ziemię, odczołgujemy się. Ja pójdę pierwszy, bo znam kierunek. Będę się starał pełzać wolno, tak aby wszyscy zdążyli dołączyć. Róbcie wszystko dokładnie tak jak ja. Gotowi?

— Ja... ja...

— Co pan, profesorze?

— Ja nie wiem, czy potrafię pełzać.

— To nic trudnego. Potrzeba jest matką wynalazku.

— No tak. Więc?... — Wilson teraz na odmianę nie ukrywał zniecierpliwienia.

— Idziemy!

Rauber podszedł do wyjścia i wyjrzał ostrożnie. W zasięgu wzroku nic się nie działo. Nie dochodziły też żadne odgłosy. Polana leżała pusta i cicha. Ciche też były zarośla, ciemną, nieprzenikliwą ścianą otaczające lądowisko. Dick jednak wiedział, czuł, że to tylko pozory. Tam w gąszczach z pewnością czają się czujki przeciwnika. Burton nie rezygnuje tak łatwo.

— Gotowi?

— Tak.

Ostrożnie, starając się sprawiać jak najmniej hałasu, pokonał stromizną drabinki. Już leżąc w niewysokiej trawie słyszał głośny szelest spowodowany brakiem wprawy u opuszczających maszynę. Zdawało mu się, że słychać to w całym kraterze. Z niepokojem zerknął na czarną ścianę drzew oczekując, że za chwilę wytrysną stamtąd oślepiające igły śmiercionośnych promieni dezintegratorów. Zarośla jednak milczały. Albo przebiegły, stary lis Burton miał zupełnie inne plany, albo oni mieli wyjątkowe szczęście. Raczej to drugie. Co do ostatecznego celu pułkownika Burтона nie miał żadnych wątpliwości. Pułkownik za wszelką cenę dążył będzie do ich zlikwidowania. Za każdą cenę i wszelkimi sposobami. Ileż to razy, jeszcze w okresie współpracy, poznawał i podziwiał metody swojego szefa. Aprobował je wtedy bez zastrzeżeń. Nie da się ukryć. To właśnie stosowanie tych metod dało mu jego poprzednie stanowisko i pozycję. Teraz dopiero rozumiał to w pełni. Stanowisko i pieniądze. Pieniądze i Luizę. Chociaż nie. Luiza pokochała go za jego walory osobiste. Kwestia finansowa nie wpłynęła nawet w najmniejszym stopniu na jej decyzję. Kochała go dla niego samego.

Dobrze. Teraz musi wyprowadzić tych ludzi z matni. Uratować im życie. Musi zrehabilitować się w ich oczach, oczyścić z otaczającej go ponurej sławy. Oczyścić się we własnych oczach. Spojrzał za siebie.

— No jak tam? — rzucił szeptem. — Wyszli wszyscy?

— Wszyscy — rozpoznał głos Wilsona.

— Kleist?

— Jestem koło pana, kapitanie.

— Da pan sobie radę?

— Muszę.

— No to naprzód. Wszyscy czołgają się za mną. Niech każdy stara się trzymać obcas poprzednika. Żadnych rozmów. Jeżeli któryś zabłądzi, zostanie sam. Nie wrócę po nikogo.

— Ciszej kapitanie. Naprzód!

Zaczęła się pełna napięcia powolna wędrówka w ostrej, kłującej trawie. Przestrzeń, którą w jasnym słonecznym świetle przebywało się w kilkanaście sekund, teraz ciągnęła się w nieskończoność. Niejednemu krwią spłynęły palce, dłonie, a zbawcze zarośla jakby oddalały się. Wreszcie dotarli do pierwszych krzewów. Rauber odczołgał się nieco w bok i przepuszczał kolejno czołgających się. Jeden... drugi... trzeci... jedenasty... Wszyscy. Wstał, starając się nie czynić hałasu.

— Doskonale, panowie. Pierwszy etap za nami. Teraz już nie na brzuchu, lecz na

własnych nogach. Tylko nadal cicho. Oni gdzieś tu są.

— Kapitanie — sierżant Wilson przysunął się bliżej przełożonego. — Pan poprowadzi. Niech każdy trzyma za rękę poprzednika. Nie trzeba nic mówić. No to jak? Idziemy?

— Idziemy — Rauber starał się wypatrzyć drogę w grobowej ciemności. Nie mógł popełnić błędu. To równałoby się klęsce. Wiedział, że ludzie mu wierzą.

— Idziemy — powtórzył syczącym szeptem. — Tylko cicho, na Boga. Za chwilę będziemy bezpieczni Wilson. Zamykaj pochód.

Ruszyli jak duchy potykając się o wystające korzenie, omijając pnie. Zdani byli tylko na dotyk. Jak ślepcy. Nie obeszło się jednak bez bolesnych kontaktów z szorstkimi kolumnami palm.

Wreszcie, prowadzeni bezbłędnie przez posiadającego chyba kocie oczy Raubera, dotarli na względnie bezpieczną odległość od polanki. Weszli w niewielkie wgłębienie i pod ich stopami zachlupotała woda. Nie wiedzieli co to znaczy. Nie znali przecież drogi do świątynnej kryjówki Tylko Dick Rauber odetchnął z ulgą. Najtrudniejszy odcinek mieli już za sobą. Teraz mogą sobie pozwolić na zwolnienie tempa.

W tej samej chwili gdzieś z kierunku, z którego przybyli, doleciał odgłos strzałów, a czubki palm nad nimi pojaśniały.

— Zaatakowali. Jednak zaatakowali. Łajdak Burton nie dotrzymał słowa — profesor był oburzony.

— A co pan myślał, profesorze? Że Pułkownik zechce nam łaskawie darować? Wypuścić nas z rąk? — szepnął Rauber. — Szybciej. Zanim spostrzegą, że śmigłowiec jest pusty, a ptaszki wyfrunęły w siną dal, musimy już być w ruinach.

Za nimi znów trzasnęły strzały. Znów błyski w czubkach palm. Tu, gdzie byli, panowały niepodzielnie ciemności

— Zwąchali sytuację — Dick przepuszczał przed sobą towarzyszy. — Teraz bacność. Ten łajdak gotów wypuścić cyfrony. Wilson! Przyspieszaj, bo nas dostaną.

— Psiakrew, kapitanie — Wilson dyszał ciężko. — To nie na moje zdrowie. Strzelać to jeszcze potrafię, ale takie przełaje wpędzą mnie przedwcześnie do mogiły.

— Znasz drogę. To już niedaleko. Liczę na ciebie, sierżancie.

Wreszcie jeden po drugim znikali w przejściu do podziemi. Rauber prowadził pewnie. Jeden rzut oka do studni i profesor cofnął się ze strachem.

— Co to?

— To właśnie nasza droga, profesorze.

Wilson podszedł do ciemnego otworu.

— Trafiliśmy bezbłędnie — stwierdził z radością w głosie.

— Słusznie. Trwa przyptyw. Jeżeli zaraz tam się dostaniemy, żaden cyfron nas nie dopadnie.

Schodzili w wilgotną ciemność studni poganiani przez kapitana. Musieli się spieszyć. Teraz już nawet nie ze względu na Burtona i ewentualny pościg. Trwał przyptyw. Za kilkadziesiąt minut woda oceanu zaleje chodnik, a oni nie mieli akwalungów dla wszystkich. Pierwszy sierżant Wilson, po nim inni. Całość tym razem zamykał Rauber, ściągając za sobą linę tak, aby nikt nie mógł się domyślić, że właśnie tu zniknęli ścigani.

Mieli cztery silne latarki, toteż w pierwszej jaskini zrobiło się zupełnie jasno. Z wyjątkiem Dicka i Wilsona, pozostali z podziwem przemieszonym z zabobnym lękiem, spoglądali na upiorne postacie martwych strażników świątyni. Minęli ich bez słowa. Jedyne kamienie chrzęściły pod stopami...

W głównej nawie z tkwiącym pośrodku obeliskiem zagadkowej anteny, zatrzymali się oszołomieni. Światła latarek wydobyły z półmroku skulone w modlitewnej ekstazie wiekowe mumie, zagrały iskrami na wotywnych posązkach. Ktoś jęknął z zachwytem.

— Złoto!

Rauber nie poganiał ich. Teraz już mieli czas. Sporo czasu. Wody Pacyfiku z całą pewnością zalały już studnię i prześladowcy nawet w przypadku odnalezienia studni i śladu przez cyfrony, nieprędko wtargną do podziemi. Zresztą szli przecież korytem kanału. W wodzie i cyfron nie wywęszy tropu.

Przyglądał się bacznie, jakie wrażenie zrobiła na nich ta masa złota. Sierżant Wilson uśmiechał się ironicznie, inni stali niepewni. Profesor Kleist pobladł i dyszał ciężko.

— Takie bogactwo... Tuż obok... Tyle miesięcy... Tylko ręką sięgnąć... Mój Boże...

Dick Rauber roześmiał się głośno.

— To też władza na światem, prawda profesorze? Niestety. Muszę pana rozczarować. Nie dostanie pan ani grama tego kruszcu. Chłopcy — zwrócił się do pozostałych. — Niech każdy weźmie trochę złota. Nie ruszać jedynie posażków. Tylko grudki, płytki. Może się przydać. Nie dotykać mumii.

Szli wolno schylając się co chwilę. Złota było tu tak dużo, że nie było potrzeby zbaczania z drogi. Nim doszli do korytarza, prowadzącego do wyjścia, każdy miał kieszenie wypchane szlachetnym kruszczem. Tylko Dick Rauber i profesor nie zbierali nic. Ten ostatni szedł blady z pochyloną głową, sapiąc głośno.

Doszli do obrotowego głazu. Dick wyminął stojących przed przeszkodą. On jeden znał tajemnicę skalnych wrót. Tajemnicę wyjścia. Napał ramieniem na ciężki gład i ten uchylił się z cichym zgrzytem. Wyszli gęsiego za skalną półkę.

U ich stóp, daleko w dole, rozpościerał się zwarty kobierzec dżungli spięty na widnokręgu stalową, zalaną księżycowym blaskiem klamrą bezkresu Pacyfiku.

R o z d z i a ł X SPŁACONY DŁUG

Zejsście zabrało im kilka męczących godzin. Może kiedyś prowadziła tu wykuta w skale nieco wygodniejsza ścieżka, teraz w każdym razie nie pozostało po niej ani śladu. Byli zmęczeni. Noc na skalnej półce nie należała do najwygodniej spędzonych. Nie chcieli jednak wycofywać się do jaskini. Sąsiedztwo wiekowych, zasuszonych zwłok, nie nastrajało ani sennie, ani optymistycznie.

Zaczęli schodzić wraz z pierwszym brzaskiem złocącym wyniosłe zbocza góry. Stanęli u jej stóp złani potem, kiedy słońce stało już prawie w zenicie. W dżungli panował duszny upał. Nawet mały nie było słychać, a może nie było ich tu wcale? Może zamieszkiwały tylko krater i ruiny? Całe szczęście, że nie była to typowa dżungla. Olbrzymie drzewa rosły w sporych odległościach, a festony lian i pnączy nie przeszkadzały specjalnie kawalkadzie. Już po kilku minutach marszu koszule przylepiły im się do grzbietów. Znow prowadził sierżant Wilson. Bywał on uprzednio kilkakrotnie poza obrębem krateru i kilka razy latał nad wyspą śmigłowcem. Znał więc z grubsza topografię tego zagubionego w bezmiarze oceanu zakątka.

Na zachodnim krańcu wysepki w ocean wrzynał się nieduży cypel, pełen porozrzucanych skał, jaskiń i wąwozów. Tam spodziewali się znaleźć schronienie i czas na zastanowienie nad dalszym postępowaniem. Do cypla jednak było dobrych kilka godzin marszu i wiedzieli, że muszą gdzieś zatrzymać się na odpoczynek. Godziny południa w tropiku nie nadają się do wędrówek. Robiło się coraz duszniej, o ile to w ogóle było jeszcze możliwe. Coraz bardziej dokuczało pragnienie.

Pierwszy nie wytrzymał stary uczonec:

— Wody... wody, bo nie ujdę już ani kroku — wychrypiał zduszonym głosem. Dick myślał już o tym od dłuższej chwili. Popełnili poważny błąd, mogący ich teraz drogo kosztować.

wać. Zabrali ze sobą spore zapasy żywności ze śmigłowca, zapomnieli jednak zupełnie o wodzie. W tropiku jest to poważne niedopatrzenie.

— Wilson — głos, który w zamierzeniu miał brzmieć twardo, był schrypnięty i płaski. — Wilson. Chwileczkę. Ma ktoś przypadkiem przy sobie coś do picia?

Odpowiedziała mu cisza. Ludzie patrzyli na niego bez słowa. Ten i ów uśmiechnął się gorzko i pokręcił przecząco głową.

— Więc nikt nie ma? — Rauber zdołał już zapanować nad głosem. — Trudno, profesorze. Jest pan akurat w takiej sytuacji jak wszyscy. Musimy wytrzymać. Może gdzieś po drodze natrafimy na wodę.

Sam w to nie wierzył. Na tego rodzaju wulkanicznych wysepkach nie spotyka się zbyt wielu strumyków czy źródełek, choć nie znaczy to, że nie ma ich tu wcale. Po prostu są rzadkością. Tylko nieprawdopodobny przypadek mógł im przyjść z pomocą.

— Po drodze mamy rzeczkę, kapitanie — odezwał się sierżant Wilson. — Ale to jeszcze kawał drogi.

— To nic. Wytrzymamy. Naprzód!

Ruszyli. Powoli, mozolnie. Gąszcz stawał się coraz trudniejszy do przebycia. W przodzie szedł sierżant i dwóch roślących szeregowców. Torowali oni drogę pozostałym, co w tych warunkach nie było wcale łatwą sprawą. Nie posiadali maczet ani niczego, co mogłoby w jakiś sposób zastąpić to niezbędne przy poruszaniu się w dżungli narzędzie. Dezintegratorów nie chcieli, ba, nie mogli użyć. Po pierwsze, w ich sytuacji nie istniała możliwość doładowania broni, po drugie, prawdopodobieństwo odkrycia drogi ich ucieczki na zewnątrz wzrastałoby niepokojąco. Musieli więc obchodzić powalone pnie, splątane gąszcza, co utrudniało i wydłużało i tak dostatecznie morderczy szlak. Dawał się też we znaki brak zaprawy. Otóż w kraterze nie było potrzeby ani okazji do dużych wysiłków fizycznych. Najbardziej odczuwał trudy profesor Kleist. Widać było wyraźnie, że wlecze się ostatkiem sił półprzytomny, gnany chyba tylko strachem przed pozostaniem samemu w tych piekielnych gąszczach. Nie miał już sił nawet jęczeć.

Dick co chwilę spoglądał z troską na starego uczonego, wreszcie skinął ręką na jednego z szeregowców.

— Dobierz sobie jeszcze jednego i weźcie Kleista pod rękę. Pomóżcie mu, bo padnie.

Bez słowa sprzeciwu spełnili polecenie. Profesor nie reagował ani jednym gestem. Mała gromadka ruszyła jakby nieco szybciej. Nikt się nie odzywał. Przepełnione uniformy oblepiły ciasno ciała. Obolały i obrzmiały z pragnienia język boleśnie wypełniał jamę ustną. Wlekli się jak cienie wśród rozpasanej, podzwrotnikowej ziemi, zrezygnowani, obojętni.

Wreszcie Rauber podniósł rękę. Prawie rozszarpał uniform pod szyją.

— Stać — wychrypiał zduszonym szeptem. — Odpoczywamy.

W milczeniu kładli się tam, gdzie każdy stał, nie bacząc na niebezpieczeństwo mogące im grozić ze strony na pewno licznych tu gadów. Było im już wszystko jedno. Pić! Spędzona na skalnej półce, prawie nieprzespana noc, kilkugodzinna wędrówka i pragnienie wyczerpały ich do cna. Myśleli tylko o jednym. Pić!

— To koniec — wychrypiał z wysiłkiem któryś z szeregowych.

— Dureń — sierżant Wilson zdobył się prawie na okrzyk. — Jaki koniec? Spać teraz. Odpoczywać. Jak tylko upał nieco zelży, ruszymy dalej. Jeszcze tylko dwie, trzy godziny marszu. Z pragnienia nie umiera się po jednym dniu bez picia.

Nikt mu nie odpowiedział, choć ten i ów podniósł głowę, a kapral Grey uśmiechnął się lekko. Dick spojrział na starego żołnierza z uznaniem. Teraz dopiero sam usiadł opierając się plecami o pień drzewa i pogрузzył się w myślach. On jeden zdawał sobie sprawę z trudności, a raczej beznadziejności położenia. Pozbawieni jakiegokolwiek środka pływającego, a co za tym idzie, możliwości opuszczenia wyspy, prędzej czy później wytopieni przez ludzi Burtona, muszą ulec zbrojnej przewadze. Pułkownik nie oszczędzi nikogo. Może tylko Kleista.

Popatrzył na uczonego. Ten leżał na wznak między dwoma żołnierzami, spazmatycznie chwytając oddech i pojękując cicho. Tak. Może tylko Kleista. Pozostali są bezapelacyjnie skazani na śmierć i on ponosi za to całkowitą odpowiedzialność. On namówił ich na ten, jak się okazuje bezsensowny, bunt. Zaciśnął pięści. Nie. Musi ocalić tych ludzi. Musi! Ale jak?

Mijały godziny, a upał i duszność nie zelżały ani odrobiny. Czas jednak było ruszyć w dalszą drogę. Wypoczęli nieco, ale pragnienie wzmogło się jeszcze.

— Sierżant Wilson.

Cisza. Tylko gdzieś nad wierzchołkami drzew, niewidoczne stąd, przemknęło z wrzaskiem stado papug.

— Wilson.

— Tak? — sierżant podniósł się z wysiłkiem i podszedł do oficera. Uniform miał rozpięty aż do pasa. Po twarzy i nagiej piersi spływały mu strugi potu, ale oczy błyszczały energią.

— Sierzancie. Podrywamy ludzi. Nie ma na co czekać. Daleko to jeszcze?

— Spory kawałek. Najgorsze, że jakiś kilometr, półtora będziemy szli odkrytym terenem...

— I co z tego?

— Słońce, kapitanie. Do wieczora jeszcze daleko.

— Trudno. Nie będziemy przecież tu wiekować. Kto ma nakrycie głowy, ubrać. Reszta niech przewiąże sobie głowę jakąś chustą, w ostateczności osłoni liściem. Słońce słońcem, ale może tam, na wolnej przestrzeni, będzie trochę przewiewu. Nie tak jak w tej cholernej cieplarni.

— Jak trzeba, to trzeba — sierżant wyprostował się. — Wstawać! Ruszamy...

Wstawali z niechęcią w pełnym złych myśli milczeniu. Jednak potrzebny był ten odpoczynek. Nawet profesor Kleist podniósł się o własnych siłach i, choć słaby, gotów był do dalszego marszu. Dick skinął ręką na szeregowych, tych, którzy dotychczas prowadzili profesora. Podeszli do starego uczonego biorąc go ponownie pod rękę.

— Zostawcie — zaprotestował bez przekonania. — Pójdę sam.

Popatrzyli pytająco na kapitana. Ten potrząsnął głową.

— Nie. Tak będzie lepiej, profesorze. Pójdziemy szybciej.

Sierżant Wilson bez zbędnych słów zagłębił się w gąszcz. Za nim jeden po drugim ruszyli pozostali. Pochód zamykał Dick. Miał rację stary żołnierz. Nie minęło pół godziny, kiedy wyszli z dżungli i stanęli na skraju bezleśnego pasa, porośniętego gęstą trawą i strzelającymi tu i ówdzie w błękitne niebo samotnymi palmami. Daleko przed nimi czerniła się krecha przeciwległego skraju zarośli.

— Tam — wskazał ręką sierżant. — Tamta dżungla właśnie osłania cypel. Tam jest woda.

— Naprzód — zakomenderował energicznie Dick.

Szło się teraz dużo lepiej, mimo palących promieni słońca. Nie wiał, wbrew oczekiwaniom, nawet najśłabszy wietrzyk i powietrze stało znieruchomiałe w upale. Jednak lżej było oddychać.

Byli już prawie w połowie trawiastego pasa, kiedy sierżant Wilson zatrzymał się nagle, podnosząc rękę do góry.

— Stać!

Stanęli zdziwieni, nie znając przyczyny.

— Co tam, Wilson? — Dick wymijał zastygły w bezruchu szereg.

— Cicho...

Kapitan przystanął nasłuchując. Rzeczywiście. Sierżant miał rację. Gdzieś z oddali dolatywało coraz wyraźniejsze mruczenie silników śmigłowca. Rzut oka na niebo. Garstka ludzi w błękitnych ubiorach, na tle spłowiałej zieleni wypalonych traw, musiała być dla lotni-

ka widoczna z odległości setek metrów. Od zbawczych gąszczy dzieliło ich ponad pół kilometra. Rzadkie, samotnie tkwiące na bezdrzewiu palmy, nie dawały żadnej gwarancji ukrycia się przed wzrokiem powietrznego obserwatora.

— Biegiem — krzyknął Dick, wskazując ręką odległą ścianę dżungli. Porwali się do wytężonego kłusa. Co to był za bieg. Zataczając się i dysząc ciężko, raczej szli szybkim krokiem.

Warkot, stawał się coraz wyraźniejszy, bliższy i nagle zza drzew wyskoczył drapieźny kształt bojowego śmigłowca. Z grzotem silników przeleciał nad grupką ślaniających się zbiegów, minął ich, zatoczył ciasny krąg i nadlatywał ponownie, obniżając się jednocześnie. Któryś z szeregowców nie wytrzymał nerwowo. Wyrwał z kabury dezintegrator i wypalił w kierunku coraz bliższej maszyny ciągłą serią. Musiał trafić, choć był to raczej przypadek, bo śmigłowiec poderwał się raptownie do góry i po chwili znikł za urwistymi zboczami krateru. Zmęczeni do ostatecznych granic wyczerpania, dopadli do pierwszych zarośli i zatrzymali się nie mogąc złapać tchu.

— Cholera! — sierżant Wilson splunął ze złością. — Dranie już nas wywęszyli. Zdażyli wysłać pościg.

— Nie. To jeszcze nie pościg. To ten drugi śmigłowiec. Pewnie Jacobson wracał znad Kontynentu. Który to głupiec wygarnął?

— Ja. Ale dlaczego?... — szczypuły, niski szeregowiec był wyraźnie przestraszony wzrokiem oficera.

— Nie rozumiesz, durniu? To Jacobson! Jacobson! Wracał znad Kontynentu. Prawdopodobnie nie wiedział nic o wydarzeniach w Kraterze, ani o naszej ucieczce. Pewnie wylądowałby dla sprawdzenia, co tu robimy i czy nie potrzebujemy pomocy...

— O rany! — sierżant Wilson zwykle wzór spokoju i opanowania, złapał się za głowę. — Słusznie! Na pewno by wylądował. Mielibyśmy już maszynę.

— Tak. Źle się stało — Dick położył rękę na ramieniu podoficera. — Bardzo źle. W żadnym wypadku nie należało strzelać. Trudno. Teraz już niczego nie zmienimy. W tej chwili Pułkownik zapewne wie, gdzie jesteśmy i za małą godzinkę możemy mieć na karku całą tę zgraję. Idziemy. Niech pan prowadzi sierżancie. Musimy jak najszybciej znaleźć jakąś kryjówkę. To teraz naprawdę kwestia godzin. Kwestia życia.

Poszli teraz szybko, mimo iż dżungla nie była wcale łatwiejsza do pokonania niż ta u stóp krateru. Nawet pragnienie jakby mniej dawało się we znaki. Gnał ich teraz, co tu dużo mówić, zwykły ludzki strach.

— Woda! — okrzyk Wilsona sprawił, że tym razem puścili się autentycznym biegiem.

Trudno to było nawet nazwać rzeczka. Wśród kolących krzewów toczył swoje mętne wody niewielki strumyczek — wąski i płytki. Płynął leniwie w ciasnych meandrach. Dick pochylił się i zanurzył dłoń. Woda była zaskakująco zimna i miała lekki, metaliczny posmak. Smakowała. Jeszcze jak smakowała! Dawno nie pił nic tak dobrego. Kiedy ugasił pragnienie, z rozkoszą obmył twarz i szyję, nie bacząc, że chłodne strugi ściekają mu głęboko pod uniform. Zresztą wszyscy zrobili to samo. Wróciły im siły. Wraz z pragnieniem minęło bez śladu ogromne zmęczenie.

— Panie kapitanie — sierżant po umyciu wyglądał jak nowo narodzony.

— Tak? — Rauber popatrzył na niego pytająco.

— Panie kapitanie! Za tą skałą — podoficer wskazał na olbrzymi skalny złom, sterczący wśród zieleni na wprost nich — jest niewielki, lecz trudno dostępny płaskowyż. Dojście do niego prowadzi wąską szczeliną łatwą do obrony. Tam będziemy w miarę bezpieczni.

— Myślisz?

— Jestem tego pewny. Pułkownik nie daruje. Lada moment tu będą, a tam można bronić się tygodniami, tylko... zawiesił głos.

— Tylko co?

- Woda. Tylko nie mamy wody, a do strumienia nas nie dopuszczają.
- Taaak — przeciągnął Dick. — Niedobrze. Kto jeszcze zna to miejsce, oprócz ciebie?
- Grimm znał je na pewno... I Smith. Jeszcze może ze dwóch, trzech ludzi...
- Rozumiem. Grimm nie żyje, a reszta?... No zobaczymy. Na razie nabrać wody w to,

co kto ma. Pić na zapas.

Poszli za jego radą. Niestety, okazało się, że tylko dwu z nich miało przy sobie małe manierki, pozostali nie posiadali niczego, co nadawałoby się do nabrania i przechowywania drogiego w tych okolicznościach płynu. Sierżant Wilson zdjął nawet pokrywę radiostacji i w ten zaimprovizowany pojemnik nabrał tak z pięć, sześć litrów wody. Ot, i cały ich możliwy do zabrania zapas. Było to tragicznie mało, ale nie mieli innego wyjścia.

Zabierając ze sobą wodę, zagłębili się w cień skały. Po kilkudziesięciu metrach błędzenia pośród zarośniętych, omszałych głazów, weszli rzeczywiście w wąską ścieżynę biegnącą szczeliną i kończącą się na mini-płaskowyżu. Czubki drzew dżungli leżały dobre trzy metry poniżej jego poziomu. Widok stąd był wspaniały. Z jednej strony niebotyczne turnie i zbocza wygasłego wulkanu, i drugiej szmaragdowa płachta Pacyfiku. W stronę oceanu płaskowyż opadał szerokimi tarasami i od tej strony wydawał się być łatwo dostępny. Dick popatrzył na to z nieukrywaną troską. Dostrzegł to stary podoficer.

— Bez obawy, kapitanie. To tylko tak wygląda. Wprawdzie z plaży można tu z trudem dojść, ale za to plaża jest dostępna wyłącznie od strony morza i w czasie odpływu. Zresztą i wtedy nie jest to bezpieczne.

— Naprawdę?

— Tak, znam to miejsce. Tu zatoneło na łodzi dwóch moich wartowników. Nawet zwłok nie wyłowiliśmy. Szukaliśmy, a jakże... Długo... Nawet Pułkownik...

— Co? Pułkownik zna to miejsce?

— Nie. On jest za wygodny i za tchórzliwy na takie wycieczki. Chciałem tylko powiedzieć, że nawet Pułkownik tak przejął się tym wypadkiem...

— Kapitanie! — głośny okrzyk przerwał wywód sierżanta.

— Co tam znowu!

— Idą!

— Niemożliwe. Nie mogli jeszcze zdążyć.

— A jednak zdążyli. Burton pośpieszył się. Helikoptery wylądowały tam... na trawie... oba.

— Wilson!

— Na rozkaz.

— Trzech ludzi na ścieżkę. Strzelać bez uprzedzenia do każdego, kto tylko wychyli nosa zza skał. Zabawa się już skończyła.

— Dobra. Thomson i Roy... Kto jeszcze?

— Ja.

— Dobrze. Barrow. Broń sprawna?

— Sprawna.

— Obsadzić wylot ścieżki. Słyszeliście rozkaz kapitana? No to biegiem. — Wilson otarł pot z czoła. — Kapitanie! Wylądować wprawdzie tu nie dadzą rady, ale ostrzelać z powietrza nas mogą.

— Słusznie — Dick rozejrzał się wokoło. — Jest tu dosyć szczelin. Panowie. Każdy niech ukryje się tak, by go nie można było dostać z góry. Jasne?

Kapral Grey podszedł do Raubera.

— Panie kapitanie.

— Co znowu Grey?

— Panie kapitanie, czy to ma sens?

— Co?

— To wszystko, co robimy. Dostaną nas prędzej czy później.
— Raczej prędzej — wtrącił się jeden z wartowników.
— Dość — Rauber wyprostował się gniewnie. — Wolna droga. Nie zatrzymuję nikogo. Jeszcze teraz każdy, kto chce, może odejść. Na własną odpowiedzialność. Więc?

Milczenie. Ludzie spoglądali po sobie bez słowa.

— Panowie. Pamiętajcie — Dick podniósł głos — samoloty przelatujące co noc nad Bazą? Wtedy kiedy to wyłączano oświetlenie? Mamy radiostację. Nawiażemy z nimi kontakt. Oni prowadzą automatyczny nasłuch na fali S.O.S. Przyjdzie pomoc z ładu. Byle dotrzeć do nocy...

Spojrzeni po sobie i oczy rozbłyły rozbudzoną nagle nadzieją.

— Słusznie. Mamy radiostację.

— Pewnie.

— Tak!

— Hurra Jeszcze pożyjemy.

Suchy trzask od strony ścieżki, którą tu przybyli, otrzeźwił ich momentalnie. Rozbiegli się jak stado ptactwa szukając ukrycia i gotując się do walki. Bez strachu. Teraz już mieli nadzieję. Ba! Mieli pewność, że wszystko skończy się pomyślnie.

— Dostał!

— Kto? — Rauber był już przy strzelającym.

— Nie wiem. Pchają się na chama! Miałem czekać?

— Nie. Dobrze zrobiłeś. To ich przyhamuje. Sierżancie.

— Na rozkaz.

— Co godzinę zmieniać ludzi przy ścieżce. W żadnym przypadku nie mogą się tu przedrzeć. Musimy wytrzymać do nocy. W śmigłowcu nam się to udało. Uda i teraz.

— Grey! Przygotuj radiostację. Ma być absolutnie sprawna jak tylko zapadnie zmrok. Samoloty przelatują tędy wieczorem.

— Rozumiem, kapitanie.

Na płaskowyżu zapanował chwilowy spokój. Zbiegowie ukryli się w załomach skał, obserwując bacznie pogodne, błękitne niebo. Ludzie Pułkownika, ostrzeżeni śmiercią jednego ze swoich, przyczaili się, nie podejmując na razie żadnej akcji. Naradzali się chyba. Dick zamyślił się. Kto też teraz gra tam pierwsze skrzypce? Znał przecież doskonale Pułkownika i wiedział, że ten lubi, by wiążące decyzje podejmowali za niego inni. Kto? Forster nie żyje. Grimm też, Kleist jest tu. No tak. W tej sytuacji szef musi sam zdecydować. To dobrze. Nie miał zbyt wygórowanego mniemania o zdolnościach strategicznych pułkownika Burtona. Zero!

Przez całe lata był jego przełożonym. Rządził. Psiakrew! Że też człowiekowi tyle czasu trzeba było, żeby poznać się na tym bufonie. Kiedy znowu ponowią próby ataku? Do zmroku pozostało jeszcze sporo czasu. Mogą również próbować właśnie pod osłoną ciemności. Na miejscu starego tak by zrobił. Całe szczęście, że Burton nie jest ryzykantem, wprost przeciwnie. Pewnie jest przekonany, że teraz trzyma ich mocno w garści i chyba ma rację. Zachodzi też w głowę, w jaki sposób opuścili krater. Niech zachodzi. Trochę myślowej gimnastyki nie zaszkodzi zadufanemu w sobie wodzowi.

Słońce zapadło już za górę kryjącą krater i bazę. Jakże jednak wolno. Wolno w odczuciu odciętej od świata grupki buntowników, Cisza zaległa na oblężonym płaskowyżu. Ludzie Raubera pochowali się w szczelinach i za głazami Profesor Kleist wczłogał się w płytką jaskinię i leżał, wsłuchując się z trwogą w dzwoniącą w uszach ciszę i daleki poszum oceanu.

Tylko Dick Rauber przysiadł na kamieniu, nie kryjąc się wcale i w zamyśleniu spoglądał ku stromo opadającym tarasom i wąskiemu złotemu paskowi plaży, o który rozbijały się fale przyboju.

Ten odcinek niepokoił go najbardziej. Gdyby był na miejscu pana Pułkownika, właśnie stąd próbowałby zaatakować. Ale cisza. Co oni knują?'

Wtem, jakby w odpowiedzi na myśli oficera, rozległ się warkot nadlatujących maszyn i zza ściany dżungli, jak jastrzębie, wyskoczyły oba śmigłowce.

— Uwaga! — krzyknął Dick i zsunął się za kamień, na którym siedział. Śmigłowce rozdzieliły się i z dwu stron zaatakowały z pokładowych dezintegratorów. Zadymiły skały. Ostry trzask zmieszany z charakterystycznym dla broni dużego kalibru sykiem porwał ciszę na strzępy. Maszyny z grzotem silników przewaliły się im nad głowami i odeszły nad ocean. Z ziemi nie padł ani jeden strzał.

Rauber wychylił się zza osłony i rozejrzał wokoło. Nie słyszał żadnego okrzyku, nie dostrzegł żadnego ruchu. Widocznie atak śmigłowców był bezskuteczny. Te tymczasem, zatoczywszy szeroki krąg, wracały znów z obu stron, już z daleka trzaskając strzałami. Szybko przeskoczył na drugą stronę kamieni i dobył broni. Skulił się w ukryciu i całym ciałem przywarł do głazu. Jedna z maszyn przeszła tuż nad nim i ścieg wyładowań minął go o centymetry. Strzelił, prawie nie celując, i kątem oka dostrzegł, że prawy goleń śmigłowca zadymił. Posypały się z niego jakieś odłamki. Z boku, z lewej, nadlatywał drugi i wtedy rozległ się przeraźliwy krzyk. Profesor Kleist wypadł ze swojej zupełnie bezpiecznej kryjówki i nie przestając histerycznie krzyczeć, biegł rozłożywszy ręce na oślep, przed siebie.

— Padnij! Głupcze!... Na ziemię!

Rauber zerwał się na równe nogi, nie bacząc, że w tej chwili stanowi wspaniały cel.

— Kleist!... Na ziemię!

Pilot przydusił maszynę i bezbłędnie, precyzyjnie przejechał morderczym promieniem po biegnącej sylwetce. Krzyk urwał się nagle jak ucięty nożem i profesor runął na ziemię. Dick podbiegł do niego. Z przeciwnej strony pędził Wilson i jeden z szeregowców. Stanęli nad zwłokami.

— Cholera! — sierżant zbladł jak ściana. Nawet Rauberowi, który przecież nie zaliczał do mięczaków, zrobiło się nijako. Stary uczoney nie miał głowy, a uniform na plecach dymił jeszcze i skręcał się powoli wtopiony w skórę.

— Dureń! — oficer opanował się pierwszy. — Po jaką cholere wyskakiwał? Mogli sobie strzelać do... Wilson! — zwrócił się do sierżanta. — Sprawdź, czy ktoś jeszcze nie oberwał. Zmień też ludzi przy ścieżce, ale wzmocnij tam obsadę. Teraz z pewnością spróbują ataku lądem.

— Tak jest.

— Jeszcze jedno. Czy jesteś pewny, że od plaży nic nam nie grozi?

— Ręczę za to, kapitanie. Brzegiem nie dojdą, a łodzi Burton nie ma.

— Dobrze. Wytrzymamy do nocy. Grey.

— Na rozkaz, kapitanie!

— Właż z radiostacją do tej dziury, gdzie siedział Kleist i nie wychylaj stamtąd nosa. Nie chcę więcej samobójców.

Nie zdążył usłyszeć odpowiedzi, kiedy od strony ścieżki trzasnęły dezintegratory i jednocześnie rozległ się warkot śmigłowców.

— Mówiłem. Kryć się! — krzyknął i rzucił się biegiem ku przesmykowi. Dopadł głazu nawisłego nad wąską ścieżyną, jedynym wejściem na płaskowyż i wychylił ostrożnie głowę.

Pod nim i w pobliżu, w zasięgu wzroku nie było nikogo. Tylko błyski strzałów zdradzały ukryte stanowiska strzelców. Po co oni strzelają? — przemknęło mu przez myśl. Do kogo? Po co marnują bezużytecznie energię? Chcą nas zastraszyć?

Śmigłowce tymczasem po raz trzeci zaatakowały z powietrza. Tym razem powitał je z ziemi gęsty ogień. Strzelali chyba wszyscy. Cholera! Nawet Grey, wbrew wyraźnemu rozkazowi, wychylił się z ukrycia i pruł do nadlatujących maszyn. Nagle Rauber dostrzegł, że jeden ze śmigłowców, ten bardziej oddalony od niego, rozbłysnął jaskrawopomarańczowym

plomieniem i runął w dół, znikając za uskokiem tarasu. Drugi, na ten widok, odskoczył ku górze i przestając strzelać, odchodził w kierunku zboczy krateru.

— Kilku mniej — mruknął mściwie. — To ich ostudzi!

W przesmyku tymczasem strzały nagle umilkły i tylko lekki przeciąg rozwiewał dym. Trzaskały stygnące skały.

— Kapitanie Rauber!

Drgnął. Jacobson? A ten czego znów chce?

— Kapitanie Rauber!

— Słucham, Jacobson. Dla pana zawsze...

— Bez żartów, Rauber. Nie strzelać. Jest tu ze inną ktoś, kto pragnie pana widzieć.

— Ciekawe. A któż to taki? Niech się pokaże.

— Chwileczkę.

U dolnego wylotu ścieżki zamajaczyła rosła sylwetka w plamistym mundurze komandoskim.

— Jestem major Reil z Trzeciej Desantowej. Zna mnie pan. Złóżcie broń, kapitanie. Ci tutaj już to zrobili.

Znał dobrze ten władczy głos. Znał dobrze majora Reila. Wyprostował się i wskoczył na głaz, za którym się dotychczas ukrywał.

— Rozkaz, majorze! Z przyjemnością. Chłopcy — zwrócił się w stronę swoich ludzi — wychodź. Przyszła pomoc. Do diabła. Nie wiem skąd i w jaki sposób, ale przyszła. Jesteśmy uratowani.

Wstawali, wychodzili z ukryć wahający się, niepewni. Przed chwilą jeszcze w ogniu walki, otoczeni, z ledwie tlejącą iskierką nadziei w sercach. Jeszcze nie wierzyli. Pomoc? Skąd? Jakim cudem? Ten i ów ukradkiem pomacał ciężkie, twarde grudki złota w kieszeni. Więc będą mogli je zatrzymać? Więc będą żyli?

Wąską ścieżką szli ku Rauberowi dwaj oficerowie. Smukły porucznik Jacobson i rosły, zwalisty major Reil. Zręcznie wspięli się niezbyt stromym żlebem i stanęli naprzeciw kapita-
na. Przez chwilę patrzyli na niego w milczeniu. Wreszcie major postąpił krok do przodu i wyciągnął rękę.

— Witam, kapitanie Rauber. Nieźle pan swoim zwyczajem narozrabiał. Aż na Kontynencie było słyhać.

— Ba!

— Nie ba... Gdybym nie zdążył w ostatniej chwili, byłby znajomy pogrzeb. I to zbiorowy. Nie wytrzymałybyście do rana.

— Czyżby?

— Kapitanie Rauber, nie poznaję pana! Jest pan doświadczonym oficerem. Jak mógł pan tak dać się wpędzić w pułapkę? Na co pan liczył?

— Nieważne — Dick uśmiechnął się szeroko. — Zdażył pan, i to się tylko liczy. Jedno tylko mnie intryguje, majorze. Skąd pan się tu wziął?

Teraz z kolei roześmiał się major Reil:

— Zanim odpowiem, a może, zamiast odpowiedzi, przedstawię panu mojego towarzysza. Pan pozwoli, kapitanie. Porucznik Jacobson z kontrwywiadu.

— Co?!

— A tak. To jemu właśnie zawdzięczacie, że zdążyłem na czas. Od miesiący miał na oku pułkownika Burtona. Zaalarmował centralę. Przybyłem z kompanią komandosów wymienić załogę i aresztować pana Pułkownika.

— Chwileczkę — Dick przerwał bezceremonialnie majorowi. — Właśnie. Burton, Gdzie jest ta kanalia?

Major Reil spoważniał.

— Niestety. Umknął panu, kapitanie. Mnie zresztą też.

— Jak to umknął? Gdzie umknął? Ja...

— Spokojnie, kapitanie. Nie dogoni go już pan. Umknął tam — major wskazał w kierunku tarasów i oceanu. — Był w tej maszynie, którą zestrzeliliście.

— Taaak!

Dick odwrócił się i jak lunatyk zaczął iść wolnym krokiem ku tarasom. Doszedł i stanął tuż nad krawędzią. Spojrzał...

Za drugim uskokiem, daleko w dole, dopalały się szczątki śmigłowca. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nikt tam nie mógł się ocalić. Nie czuł radości... Nie czuł niczego... Nie ma już Luizy, nie ma Jacka. Zginął ich zabójca! Dick Rauber spłacił swój dług...

SPIS RZECZY

Rozdział I.	Katastrofa	02
Rozdział II.	Świątynia Majów	15
Rozdział III.	Nominacja	25
Rozdział IV.	Tajemnica studni	35
Rozdział V.	Szczęśliwy traf	44
Rozdział VI.	Kosmiczna antena	53
Rozdział VII.	Akcja	62
Rozdział VIII.	Wizyta z kosmosu	71
Rozdział IX.	Ucieczka z krateru	79
Rozdział X.	Spłacony dług	88